

Casey Watson tak jak Cathy Glass

opisuje najtragiczniejsze dzieciństwa swoich podopiecznych

Skrybnice

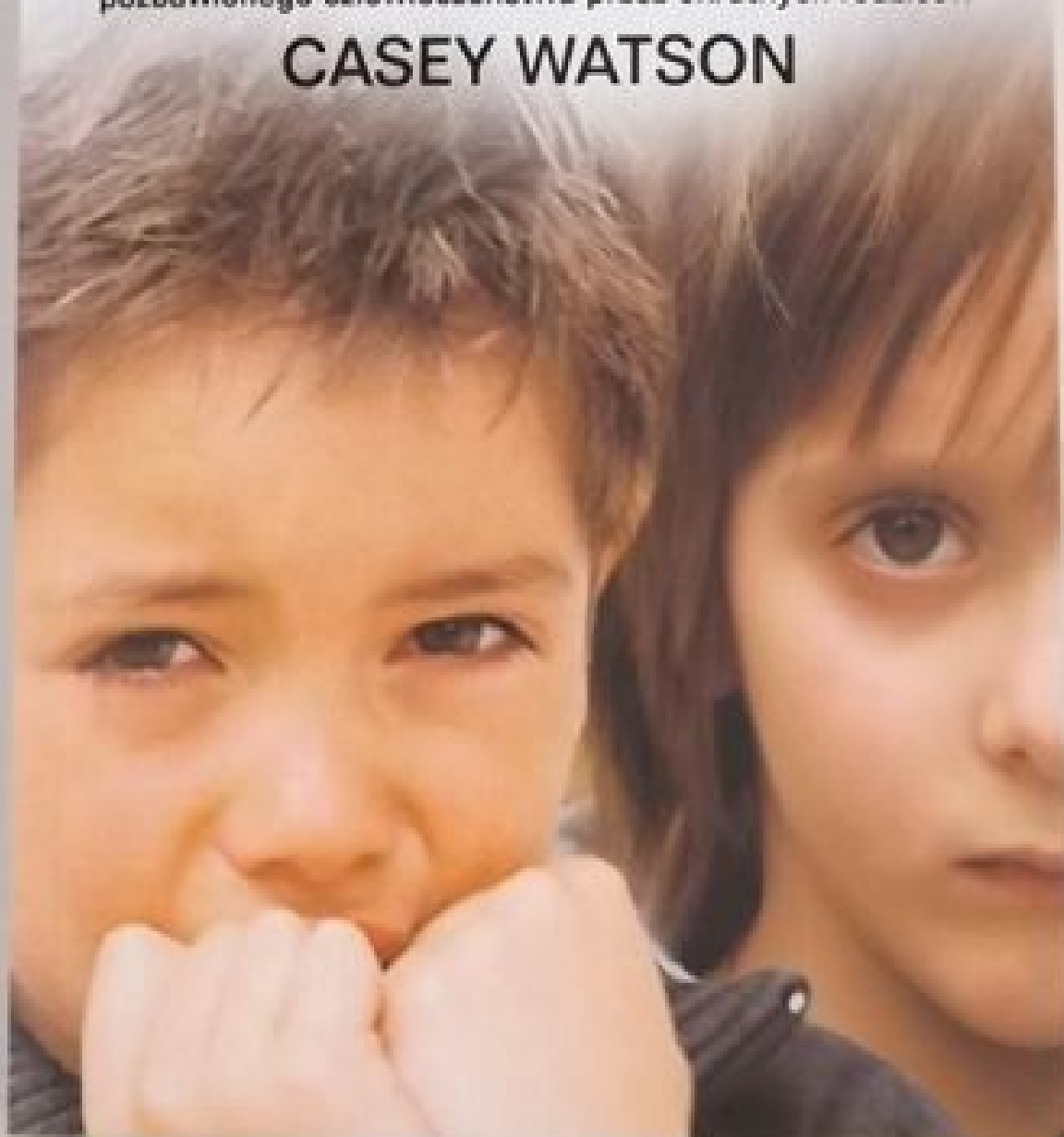


BESTSELLER 2012
W WIELKIEJ BRYTANII

Mali więźniowie

Szokująca i wzruszająca historia rodzeństwa
pozbawionego człowieczeństwa przez okrutnych rodziców

CASEY WATSON



CASEY WATSON

Mali Więźniowie

Seria

ŚWIATOWE BESTSELLERY

Historie prawdziwe



Mojej wspaniałej rodzinie, która jest dla mnie źródłem wsparcia

Rozdział 1

W samolocie mój mąż Mike zawsze zajmował miejsce przy oknie, więc żeby zobaczyć lądowanie, musiałam się nad nim przechylić. Zmierzył mi włosy.

- Ależ się niecierpliwisz! - zauważył. - Nie możesz się już doczekać powrotu do domu, co?

Wracaliśmy z tygodniowych wakacji na Korfu. Spędzonych tylko we dwoje. Nieczęsta możliwość odpoczynku, którego każde z nas bardzo potrzebowało. Właśnie pożegnaliśmy się z Sophią, naszą ostatnią podopieczną, i zorganizowany na szybko urlop naprawdę nas postawił na nogi. Sophia miała zostać z nami dwa tygodnie, na zasadzie sytuacji awaryjnej, tymczasem jej pobyt przeciągnął się niemal do roku. I dał nam nieźle popalić.

Przytuliłam się do Mikea na tyle, na ile pozwalał mi zapięty pas. Chciałam mu pokazać, że nie ma racji. A przynajmniej nie do końca.

- Kochanie - powiedziałam. - Wakacje były fantastyczne. Naprawdę. Ale znasz mnie. Tęsknię już za dziećmi. Zwłaszcza za Levim.

Levi to nasz malutki wnuk, istny promyczek.

- Wiem - odparł Mike i przesunął się tak, żeby odsłonić mi widok za oknem. - Szczerze mówiąc, ja też tęsknię. Ale lada moment będziemy w domu... O, już lądujemy. Zobaczmy, jak mu pójdzie.

Oboje patrzyliśmy, jak samolot płynnie zbliża się do pasa. Obyło się bez podskoków. Pilot perfekcyjnie posadził maszynę na ziemi.

Sophia, już trzynastolatka, na czas leczenia psychiatrycznego została umieszczona w tymczasowym ośrodku opiekuńczo-wychowawczym. Opieka nad nią była doświadczeniem, które zostanie w nas na długo, ale teraz rokowania były dobre i nadal widywaliśmy się z nią regularnie. Wspólne przejścia jednak dały się nam wszystkim we znaki. Nie tylko temu nieszczęsnemu dziecku, ale także całej naszej rodzinie. Na szczęście znów odzyskaliśmy grunt pod nogami. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo potrzebuję zobaczyć się z własnymi dziećmi. Riley, nasza pierworodna, a zarazem matka mojego ukochanego Leviego, tuż przed naszym wyjazdem obwieściła nam, że spodziewa się drugiego dziecka. Byliśmy wniebowzięci tą wiadomością i nie mogłam się już doczekać, kiedy znów wyściskam córkę.

Chciałam też jak najszybciej zobaczyć Kierona, naszego syna. Wiedziałam, że nie odetchnie, dopóki nie wrócimy bezpiecznie do domu. Kieron cierpi na zespół Aspergera.

Objawia się między innymi tym, że wszelka zmiana ustalonego porządku budzi w nim niepokój. Choć Kieron też wyjechał na kilka dni ze swoją dziewczyną Lauren i jej rodziną, to miałam świadomość, że i tak nie przestanie się o nas zamartwiać.

Dlatego bardzo się niecierpliwiłam, kiedy wreszcie znajdę się w domu i ich wszystkich zobaczę. Chciałam jak najszybciej wydostać się z lotniska w Manchesterze. Nienawidzę portów lotniczych, zwłaszcza w środku dnia, gdy panuje na nich największe zamieszanie. Pod tym względem dzień dzisiejszy nie odbiegał od normy. Szliśmy z całym tłumem niekończącymi się, pozbawionymi okien, białymi korytarzami, a potem, na skutek zaostzonych procedur bezpieczeństwa, musieliśmy odstać swoje w wielokilometrowych kolejkach. Czasem wręcz się zastanawiałam, czy statkiem nie byłoby szybciej. W końcu udało nam się wyjść do hali bagażowej, ale jak zwykle walizki jeszcze się nie pojawiły.

Jasna cholera, pomyślałam. Całe wieki nie miałam papierosa w ustach.

- Mike - odezwałam się, wykonując wymowny gest. - Mógłbyś poczekać na bagaże? Spotkamy się przed wejściem.

Dzięki Bogu, mój mąż uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Dobrze, idź - zgodził się. To miłe z jego strony. Sam nie pali i wiem, jak bardzo mu zależy, żebym rzuciła. I rzucę, już niedługo. Ale nie dziś.

Cmoknęłam go w policzek i wyszłam przez halę przylotów na zewnątrz, po drodze przeczesując torebkę w poszukiwaniu fajek.

Przy okazji wyciągnęłam komórkę. Pora włączyć telefon i dowiedzieć się, co słychać u najbliższych. Oczywiście w pierwszej kolejności chciałam zadzwonić do Riley, żeby sprawdzić, czy dobrze się czuje w ciąży. Poza tym domyślałam się, że córka też z radością ze mną porozmawia. Byłyśmy ze sobą bardzo zżyte, poza tym Riley zdawała sobie sprawę, ile mnie kosztowała opieka nad Sophią.

Zaledwie włączyłam aparat, moje przewidywania się potwierdziły. Telefon zasygnalizował nadejście kolejnych esemesów: wszystkie jednak informowały o wiadomościach w poczcie głosowej. Hm. Komuś najwyraźniej zależało, żeby się ze mną przywitać. Wymarzony papieros poszedł chwilowo w odstawkę. Przyłożyłam telefon do ucha i odsłuchałam nagrania.

To nie od Rile. Ale nadawca był jeden - John Fulshaw, koordynator z agencji opieki zastępczej, dla której pracowaliśmy z Mikiem. Wszystkie zostały nagrane dzisiaj i wszystkie brzmiały mniej więcej tak samo: „Casey, zadzwoń do mnie, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość”.

Jego słowa postawiły mnie na baczność. To mogło oznaczać tylko jedno: musi mieć

dla nas kolejne dziecko.

W tej samej chwili zjawił się Mike, ciągnąc za sobą nasze dwie walizki. Najwyraźniej nie trzeba było czekać na nie aż tak długo. Pomachałam w jego kierunku telefonem.

- Nie zgadniesz - rzuciłam z szerokim uśmiechem. - Wydzwaniał do mnie John. Nagrał mi się na pocztę!

- Do diabła, Casey! Dopiero co wylądowaliśmy! Czego chce?

Pokręciłam głową.

- Jeszcze nie wiem. Ale mam nadzieję, że chodzi o kolejne dziecko.

Mój mąż przewrócił oczami.

- Tak szybko? - uśmiechnął się. - W porządku. Oddzwon do niego. Równie dobrze możesz zrobić to teraz.

Coraz bardziej podekscytowana, wybrałam znajomy numer. W ciągu ostatnich dwóch lat staliśmy się sobie z Johnem naprawdę bliscy. Był teraz bardziej przyjacielem niż szefem i powoli już się przyzwyczajałam do jego dziwactw. Wiecznie wszystkim się zamartwiał i teraz też w jego głosie brzmiał niepokój.

- Nareszcie, Casey! - wykrzyknął. - Zacząłem już myśleć, że pomyliłem daty. Wróciłaś już do Anglii, prawda? Czy jesteś jeszcze na wakacjach?

- Nie, właśnie wyszliśmy z lotniska. Co się dzieje? Odniosłam wrażenie, że byłeś trochę spanikowany, kiedy nagrywałeś mi się na pocztę.

- „Trochę” to mało powiedziane. Znaleźliśmy się w sytuacji podbramkowej i szczerze mówiąc, nie wiem, do kogo innego mógłbym się zwrócić.

- Mów dalej - zachęciłam go, coraz bardziej zaintrygowana. Nic nie mogłam na to poradzić. Przy wielu swoich minusach moja praca miała też sporo plusów, takich jak ten: moment, gdy nie wiadomo, co czeka za rogiem. Jakie będzie dziecko, z jakimi problemami, z jaką ponurą historią na swoim koncie?

John westchnął głośno.

- Słuchaj, Casey, też bym wolał nie zwracać się z tym do ciebie. I możesz się nie zgodzić, wiesz o tym, prawda? Chodzi o rodzeństwo. O dwoje dzieci...

- Dwoje? Rany!

- Właśnie. To jeszcze małe dzieciaki. Starszy chłopiec i młodsza dziewczynka. Sytuacja jest dramatyczna. Trzeba je jak najszybciej zabrać od rodziców. Są bardzo zaniedbane i z tego, co słyszałem, ich stan jest tragiczny. Pod względem psychicznym i fizycznym.

- Fizycznym? Ktoś je bił?

- Nie, nie w tym rzecz. Przynajmniej z tego, co wiem. Problemem jest raczej zaniedbanie. I to poważne. Te dzieci żyły trochę jak zwierzęta. Nie chcę cię okłamywać, Casey, nie będzie łatwo. Mają poważny problem. Trzeba je okiełznać. Na pocieszenie powiem jedynie, że chodzi o bardzo krótki okres. Zostaną u was tylko przejściowo. Dwa, góra trzy tygodnie.

- No cóż... - uśmiechnęłam się do Mike'a, który przypatrywał się mi z uwagą. - Znasz mnie: lubię wyzwania. Ale dwoje... ile mają lat?

- Ehm, sześć i dziewięć. Czy jakoś tak.

Czyli to jeszcze maluchy. Przynajmniej w porównaniu z ostatnią moją podopieczną.

- Słuchaj. Muszę oczywiście najpierw omówić to z Mikiem. - Mąż uniósł brwi. - Zapytać, czy nie ma nic przeciwko, dobrze? Zadzwońię za jakiś czas.

- Jasne.

Starannie doбираłam słowa, gdy przedstawiałam sytuację Mike'owi. Nie wiedziałam, czy wolę usłyszeć zgodę, czy sprzeciw. Z jednej strony to było coś nowego i emocjonującego: wyzwanie, choć na krótko. Ale dwójka poważnie zaniedbanych dzieciaków? To dla mnie zupełna nowość. Przywykłam do opieki nad jednym trudnym dzieckiem. A tu dwoje naraz, a do tego takich małych - sprawa wymagała namysłu. Zawsze przysyłano mi nastolatki, z nimi radziłam sobie najlepiej. Nastolatki z problemami, zgadza się. Ale nie takie maluchy!

Poza tym po raz kolejny dzieci powierzono by nam na krótko, choć to akurat tak całkiem mnie nie zaskoczyło.

Ale nie przeczę, trochę też zirytowało - w końcu zostaliśmy z Mikiem wyszkoleni na opiekunów specjalistycznych i mieliśmy stosować innowacyjny program zmiany zachowania. Uprzedzono nas już jednak, podobnie jak innych opiekunów, że na skutek rządowych cięć w budżecie musimy być elastyczni i podejmować się każdego rodzaju opieki, w zależności od potrzeb. Tak zapewne było rozsądniej: lepiej działać, niż siedzieć z założonymi rękami i czekać na dziecko, które sprosta odpowiednim kryteriom. Mimo to wielka szkoda, że nie mogliśmy robić tego, do czego zostaliśmy przygotowani. Już raz zastosowaliśmy wyuczony model, w przypadku Justina, naszego pierwszego podopiecznego, i zaobserwowaliśmy autentyczną poprawę. Ale co zrobić? Takie realia sektora publicznego. A słowa „poważnie zaniedbane” budziły we mnie instynkt macierzyński. Biedne szkraby. Jaka smutna historia się z nimi wiąże?

Mike patrzył na mnie z namysłem, przetrawiając to, co właśnie ode mnie usłyszał.

- Dwoje małych dzieci - powtórzył. - Jedno zaledwie sześćioletnie? Zamęczysz się na śmierć, kochanie. Masz tego świadomość, prawda?

Natychmiast się nastroszyłam. W końcu zapaliłam papierosa i ruszyłam z Mikiem w stronę parkingu.

- Bzdura - powiedziałam.

Dopiero niedawno przekroczyłam czterdziestkę i nie czułam się staruszką! Poza tym ostatnio miałam okazję przypomnieć sobie, jak męczące bywają małe dzieci. Przecież w naszym życiu pojawił się Levi. Zbyłam milczeniem uwagę Mike'a, że wnuczek przecież z nami nie mieszka. Teraz już naprawdę się wściekłam. Oczywiście, że sobie poradzimy. Przecież te dzieci nie mogą być aż tak trudne? Poza tym są wakacje. Nie trzeba się więc martwić szkołą. Będę spędzać z nimi czas na dworze, wynajdować im zajęcia. Jest park, jest basen, jest kino. Riley mi pomoże. Levi będzie zachwycony. Poza tym, przypominałam, zostaną u nas na krótko.

Kiedy skończyłam swój wywód, twarz Mike'a wciąż wyrażała wątpliwości.

- Słuchaj, kochanie. Chodzi mi tylko o ciebie - zapewnił. - Ja wyjdę do pracy. To ty z nimi zostaniesz. - Doszliśmy już do parkingu i Mike skręcił przy szlabanie. - Ale jeśli uważasz, że dasz sobie radę, to bardzo proszę, dzwoń do Johna. Powiedz, że się zgadzasz. Zresztą pewnie i tak nie zaakceptujesz odmowy, więc równie dobrze możemy skrócić jego męki.

Nachyliłam się i go pocałowałam.

- Damy radę, skarbie. A słowo „my” jest tu kluczowe...

- No, no. Wiesz, że ciągle jeszcze mogę zmienić zdanie!

Ale nie zmienił. Nie zrobiłby tego. Znał mnie. Radośnie złapałam za telefon i wybrałam numer.

Dwadzieścia cztery godziny później w domu wrzało jak w ulu. Ucieszyła mnie reakcja dzieci. Po opiece nad Sophią, której problemy poważnie odbiły się na całej naszej rodzinie, spodziewałam się, że dzieciaki podejść do sprawy z większą rezerwą. Kieron z miejsca zapalił się do pomysłu, że zabiorą z Lauren maluchy na kręgle. Z kolei Riley, choć trochę bardziej powściągliwa, a także świadoma - jak jej ojciec! - ile pracy jest przy takich berbeciach, też zakasała rękawy i przyłączyła się do pomocy.

Mieliśmy w domu cztery sypialnie: jedna moja i Mike'a, druga Kierona, trzecia teraz w różowe motylki i księżniczki, bo tak udekorowaliśmy ją na przybycie Sophii. Skoro jednak rodzeństwo nie miało z nami zostać na długo, nie było sensu wiele zmieniać. Uznałam, że różowy pokój idealnie nadaje się dla dziewczynki, a jej brat może zająć czwartą sypialnię, służącą obecnie za składzik sprzętu muzycznego Kierona i jego kumpla z uczelni: mikserów, wzmacniaczy i konsol potrzebnych didżejom. Trzeba tu było tylko porządnie posprzątać i

wynieść wszystkie rzeczy do szopy w ogrodzie.

Zgromadziliśmy już trochę więcej informacji. Przekazał nam je niezwykle wdzięczny John, który gdyby tylko mógł, przeczłogałby się przez przewody telefoniczne, żeby mnie uściskać. Z konieczności zadowolili się jednak wylewnymi podziękowaniami i zapewnieniem, że możemy liczyć na pełne wsparcie z każdej możliwej strony. Dzieci wreszcie zyskały imiona: dziewięcioletni chłopiec to Ashton, a jego sześciolatnia siostra to Olivia.

John zapewnił mnie, że reszty dowiem się po południu, gdy zadzwoni do mnie ktoś z opieki społecznej, tymczasem jednak chciał mi jeszcze tylko powiedzieć, że nowe łóżko jest już w drodze. Na szczęście Mike, który pracował jako kierownik magazynu i miał dość własnych obowiązków, wziął sobie dwa dni wolnego, żeby przygotować pokoje dla dzieci. Dzięki temu wiedziałam przynajmniej, że maluchy będą miały przyjemne miejsce do spania.

Wczesnym popołudniem upewniłam się już, że wszystko zmierza w odpowiednim kierunku, więc zostawiłam Mike'a i Kieroną przy malowaniu - znaleźli dużą puszkę niebieskiej farby, pozostałość z czasów, gdy odświeżaliśmy pokój dla Justina, naszego pierwszego podopiecznego. Ja i Riley wybrałyśmy się do miasta dokupić trochę rzeczy. Wcale nie uważałam, że to konieczne, ale słowo „zaniedbane” nie dawało mi spokoju, więc mimo że biedne dzieci miały z nami zostać na krótko, chciałam, żeby czuły się u nas bardzo dobrze. Szybko udało nam się zebrać trochę drobiazgów z okolicznych sklepów z używanymi rzeczami: książek, zabawek i puzzli, pluszaków i lalek - zwykłego, dziecięcego wyposażenia, dzięki któremu maluchy łatwiej się u nas zdomowią.

Właśnie wchodziłyśmy do domu, obładowane zdobyczami, gdy zabręczał telefon. Zgodnie z obietnicą dzwoniła pracownica opieki społecznej.

- Jestem Anna - przedstawiła się. Głos młody, ale bardzo profesjonalny. - Wprost nie mogę wyrazić naszej wdzięczności za pomoc. John wiele nam o was mówił i naprawdę nie wiem, jak byśmy sobie bez was poradzieli. A muszę przyznać - przygotowałam się psychicznie na złe wieści, bo ton Anny wyraźnie się zmienił - że sprawa zrobiła się jeszcze pilniejsza.

Nie do końca rozumiałam, co to znaczy. W tej „branży” niemal wszystko było „pilne”. A przynajmniej wtedy, gdy góra czegoś potrzebowała - bo niekoniecznie działało to w obie strony.

- Jeszcze pilniejsza?

- Musieliśmy zawiadomić rodziców. Że rano zabieramy dzieci...

- Rano? To znaczy jutro rano?

- Niestety tak. Zrobilibyśmy to już dziś, ale oczywiście musieliśmy was uprzedzić...

- A co ze wcześniejszym spotkaniem organizacyjnym? Nic o nich nie wiemy.

Powinłam się tego spodziewać, pomyślałam z przykrością, czekając na odpowiedź. Teoretycznie, zanim dziecko zostanie umieszczone w rodzinie zastępczej, trzeba przeprowadzić określoną procedurę: odbyć oficjalne spotkanie, w którym uczestniczą wszystkie zaangażowane strony, aby opieka społeczna zapoznała nowych opiekunów z sytuacją dziecka lub dzieci i aby przygotować plan działania na przyszłość. W praktyce jednak... Miałam wrażenie, że już to przerabialiśmy.

- Bardzo mi przykro, że stawiamy was pod ścianą. Oczywiście zorganizujemy spotkanie, gdy tylko rodzeństwo znajdzie się u was, i wtedy prześlemy wam wszelkie informacje.

Słyszałam niemal, jak Anna wstrzymuje oddech, szykując się na mój sprzeciw. Ale przecież się zobowiązałam, że pomogę, a poza tym te dzieciaki już potrzebowały domu.

- Dobrze - odparłam.

- Bardzo, bardzo ci dziękuję - powiedziała. Co raczej mnie zaniepokoiło.

Po niespokojnej nocy, poświęconej głównie sporządzaniu w myślach spisu rzeczy do zrobienia, usiadłam rano w ogrodzie i rozkoszowałam się cudownymi zapachami lata. Ogród wyglądał - i pachniał - naprawdę wspaniale, bo Kieron na moją prośbę skosił trawę, a Lauren wypieliliła rabaty. Pomyślałam, że miejsce idealnie nadaje się dla tych nieszczęsnych maluchów: pohasają tu sobie i trochę odreagują.

Choć poprzedniego wieczoru rozmawiałam z Johnem, wciąż niewiele wiedziałam. John częściowo wycofał się z pierwotnych, mało optymistycznych informacji. Zapoznał się trochę lepiej z sytuacją i zapewniał, że dzieci nie stwarzają zbyt wielu poważnych problemów. To tylko dwójka przestraszonych maluchów, które - nie z własnej winy - zostaną odebrane rodzicom. Nie chciałam sobie nawet wyobrażać powodów takiej sytuacji - istniało zbyt wiele przesłanek, by tego nie robić - ale z tego, co powiedział mi John (tyle, ile sam wiedział), rodzice po prostu nie radzili sobie z opieką nad dziećmi.

Smutne, a przy tym niestety bardzo powszechne. Odetchnęłam głęboko, ciesząc oczy feerią barw, i zaczęłam przygotowywać dla Mikea listę zakupów. Nie opuszczała mnie przy tym myśl - i nadzieja - że sprawy ułożą się na tyle dobrze, że za jakiś czas rodzice będą mogli odzyskać dzieci.

Do tego zasadniczo sprowadzała się nasza praca: staraliśmy się dawać nadzieję na przyszłość. Nadzieję na powrót dzieci do rodzin, a jeśli to nie wchodziło w grę, to chociaż na to, że dzieciaki rozwiną swoje umiejętności społeczne, a później znajdą gdzieś miejsce na stałe - u opiekunów, którzy zapewnią im spore szanse na szczęście.

Gdy tak siedziałam i rozmyślałam, po trawniku biegał Bob. Uśmiechnęłam się na jego

widok. Maluchy pokochają naszego psa. Na sto procent, bo Bob jest przeuroczy. Kieron zjawiał się z nim bez uprzedzenia niemal dwa lata temu. Pies marniał w schronisku, porzucony i niechciany. Uśmiechnęłam się do siebie. Najwyraźniej ratowanie skrzywdzonych dzieci i zwierząt leżały w naturze Watsonów.

- Skończyłaś? - Mike dołączył do mnie w ogrodzie. - Pytam, bo jak mam załatwić, co trzeba, przed przyjazdem dzieciaków, to powinienem się zbierać. - Przejrzał wręczoną mu listę, nie kryjąc zdumienia. - Skarbie! Na pewno potrzebujemy tego wszystkiego? Nawet jeszcze nie wiemy, co lubią te maluchy. Nie lepiej wstrzymać się z częścią zakupów do ich przyjazdu?

- Mike, wszystkie dzieci to lubią - odparłam. - I nie denerwuj mnie. Nie dziś.

Zasalutował żartobliwie.

- Rozkaz, Wasza Królewska Mość.

- No już, pospiesz się! - nakazałam z uśmiechem. - Czas ucieka!

Okazało się, że nie minęła nawet godzina, a przed dom zajechał samochód, ledwie parę chwil po tym, jak Mike wrócił obładowany wypełnionymi po brzegi torbami. Ponieważ jakiś czas nas nie było, szafki w kuchni świeciły pustkami, więc uprzątnęliśmy wszystko w ekspresowym tempie. Wiedząc, że dzieci mogą być dość mocno przestraszone, wygoniłam Kierona i Boba do ogrodu, żeby maluchy poznawały rodzinę stopniowo - Riley i jej partner David mieli wpaść z Levim dopiero następnego dnia. Do tego czasu rodzeństwo trochę się zadomowi i zapozna ze swoim tymczasowym domem.

Mike wyszedł przed dom, żeby się przywitać i pomóc wnieść rzeczy - nasza ostatnia podopieczna przytargała ze sobą całą stertę walizek - a ja tymczasem przygotowałam kubki. Gdy wyszłam na korytarz, Mike zdążył już wrócić - w ręce trzymał jedną małą walizkę i worek na śmieci. Za nim dreptały dzieci w towarzystwie mężczyzny i kobiety - Anny, jak się domyślałam.

W końcu wszyscy zgromadzili się na progu.

W tym momencie powinnam natychmiast wprowadzić gości do środka, ale nawet ja - a naprawdę wiele już w życiu widziałam - potrzebowałam chwili, by uwierzyć w to, co widzę.

John nie miał racji. Powiedzieć „zaniedbane” to za mało. Nieszczęsne maluchy były totalnie zdziczałe. Przede wszystkim rzucił mi się w oczy brud - tak gruba warstwa, że ich wychudzone ręce i nogi wyglądały niemal jak wytatuowane. Włosy miały potargane, niemal dready, a na sobie łachmany. Wytrzeszczały przerażone oczy i przyciskały się do swoich opiekunów jak małpiątka do matki. Gdy mężczyzna próbował wyplątać się z objęć chłopca, patykowata, brązowa rączka na nowo ścisnęła go z całych sił.

Zaraz potem dotarł do mnie ich zapach. Wręcz nieopisany smród. Tylko wysiłkiem woli powstrzymałam się, żeby nie zasłonić nosa ręką. Można czytać Dickensa, oglądać filmowe adaptacje jego książek i wyobrażać sobie opisywane przez niego rzeczy, ale dzieci, które stały przede mną, żywcem wyjęte z dickensowskiego sierocińca, cuchnęły wręcz niewyobrażalnie. Najbardziej jednak wstrząsnął mną - gdy z uśmiechem zapraszałam gromadkę dalej do środka - widok wszy na głowach tych dzieciaków. Wielokrotnie miałam do czynienia z zawszonymi uczniami w szkole, w której kiedyś pracowałam. I jak większość matek od czasu do czasu musiałam radzić sobie z tym problemem u własnych pociech. Ale czegoś takiego jak tutaj nie widziałam nigdy. Byłam tym porażona, gdy nachyliłam się, by uściskać dziewczynkę. Jej włosy wyglądały, jakby żyły własnym życiem. Im bardziej się człowiek przyglądał, tym wyraźniej dostrzegał kotłującą się masę pasożytów. Na głowie dziecka powstała istna metropolia wszy.

Nie, pomyślałam raz jeszcze. Powiedzieć „zaniedbane” to zdecydowanie za mało. Zerknęłam na Mike’a i wiedziałam, że jego myśli idą tym samym torem. Co jeszcze odkryjemy?

Walcząc z falą mdłości, wprowadziłam towarzystwo do środka i z przyklejonym do twarzy uśmiechem pochyliłam się, by poznać się z dziećmi.

Rozdział 2

- Ty na pewno jesteś Olivia. - Uśmiechnęłam się serdecznie do przerażonej małej. Podobnie jak brat miała zmatowiałe od brudu, potargane jasne włosy i przeraźliwie smutne, zapadnięte oczy: dwie wielkie plamy błękitu na bladej buźce. - A ty Ashton... - mówiłam dalej, uśmiechając się z kolei do rozczochranego chłopca. Zauważyłam, że choć jego włosy są skołtunione wokół głowy, mają prawie tę samą długość co włosy siostry.

Chłopiec nerwowo pokiwał głową. Skojarzył mi się nagle z dzieciakiem z filmu o II wojnie światowej, który wysiada z pociągu pełnego przestraszonych uciekinierów i za wszelką cenę chce zgrywać twardziela.

- Cieszę się, że mogę was poznać - dokończyłam z szerokim uśmiechem. - Chodźcie.

Wyprostowałam się zszokowana ich drobną posturą. Wyglądali na dużo mniejszych i młodszych, niż wskazywałby na to ich wiek. Zaraz potem zwróciłam się do towarzyszących im dorosłych.

- Miło mi państwa poznać - przywitałam się z mężczyzną i kobietą, wyciągając do nich rękę. Wyplątali się z objęć wciąż uwieszonych na nich dzieci i kolejno uścisnęli mi dłoń. - To mój mąż Mike - dokończyłam prezentację.

Mike przywitał się, po czym rzucił wesołe „cześć” do maluchów, które wyraźnie się skuliły na dźwięk jego głosu.

- Mnie też miło państwa poznać - odezwała się pracownica opieki społecznej. - Tak się zastanawiam... może dzieci gdzieś by sobie usiadły i pooglądały telewizję? Chcecie? - zapytała dwójki podopiecznych. Ashton pokiwał głową.

- Oczywiście - powiedziałam. - Chodźcie, dzieciaki. - Zaprowadziłam je do salonu i włączyłam telewizor. Przerzuciłam kilka kanałów, żeby znaleźć jakąś bajkę.

Mike tymczasem zaprowadził opiekunów do jadalni, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać przy kawie.

Dzieci usiadły blisko siebie na brzegu kanapy. Potulnie odebrały ode mnie sok i herbatniki, które przygotowałam z myślą o nich. Przypominały mi trochę statystów z Nędzników. Starłam się nie myśleć o tym, że ich głowy są tak blisko oparcia. Wszy nie potrafią skakać, pocieszyłam się w duchu, po czym zostawiłam rodzeństwo samo i dołączyłam do dorosłych.

Gdy weszłam do jadalni, Mike nalewał właśnie kawę.

- Proszę, kochanie. - Podał mi filiżankę.

Pracownica opieki uśmiechnęła się do mnie, gdy zajmowałam miejsce przy stole.

- Jestem Anna. Rozmawialiśmy przez telefon. A to Robert - dodała. - Robert Foster. - Mężczyzna uniósł dłoń na powitanie. - Zajmuje się sprawą tych dzieci.

Mike uporał się już z kawą i też usiadł przy stole.

- A więc - zaczął - co możecie nam powiedzieć o tej dwójce?

- Nie tyle, ile byśmy chcieli - przyznała od razu Anna. - Zajmuję się tą rodziną dopiero od kilku miesięcy. Z tego, co wiem, moja poprzedniczka opiekowała się nimi od sześciu lat, ale niestety teraz przebywa na długoterminowym zwolnieniu lekarskim, więc to dla mnie dość nowa sytuacja. Wiem tylko, że jest jeszcze trójka młodszego rodzeństwa, dzieci dwu, trzy - i czteroletnie, które umieszczono w rodzinie zastępczej dwa miesiące temu.

- Pięcioro! - wykrzyknął Mike, dając tym samym wyraz temu, co sama pomyślałam. Nie próżnowali.

Anna pokiwała głową.

- Tak, ale to ta starsza dwójka okazała się dla nas problemem. Opieka społeczna aż do teraz nie mogła znaleźć nikogo, kto by się zgodził je przyjąć.

- Czemu zostały odebrane rodzicom? - spytałam. - To znaczy widzę, że są zaniedbane, ale czy tylko o to chodzi? To jedyny powód?

Zarówno Anna, jak i Robert trochę się zmieszali. Tym razem odpowiedział Robert.

- Główny - odparł. - Tak, mniej więcej w tym problem. Poważne zaniedbanie, dość znaczna ilość skarg z różnych stron. Natomiast co do rodziców, to szczerze mówiąc, najwyraźniej nie potrafią zadbać o samych siebie, a co dopiero o piątkę dzieci. Są opóźnieni w rozwoju, oboje. Ojciec dość nieznaczne, ale matka poważne. Zastosowaliśmy więc oczywiście standardową procedurę. Niedługo odbędzie się rozprawa, aby uzyskać nakaz umieszczenia małoletnich w rodzinie zastępczej. Ale w miarę zbliżania się terminu rozprawy zaczęliśmy zwiększać częstotliwość naszych kontroli, a także, rzecz jasna, ich dokładność, i coraz wyraźniej zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że wyrządzimy dzieciom krzywdę, jeśli zostawimy je dłużej z rodzicami.

- Ale skąd ten nagły zwrot? - dociekał Mike. - Tego właśnie nie rozumiemy. Czemu teraz, a nie po rozprawie? Co skłoniło was do takiej decyzji?

Mike zadał kluczowe pytanie. Musiał być jakiś powód. Co takiego odkryli, poza wszami, smrodem i bardzo widocznym zaniedbaniem, co kazało im tak nagle zabrać dzieci z domu rodzinnego?

Odpowiedziała Anna.

- Tak jak powiedział Robert, sytuacja po prostu się pogorszyła. I mimo wielokrotnych

ostrzeżeń matka nie podjęła żadnych starań, żeby to zmienić. Po prostu nie mogliśmy ich tam zostawić, to wszystko. Nie dawała im jeść, nie myła ich, nie prała ubrań. Głównie tego typu rzeczy. Poza tym dzieci wygrzebywały jedzenie z kubłów na śmieci i kradły drugie śniadanie kolegom ze szkoły. Zasadniczo musieliśmy podjąć jakieś kroki... sami zresztą widzieliście.

Zerknęłam do salonu.

- Biedactwa - westchnęłam. - Są po prostu smutne i przestraszone. To musi być dla nich straszne.

- Tak. Bardzo traumatycznie przeżyły rozstanie z rodzicami. - Zobaczyłam ból na twarzy Anny. To był chyba najmniej przyjemny aspekt jej pracy. „Najmniej przyjemny” to za mało powiedziane: wyglądała na naprawdę przygnębioną. - Nie chciały puścić mamy. Błagały, żeby nie pozwoliła nam ich zabrać. Żeby im pomogła. Okropne...

Anna urwała; widziałam, że do tej pory to przeżywa.

- A co z ich rzeczami? - spytałam szybko, żeby zmienić zarówno ton, jak i temat rozmowy. - Nie mają chyba zbyt wiele, nawet według przyjętych w takich okolicznościach standardów?

- Właśnie - potwierdziła Anna. - Nie mają nic. Dosłownie nic. - Skinęła głową w kierunku korytarza. - Pomagałam się im pakować, więc was uprzedzam, że żadna z ich rzeczy nie nadaje się do użycia. Zresztą to tylko kilka okropnych piżam, zesmaconych bluz i koszulek, i nic więcej.

Zebrane przy stole osoby zalała wyczuwalna fala smutku. Biedne, nieszczęsne dzieci. Żeby znaleźć się w tak rozpaczliwych warunkach zupełnie nie z własnej winy.

- A więc... - Mike poszedł w moje ślady i próbował nadać rozmowie bardziej optymistyczny ton - powinniśmy wiedzieć coś jeszcze?

- Została kwestia lekarstw - odparła Anna. - Oczywiście wszystkich formalności dopełnimy podczas spotkania... - uśmiechnęła się przepaszająco -...podczas spotkania organizacyjnego. A tymczasem...

- Lekarstw? - przerwałam jej. - Jakich lekarstw? - Żadne z nas nic na ten temat nie wiedziało, co z miejsca mnie zaniepokoiło.

Sophia, nasza ostatnia podopieczna, cierpiała na rzadką chorobę Addisona, która stanowiła źródło wielu problemów, jakby innych było mało. Musiała przestrzegać ścisłej diety i codziennie przyjmować lekarstwa, a jakiegokolwiek odstępstwo mogło doprowadzić do poważnego zaostrzenia choroby. Jak się zdarzało nieraz. Wzdrygnęłam się na wspomnienie stresu, jaki wtedy przeżywaliśmy. A teraz powtórka z rozrywki? Co dolega tej dwójce?

- Ojej. - Anna zaczerwieniła się lekko. - John nic wam o tym nie wspominał? A może

to ja zapomniałam mu powiedzieć? U obojga zdiagnozowano ADHD. Ale wystarczy ritalin i po kłopotcie - uspokoiła szybko. - Dziś już oboje dostali po tabletkę, więc nie musicie się martwić. Właściwie w ogóle nie ma się czym przejmować. Trzeba tylko pamiętać rano o tabletkę i tyle. Są oczywiście pod opieką specjalisty, ale zostaną u was tak krótko, że to nie ma dla was znaczenia. Jedna tabletkę dziennie i problem z głowy.

Fakt, że dzieci cierpią na ADHD - zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi - nie był dla mnie wielkim żaskoczeniem. Dawniej jako terapeutka w miejscowym ogólniaku miałam do czynienia z mnóstwem dzieci dotkniętych tym zaburzeniem i dobrze znałam zarówno samą dolegliwość wraz z jej objawami, jak i skutki działania ritalinu - pod wpływem leku dzieciaki zamieniały się trochę w zombie. Ale fakt, w porównaniu z chorobą Addisona ADHD to pestka. Tak czy siak cała się najeżyłam. Nie ma to dla nas znaczenia? Oczywiście, że ma, ty głupia babo! I do tego wyskakuje z czymś takim w ostatniej chwili. Naprawdę wcześniej zapomniała? Nie sądzę.

- No dobrze - powiedziała z naciskiem. - Coś jeszcze powinniśmy wiedzieć?

- Nie. - Anna najwyraźniej nie zauważyła mojego kąśliwego tonu. - Tak jak mówiłam wcześniej, jutro zjawimy się u was o tej samej porze, żeby przeprowadzić właściwie spotkanie organizacyjne. Przywiozę całą dokumentację i... aha, prawie zapomniałam. Szef prosił, żeby wam to przekazać. - Wyciągnęła z torebki białą kopertę z plikiem dziesięciofuntowych banknotów.

- O, a to co? - Mike wyszczerzył się w uśmiechu. - Dodatek za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia?

- Dwieście funtów. - Anna uśmiechnęła się z pewną nieśmiałością. - Wiem, że to trochę nieprzepisowo, ale możecie je wydać według własnego uznania. To znaczy kupić wszystko, co uznacie za konieczne. Na pewno trzeba zaopatrzyć dzieci w mnóstwo rzeczy.

Trochę nieprzepisowo?, pomyślałam, zamykając kopertę. W istocie. Zwykła procedura zakłada, że kupujemy to, czego potrzeba naszym podopiecznym, po czym przedstawiamy paragony z bardzo szczegółowym wyjaśnieniem, na co i dlaczego wydaliśmy pieniądze. Zwykle mijały całe tygodnie, a czasem i miesiące, zanim wydana kwota wracała na nasze konto. Tak, to było bardzo dziwne. I dało nam obojgu do myślenia. Czemu nam się podlizują? Czy aż tak się boją, że zmienimy zdanie i odeślemy dzieci?

Nie musieli się tego obawiać. Gdy pracownicy opieki społecznej pożegnali się z Olivią i Ashtonem, zrobiłam szybki przegląd żalostnego stosiku w korytarzu. Anna miała raję. W walizce faktycznie znajdowały się dwie brudne, podarte piżamy, zwinięte razem z kilkoma Tshirtami w kolorze mętnej wody ze zmywania naczyń, plus kilka popękanych ramek ze

zdjęciami - fotografie zapewne przedstawiały mamę, tatę i całą piątkę rodzeństwa. W worku na śmieci nie znalazłam wiele więcej. Kilka ciuchów, których nie przeznaczyłabym nawet na szmaty do podłogi, pusta butelka ze smoczkiem i duża lalka bez ubrania. Wyglądała jak własność złego chłopca z Toy Story, było w niej coś złowrogiego; połowa głowy wystrzyżona, reszta włosów skołtuniona, wydłubane oczy i ślady długopisu na buzi i ciele.

- To lalka Olivii - szepnął Robert, wychodząc z salonu. - Mała jest do niej bardzo przywiązana. Dostała ją od taty, gdy miała cztery lata. To jej jedyna zabawka. Chłopiec nie ma nic.

- Serio?

- Tak. - Robert zmarszczył brwi. - Serio.

Delikatnie odłożyłam lalkę do worka. Pomyślałam, że to najbardziej wymowna metafora. I to pod każdym względem, jak się wkrótce mieliśmy przekonać.

Rozdział 3

Gdy wróciliśmy z Mikiem do salonu, dzieci siedziały dokładnie tam, gdzie je zostawiliśmy, ale jedna rzecz się zmieniła - zapach. W całym pokoju śmierdziało, więc otworzyłam okna. Biedne dzieciaki. Serce mi się krajało na myśl, że ktoś je doprowadził do takiego stanu.

- No dobra - rzuciłam wesoło. - Co byście chcieli najpierw zrobić? Pewnie zobaczyć swoje pokoje, tak?

Olivia natychmiast spojrzała na starszego brata. Cały czas trzymała go za rękę. Ashton przytaknął.

- A będziemy spać razem? - spytał nieśmiało. - Bo w domu tak śpimy.

Mike pokręcił głową.

- Nie. U nas ty będziesz miał ładny, duży pokój dla chłopca, a Olivia własny pokój.

Dziewczynka podskoczyła tak gwałtownie, że aż się przestraszyłam. W jej oczach zalśniły łzy. Była wyraźnie przerażona.

- Nie, proszę pana! - zapiszczała błagalnym tonem. - Śpię z bratem! Już mi zabrali braciszka i siostrzyczki! - dodała. - I ktoś się musi mną zajmować! - dokończyła, pociągając nosem.

Znów uderzyło mnie to, że wygląda na dużo młodszą niż sześć lat. Pochyliłam się i wzięłam ją na ręce. Okazała się lekka jak piórko. Miałam wrażenie, że trzymam całkiem małe dziecko, zwłaszcza gdy objęła mnie mocno rękami i nogami, a potem wcisnęła twarz w moją szyję i zanosła się płaczem.

- Cśś, skarbie - uspokajałam. - Obiecuję, że spodoba ci się twój pokój. To pokój księżniczki, specjalnie dla takich ślicznych dziewczynek jak ty.

- Ale proszę paniom - zaszlochała. - Ja zawsze sikam do łóżka, jak się boję, a będę się bardzo bać. Bardzo, bardzo! Przysięgam!

- No, tak będzie, proszę pani - wtrącił się Ashton. - Dlatego musimy spać razem.

Ucałowałam Olivię w czoło, starając się trzymać głowę jak najdalej od jej zawoszonych włosów, po czym posadziłam ją znów na kanapie.

- Słuchajcie, dzieciaki - zaczęłam łagodnie. - Po pierwsze, nie zwracajcie się do mnie „proszę pani”, bo czuję się, jakbym wróciła do szkoły. Mówcie do nas Mike i Casey. Zgadzasz się, Mike? - Uśmiechnął się i pokiwał głową. - Żadnego „proszę pana”, „proszę pani” w tym domu. A po drugie, już przygotowaliśmy dla was pokoje. - Odwróciłam się do chłopca. -

Ashton, masz dziewięć lat, więc już prawie dorosły z ciebie chłopak. Jesteś zdecydowanie za duży, żeby sypiać w pokoju z młodszą siostrą. Nic złego jej się nie stanie. Poza tym zostawimy otwarte drzwi i włączone światło w korytarzu, żeby się nie bała. Nie chcesz chyba spać w pokoju pełnym misiów i lalek, co?

Powinłam ugryźć się w język. Co ja sobie myślałam? Przecież te dzieci nigdy nie miały żadnych zabawek. Argument chyba jednak trafił do Ashtona.

- Racja, Olivia - odparł po namyśle. - Zresztą mam dość bycia w pokoju z dziewczynami. Chcę mieć dorosły pokój dla chłopaka, żeby robić chłopakowe rzeczy.

- To sobie rób! - wrzasnęła rozzłoszczona siostra, w jednej chwili przestając płakać. - A ja będę spała w pokoju księżniczki! I nie chcę w nim żadnych śmierdzących chłopaków, wiesz!

- W takim razie ustalone! - roześmiał się Mike. - Chodźcie. Na co czekamy? Pokażemy wam dom!

Powstrzymałam go jednak.

- Hm, Mike. Może ja im pokażę dom, a ty skoczysz do apteki po ten specyfik, no wiesz, którego używaliśmy, jak nasze dzieci były małe. - Nie bardzo rozumiał, o co mi chodzi, ale gdy zaczęłam dość sugestywnie drapać się po głowie, w końcu się połapał.

- A! Dobry pomysł! Kupić przy okazji coś jeszcze?

Już miałam mu odpowiedzieć, gdy wtrąciła się Olivia.

- Coś na wszy, Mike, dobra? Anna mówiła, że nas z nich wyleczycie.

Mike poszedł do apteki, a ja pomyślałam, że w tym czasie dzieciaki mogłyby zapoznać się z Kieronem i Bobem. Obaj wylegiwali się na słońcu: Kieron zasnął na moim leżaku, a pies zaległ pod jakimś krzakiem, co, biorąc pod uwagę jego futro, było dużo praktyczniejszym rozwiązaniem. Dzieci wydały okrzyk zachwyty i pobiegły głaskać Boba. Kieron obudził się i usiadł, wciąż rozespany. Przez chwilę pocierał oczy, po czym spojrzał na dwa maluchy i krzyknął:

- Co do...? O Boże, mam!

- Cśś! - upomniałam go. - Na litość boską, te dzieci nie są przecież głuche. Poza tym to tylko brud. Zaraz je wyszorujemy. Aha, i ostrzegam, mają wszy, więc nie za blisko, okej?

Zmarszczył z obrzydzeniem nos.

- Bez obaw. - Ale zaraz potem poderwał się z leżaka. - Cześć, maluchy! - zawołał. - Jak macie na imię?

Ashton przedstawił się nieśmiało i jeszcze raz zrobił tę samą dość poważną, oficjalną minę co w chwili przybycia. Pomyślałam, że to naprawdę słodkie. Tak jakby wiedział, że ma

obowiązek dać przykład siostrze i dobrze się zaprezentować. Widać było, że solidnie podchodzi do tego zadania.

- A to moja młodsza siostra. Olivia - wyjaśnił. - Ale chyba możesz mówić na nią Livs, prawda Livs? - Odwrócił się do siostry.

Dziewczynka stała zarumieniona, bo Kieron spoglądał na nią z uśmiechem.

- Mogę? - spytał. - Nie masz nic przeciwko temu?

Namyślała się chwilę.

- Czy ja wiem...? - odezwała się w końcu.

Kieron pokiwał głową.

- W takim razie powiedz mi, jak będę mógł. Dobra? - Z trudem zachowywałam powagę, słysząc tę rozmowę.

Czyli stanęło na Olivii. Przynajmniej na razie. Ale szło nieźle. Dzieciaki zapały wyraźną sympatią do Kierona - ale w końcu jest tak serdeczny, że nie wyobrażałam sobie, by mogło być inaczej. Zaproponowałam więc, żeby to on pokazał rodzeństwu ich nowe pokoje, a ja w tym czasie poszłam zadzwonić do Riley. Nie ma mowy, żebym ubierała te dzieci w szmaty, które ze sobą przywiozły - nadawały się tylko do spalenia - dlatego pilnie potrzebowałam dla nich ciuchów. Kochana Riley obiecała, że zaraz pojedzie do miasta i kupi podwójny zestaw koszulek i krótkich spodenek, a do tego jakieś klapki i majtki, żebyśmy jakoś przetrwali pierwszą noc. Gdy doprowadzę już dzieciaki do porządku, sama zabiorę je do sklepu, żeby sobie coś wybrały, ale na razie takie rozwiązanie musiało wystarczyć. Na szczęście było lato.

Dołączyłam do towarzystwa na górze w chwili, gdy Mike wrócił akurat z szamponem. Zbliżała się prawie pora obiadu, ale miałam ważniejsze sprawy na głowie. Musiałam pozbyć się wszy, zanim obleżą całą rodzinę. Może i nie skaczą, ale potrafią bardzo skutecznie się przemieszczać, a zestresowane małe dzieci potrzebowały mnóstwa pieszczot i tulenia. Niezbyt udane połączenie, jeśli ktoś nie chce nabawić się gnid.

- No dobra - zawołałam, wymachując butlą. - Czas na prysznic!

Reakcja był porażająca. Oboje skulili się na łóżku Olivii.

- O co chodzi? Musicie wskoczyć pod prysznic, żebym mogła wyszorować wam głowy swoim specjalnym czarodziejskim szamponem.

- Ale my się boimy - zakwiliła dziewczynka. - Nie lubimy prysznic.

- Nie ma czego bać - odezwał się Mike uspokajająco. - Casey, Kieron i ja codziennie bierzemy prysznic. To bardzo przyjemne. Spodoba się wam. Wiecie co... - Skinął na chłopca.

- Ashton jest starszy i już pewnie dorosły, więc pójdzie pierwszy, co? W ten sposób

zobaczysz, że to nic strasznego. Chodź, Ash! - rzucił wesoło.

Dzieciak miał przerażoną minę, ale dzięki Bogu wstał z łóżka i poszedł za Mikiem do łazienki, choć z dużym ociąganiem.

Olivia zerwała się na równe nogi i pobiegła za nimi. W drzwiach przycisnęła się do mnie nerwowo. Nietypowe było już samo to, że musieliśmy pomagać dzieciom w myciu. Ale Anna wspominała, że oboje wymagają asysty przy czynnościach związanych z higieną - przy kąpieli, myciu włosów, załatwianiu się, czyszczeniu zębów - bo nie mają pojęcia, jak o siebie dbać. Trzeba to będzie wpisać do karty dziecka. To dokument sporządzany przez opiekunów dla każdego z przyjmowanych podopiecznych. Szczegółowo opisywał kwestie związane z opieką, na przykład to, czy dziecku wolno się bawić na podwórku, czy może samodzielnie korzystać z komunikacji miejskiej, a także zawierał informacje zabezpieczające opiekuna przed ewentualnymi zarzutami, w tym takie, czy potrzebna jest pomoc w higienie osobistej i na ile można ingerować w prywatność dziecka w jego pokoju.

Już się zorientowałam, że krótki pobyt rodzeństwa u nas będzie się wiązał ze znacznym kontaktem fizycznym, więc gdy Mike pomagał Ashtonowi się rozebrać, odnotowałam w myślach, że musimy koniecznie zamieścić w dokumencie stosowne informacje. Gdy Ashton pozbył się już swoich łachmanów, Mike odkręcił wodę, sprawdził jej temperaturę i pomógł mu wejść do kabiny.

Nie minęło nawet kilka sekund, a łazienkę wypełniły rozzwierające wrzaski.

- Aaa! - krzyczał Ashton. - Aaa! Boli! Chcę wyjść!

Mike stał tyłem do mnie, ale teraz odwrócił się z nietęgą miną.

- Rzuć mi ręcznik, Case - poprosił. - Muszę go stąd wyciągnąć.

Złapałam ręcznik ze stosu czystych, które przynieśliśmy z szafy, i dopiero gdy podałam go Mikeowi, zobaczyłam, że chude ciało Ashtona pokryte jest mnóstwem zaognionych ranek.

Sama zaczęłam delikatnie wycierać chłopca, usiłując go uspokoić. Mike zakręcił wodę. W życiu nie widziałam czegoś podobnego.

- Spokojnie, kochanie - powiedziałam. - Już dobrze. Nie będzie prysznic. Może lepiej kąpiel.

Pokiwał głową i pociągnął nosem.

- W wannie mogę - zadeklarował odważnie.

To straszne. Wręcz potworne. Jak to możliwe, że te dzieci były w takim stanie, a opieka społeczna o niczym nie wiedziała?

- Od jak dawna masz te brzydkie, bolesne rany na ciele, skarbie? - spytałam.

Pokręcił głową. Mokre włosy na jego czole wyglądały jak przecinki.

- Nie wiem. Długo. Od zawsze?

Tak jak się spodziewaliśmy, Olivia też miała rany i strupy. To musiał być świerzb. Albo coś podobnego. Nie obędzie się bez pilnej wizyty u lekarza i jak najszybszego leczenia. Część ran była wyraźnie zakażona i zaropiała. Już dawno nie widziałam czegoś równie paskudnego. Stanem dzieci szczególnie przejął się Kieron. Miał łzy w oczach. Przyszedł sprawdzić, co się dzieje, akurat w chwili, gdy z Mikiem wyciągaliśmy Ashtona spod prysznicza.

Pomogliśmy chłopcu wejść do wanny i zaczęliśmy go ostrożnie myć. Kieron tymczasem przysiadł na toalecie z przerażoną Olivią na kolanach, starając się odwrócić jej uwagę od brata.

Jako rodzice zastępczy jeszcze nigdy nie znaleźliśmy się w tak intymnej sytuacji i choć nasza nowoczesna łazienka za nic nie przypominała takiego przybytku w wiktoriańskim sierocińcu, zastanawiałam się, co by pomyślał sobie ktoś, kto zupełnie przypadkiem stałby się świadkiem tej sceny. Spokojnie mógłby stwierdzić, że dzieci odbyły podróż w czasie, bo naprawdę wyglądały jak żywcem wyjęte z innej epoki. Trudno uwierzyć, ile brudu zeszło tego dnia z Ashtona. Delikatnie myliśmy go gąbką. Staraliśmy się nie szorować za mocno, ale mimo to od skóry odrywały się makabryczne, grube strupy, pozostawiając jaskrawoczerwone, zaognione placki. Widok był tak przykry, że nawet ja miałam łzy w oczach. Te dzieci żyły jak zwierzęta.

Dotarło to do mnie najbardziej obrazowo, gdy chciałam umyć Ashtonowi poobijane stopy. Przyjrzałam się im dokładnie, bo wyglądały bardzo dziwnie, i stwierdziłam, że chłopiec ma chyba zrosnięte palce. Nie zdarza się to często, ale nie jest znów aż tak rzadkie.

- Mike. - Szturchnęłam męża. - Zerknij na to.

Nachylił się i przyjrzał uważnie.

- Rany, Case... - szepnął. Zaczął delikatnie masować zgrubienie między paluchem Ashtona i sąsiednim palcem.

Aż westchnęliśmy, gdy na rękę spadł mu dziwny trójkącik. Spojrzeliśmy na to coś z przerażeniem. To brud! Wielki, szary czop brudu! Dalsze oględziny, przy których omal nie zwymiotowałam, wykazały, że pozostałe palce są tak samo zaklejone na sztywno brudem. Mike musiał użyć szczoteczki do zębów, aby w całości usunąć obrzydliwą skorupę, pod którą zobaczyliśmy otartą, siną skórę.

Potem wymyśliśmy z brudu wannę i odpływ, żeby wykąpać Oliwię. Dziewczynka była w nie lepszym stanie niż brat.

Dopiero po tych zabiegach mogliśmy ich porządnie wytrzeć - choć najdelikatniej jak się da - i ubrać w coś czystego. Ponieważ Riley miała przyjechać nie prędzej niż za godzinę, poprosiłam Kieron, by pogrzebał w swojej szafie i znalazł jakieś koszulki.

I na tym stanęło. Pół godziny później siedzieli razem z nim przy stole w jadalni: drobne różowe postacie w wielkich jak sukienki T-shirtach z emblematami jakichś zespołów, włosami wysmarowanymi preparatem na wszy i skórą wypačkaną resztką maści cynkowej (Levi przechodził niedawno ospę). Dzieci skubały nieśmiało tosty. Przygotowałam całą stertę i postawiłam na środku stołu. Nie chciałam tak późno dawać im nic więcej, żeby mogły potem zjeść normalnie kolację.

Kieron otrząsnął się już z szoku i najwyraźniej chciał pobawić się z dziećmi - przyniósł duży blok rysunkowy i flamastry - więc skorzystałam z okazji i wyszłam do ogródka zapalić.

Mike już tam był. Siedział przy ogrodowym stoliku w słońcu, plecami do mnie, i chował twarz w dłoniach.

Podeszłam do niego i pomasaowałam go po ramieniu.

- W porządku, skarbie?

Wyprostował się.

- Nie. Właściwie to nie. Boże, to straszne. W życiu nie widziałem czegoś takiego. No może w telewizji, ale... a niech to! W głowie mi się nie mieści, że są w takim stanie! Nie do wiary, że jakkolwiek rodzic, a już zwłaszcza matka, może tak zaniedbać własne dzieci.

Usiadłam i zapaliłam papierosa.

- Wiem, skarbie, ale tak bywa. A jeśli ona do tego jest opóźniona w rozwoju... Ale rozumiem, o czym mówisz. Przeczytać o czymś takim w gazecie lub obejrzeć w wiadomościach to jedno, ale to... szorowanie tych dzieci... zgadzam się. To wstrząsające. Człowiek dopiero wtedy zaczyna dostrzegać tę całą potworność.

Tak naprawdę chyba nie przeżyłam aż takiego szoku jak Mike i Kieron. Pracując wiele lat w szkole, niejednokrotnie widywałam dzieci z ubogich rodzin. Ale nigdy nie spotkałam się z czymś takim. Tu skala zaniedbania była zupełnie inna.

Ale przynajmniej dzieci były już czyste, a to zawsze coś. Teraz trzeba tylko jak najlepiej się nimi zaopiekować do czasu, aż przekazemy je komuś na stałe. Tyle przynajmniej możemy zrobić, pomyślałam. Zgasiłam papierosa i wróciłam do środka. Gdy weszłam do jadalni, dzieciaki siedziały z Kieronem pośrodku, który bawił się z nimi w zgadywanki: zaczynał rysować bohaterów z bajek, a Ashton i Olivia mieli jak najszybciej się domyślić, co to za postać.

Ten widok mnie fascynował, więc przyglądałam się im chwilę spod drzwi. Ashton, jako starszy, starał się zachować obojętność, natomiast Olivia wręcz przeciwnie: cały czas kiwała się podekscytowana, piszcząc i pakowała sobie rękę do buzi. Kieron wyjął jej delikatnie piąstkę z ust i zachęcił, żeby spróbowała zgadnąć jeszcze raz.

- To G... G... - zająknęła się przejęta. - Ash, to przecież G... G... - Wyciągnęła rękę i pociągnęła brata za wilgotne włosy. Dopiero po umyciu widać było, że są naprawdę długie.

Odnotowałam w pamięci, żeby koniecznie mu je przyciąć, choć z miękkimi po myciu loczkami wyglądał jak aniołek.

- Puszczaj, Livs! - krzyknął Ashton i rąbnął siostrę w głowę. - Ja wiem, kto to jest. Nie jestem tępy.

- Ej - upomniał ich Kieron. - Bez bicia, okej? Tak nie wolno, Ashton. Bardzo dobrze, Olivia! To Garfield. Mądra dziewczyna!

Aż mnie zatkało ze zdziwienia. To niesamowite, że mój syn wiedział, co Olivia chciała powiedzieć, bo mnie nic nie świtało. Miałam już właśnie podejść do nich i też pogratulować małej, gdy usłyszałam zgrzyt klucza w zamku i zobaczyłam przez okienko jakąś postać. Riley przyjechała z Levim i dostawą ubrań.

Uśmiechnęła się do dzieci, które wpatrywały się w nią z niepokojem.

- No, no, kto to u nas jest? - powiedziała. - Patrz, Levi. Masz nowych kolegów!

Na dźwięk imienia mojego wnuka dzieci w jednej chwili opuściła nieufność. Wstały od stołu i stanęły nad wózkiem. Levi, w doskonałej formie, wykonał swój popisowy numer. Miał dwadzieścia miesięcy i lubił szaleńczo wymachiwać rączkami, krzycząc przy tym: „Adziaa! Adziaa! Adziaa!”

Zwłaszcza OUvia była zachwycona, co mi przypomniało, że oboje pewnie przywykli do widoku takich maluchów, skoro mieszkali pod jednym dachem z trójką.

- Adziaa! - powtórzyła za nim. - Adziaa, dzidziu. Jaki ty jesteś słodziutki! Jak moja lalka! Ma na imię Polly! Zaczekaj, dzidziu, zaraz ją przyniosę!

Popędziła na górę, a Riley parsknęła śmiechem i zaczęła ściągać z kierownicy wózka torby, żeby zaprezentować zakupy.

- Widzę, że trafiło ci się żywe srebro!

Wesoły nastrój utrzymywał się przez resztę popołudnia, bo dzieciaki najwyraźniej polubiły Kierona i Riley. Powiedziałybym nawet, że przy nich czuły się dużo swobodniej niż przy mnie i Mike’u - my pewnie wydawaliśmy się im groźniejsi. Ale to nawet dobrze, pomyślałam. Zostawiłam ich i poszłam do kuchni szykować kolację. Przy odrobinie szczęścia moje dzieci z chęcią pomogą mi przy tej dwójce. A to bardzo dużo dla mnie znaczyło.

Dwunastoletnia Sophia borykała się z licznymi problemami i nieustannie wchodziła w konflikty z kimś z nas. Wspólnie przeżyliśmy równie dużo traumatycznych, stresujących chwil, jak tych dobrych i przyjemnych.

Tym razem sytuacja wydawała się mniej skomplikowana. Krótki pobyt maluchów w naszym domu zapowiadał się przyjemnie dla całej rodziny. Zresztą Riley sama chciała w przyszłości zostać rodzicem zastępczym, jak już odchowa własne dzieci, więc każde takie doświadczenie uważała za przydatny trening.

Tymczasem musiałam nakarmić swoich nowych podopiecznych. Stwierdziłam, że lepiej nie pytać ich o zdanie, bo nigdy dotąd nie dokonywały żadnego wyboru. Ostatecznie zdecydowałam, że zrobię parówki z fasolką.

- Ale my tym nie jemy - poinformowała mnie Olivia, gdy wręczyłam im sztućce tuż przed tym, jak nałożyłam kolację na talerze. - Jesteśmy za mali. Musimy mieć łyżki.

Oprócz łyżek przydałaby się im też nauka podstawowych umiejętności, pomyślałam i zamieniłam noże i widelce na łyżeczki. Postanowiłam, że zaczniemy naukę od jutra. Cieszyłam się też, że jednak nie przebrałam Ashtona i Olivii w nowe spodenki i koszulki, bo nawet wyposażeni w łyżki, których podobno potrafili używać, po krótkiej chwili narobili takiego bałaganu, jakiego nigdy nie zdarzyło mi się widzieć w wykonaniu dzieci - a przynajmniej tych powyżej szóstego miesiąca życia. Połowa posiłku wylądowała na nich: zarówno świeżo umyte włosy, jak i wyszorowane buzie i czyste koszulki zaczęły się potwornie lepić. Jedyny plus był taki, że i tak musieliśmy zmyć im preparat na wszy, więc przynajmniej miałam dodatkowy argument, żeby wpakować ich znów do wanny.

W czasie kolacji Mike omal nie pękł ze śmiechu. Mam bzika na punkcie sprzątanina - a raczej regularną obsesję - i widziałam, że zachowanie naszych prosiaków rozbawiło go do łez.

- Ojej - parsknął, ocierając oczy. - Szykuje ci się z nimi ubaw po pachy!

Kilka godzin później, kiedy leżeliśmy już w łóżku, wciąż jeszcze chichotał. Nie mógł przestać. I choć najpierw się na niego denerwowałam, to w końcu zaraził mnie tym śmiechem. Bo to faktycznie było zabawne. Akurat mnie, pani Doubtfire, nadpobudliwej i nadwrażliwej pani domu, trafiły się takie urwisy. Teraz więc rechotałam już z Mikiem na całego. Czeka mnie prawdziwe wyzwanie, uznałam. Ale po stresujących przeżyciach, jakie zafundowała nam ostatnia podopieczna, najprawdopodobniej dużo przyjemniejsze.

- Och, te maluchy są tak słodkie, że człowiek miałby ochotę ciągle je przytulać - stwierdziłam.

- Chyba ty, bo ja nie bardzo - odparł z uśmiechem Mike. - Przynajmniej do czasu, dopóki nie pozbędziemy się robali.

Na tę myśl wszystko zaczęło mnie swędzieć, ale zaraz potem odpłynęłam myślami. Będzie dobrze. To tylko dwójka uroczych, niewinnych dzieciaczków, którym naprawdę możemy bardzo pomóc.

Nie wiedziałam jednak, że szydło dopiero wyjdzie z worka.

Zerwałam się ze snu. Był środek nocy - a przynajmniej tak mi się zdawało. Nie skojarzyłam, co mnie obudziło, ale coś zdecydowanie mnie zaniepokoiło. Nie wiedziałam tylko co. Coś mi się przyśniło? Coś sobie wyobraziłam? Podświetliłam budzik. Czwarta rano. Może któreś z dzieci poszło do ubikacji. Wstałam cichutko z łóżka, żeby nie obudzić Mike'a.

Na paluszkach podkradłam się do pokoju Ashtona i zajrzałam do środka. Usłyszałam ciche pochrapywanie, więc nie o niego chodziło. Nagle zauważyłam, że drzwi do pokoju Olivii są zamknięte, choć zgodnie z obietnicą zostawiłam je na noc otwarte. Przez szparę na dole prześwitywało światło.

Ostrożnie nacisnęłam na klamkę, żeby nie przestraszyć małej... a razem z drzwiami otwierały się też moje usta. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Dziewczynka siedziała przycupnięta na łóżku z otwartym słoikiem dżemu i wybałuszała na mnie z przerażeniem oczy.

- Olivio? - zaczęłam łagodnie, choć z niedowierzaniem w głosie. - Co tu się dzieje?

Ubraną dżemem rączką odgarnęła z czoła grzywkę. Dżem był wszędzie: na jej buzi, włosach, piżamce, pościeli. Im dłużej się przyglądałam, tym mniej mogłam w to wszystko uwierzyć: cała kołdra zarzucona jedzeniem.

- Nie, pani - odpowiedziała z lękiem. Wycofywała się pod ścianę, mocniej przyciskając słoik do piersi. - To nie ja. Ja nic nie zrobiłam!

Najpierw ogarnął mnie wielki smutek. W każdych innych okolicznościach w pierwszym odruchu zezłościłabym się, ale widząc tę małą istotę skuloną pośród tego całego bałaganu, zrobiło mi się jej po prostu żal. Na łóżku panował chaos: wywrócona do góry nogami torebka cukru, otwarte opakowanie masła, dwa puste pudełka po płatkach. Mnóstwo papierków po batonikach. Urządziła sobie niezłą ucztę. To wyglądało na poważny napad obżarstwa, o jakich czyta się w artykułach o nastoletnich bulimiczkach. Ale to sześciolatka - jeszcze dziecko! Zastanawiałam się, skąd jej się to wzięło. Na pewno nie z głodu. Przez cały dzień jadła normalnie i nic nie wskazywało na to, żeby się nie najadła, a mimo to naznosiła i pochłonęła ogromne ilości jedzenia.

Przyczyna musiała być psychologiczna. Musiała się wiązać z jej przeszłością. Z naszych informacji wynikało, że z dużym prawdopodobieństwem w ich domu brakowało jedzenia, co potwierdzałoby skrajne wychudzenie dzieci. Może zachowanie Olivii brało się z

niepewności, kiedy znów dostanie jakiś posiłek. A może wcześniej tylko wymykając się nocą, mogła zdobyć odrobinę jedzenia? Biedna mała. Podeszłam do niej i przysiadłam na brzegu łóżka.

- Olivio, skarbie - odezwałam się łagodnie. - Nie wolno tak robić. Tak nie można. Po pierwsze powinnaś teraz spać, a po drugie zabrałaś rzeczy, które nie należą do ciebie. To kradzież. - Dziewczynka wpatrywała się we mnie jak zahipnotyzowana. - Byłaś głodna? - naciskałam dalej. - To dlatego to zrobiłaś?

W końcu pokręciła głową.

- Nie byłam głodna, pani. Przepraszam. Przysięgam na Boga wszechmogącego, że już tak nie zrobię, pani. Obiecuję!

Mimowolnie uniosłam brwi, słysząc, jak dziwnie się wyraża, i wyciągnęłam do niej rękę.

- Chodź do mnie, słoneczko - zachęciłam, przygotowując się na dotyk lepkich łapek, które zaraz się owiną wokół mojej szyi. - Umyjemy cię trochę i zrobimy porządek na łóżku, żebyś mogła znów się położyć.

Tak jak się spodziewałam, mała pozwoliła mi wziąć się na rękę. Zdjęłam z niej zapaskudzoną piżamę, a ciało wytarłam wilgotnymi chusteczkami dla niemowląt - nie stawiała najmniejszych oporów. Potem zwinęłam kołdrę wraz z całą jej zawartością i wyjęłam z szafy świeżą. Rano zajmę się bałaganem.

Olivia potulnie wsunęła się do czystej pościeli. Uznałam, że nie ma sensu więcej o tym dyskutować.

- No i już - powiedziałam tylko i nachyliłam się, by cmoknąć ją w czoło. - A teraz postaraj się zasnąć, dobrze?

Pokiwała głową i posłusznie zamknęła oczy. Ale ja rozbudziłam się na dobre. Czekало mnie urwanie głowy z tymi dzieciakami.

- Spałaś w ogóle, skarbie? - spytał Mike.

Rozdział 4

Nowy dzień przywitał mnie widokiem - i zapachem - parującego kubka kawy na nocnym stoliku. Pomyślałam, że kawa bardzo mi się przyda. Usiadłam na łóżku i stwierdziłam, że jest już strasznie późno.

- Niespecjalnie.

- Tak myślałem. Co się właściwie stało? Zsikała się w łóżko? Widziałem pościel na korytarzu.

Pokręciłam głową i opowiedziałam Mike'owi o zeszłej nocy.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził, gdy skończyłam swoją relację. - Naprawdę są jak żywcem wyjęte z Dickensa, co?

Napiłam się wrzącego, ale upragnionego napoju, i się skrzywiłam.

- A naszym zadaniem jest sprowadzić je do dwudziestego pierwszego wieku.

- Na szczęście tylko chwilowo naszym - pocieszył mnie Mike. - No dobra, pójde przygotować śniadanie, co ty na to?

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Jeśli uda ci się znaleźć jakieś płatki!

To właśnie lubiłam w porankach. Wraz z nadejściem nowego dnia wszystko wydawało się nagle bardziej znośne. Zebrałam myśli i owinęłam się szlafrokiem, gotowa stawić czoło nowemu dniu. Z pokoju Olivii dobiegały wesołe rozmowy i od razu zaczął mi wracać zwykły optymizm. Przyznaję jednak, że trochę przygasł, gdy zaraz po wejściu poczułam smród moczu, ale logika podpowiadała mi, że to było do przewidzenia. „Zaniedbanie” to zdecydowanie za mało pojemne słowo, by opisać równie poważny, złożony i wieloaspektowy problem. Mogłam się założyć, że nikt ich nigdy nie uczył, jak korzystać z nocnika. Ale ja pomogę im nadrobić te braki, poczynawszy od tej chwili.

Dzieciaki siedziały po turecku na podłodze i układały puzzle przy dudniącym telewizorze.

- Wstawajcie - powiedziałam, wymijając je, żeby otworzyć okno. - Pójdziemy się umyć, a potem czas na śniadanie, zgoda?

Olivia na mój widok zerwała się z podłogi i przylgnęła do mnie jak mały miś panda. Dobrze widzieć, że jest taka uczuciowa, pomyślałam, biorąc ją na ręce, ale trochę gorzej zobaczyć - czy raczej pocuć, w miarę jak przez mój szlafrok przesiąkała mokra plama - że jest cała przemoczona. A ja razem z nią. I Ashton też, jak się przekonałam, gdy się podniósł i

odstłonił mokrą plamę z tyłu piżamy.

Zagoniłam ich do łazienki i zaczęłam ściągać z Olivii mokre rzeczy. Ashton też się rozebrał do mycia. Staralam się nie przypatrywać mu otwarcie, mimo to zauważyłam, że jest bardzo zawstydzony. Przynajmniej tyle, pomyślałam. Zażenowanie z powodu nocnego moczenia to już połowa sukcesu. Na pewno niedługo odczy się moczyć. Właściwie może już to umiał, a tym razem doszło do tego wyłącznie z powodu dwóch trudnych dni.

Udając, że w ogóle nie dostrzegam jego mokrej piżamy, zwróciłam się do Olivii:

- Miałaś mały wypadek? - spytałam łagodnie i zaczęłam napuszczać wody do miski. Pytanie było retoryczne, to przecież jasne, że miała wypadek, ale jej odpowiedź poszerzyła znaczenie słowa „zaniedbanie”.

- Tak! - obwieściła z dumą. Podniosła z podłogi przemoczony dół od piżamy i radośnie zademonstrowała imponującą, jej zdaniem, plamę.

- Nie przejmuj się, Casey - odezwał się uspokajająco Ashton. - Spoko, niedługo przestanie sikać w majtki.

Dzięki Bogu, pomyślałam. Podmywałam jego siostrę, dyplomatycznie pozwalając mu, żeby tym razem sam się oporządził.

Gdy oboje byli już czyści i powycierani, ubrałam ich w przywiezione przez Riley rzeczy i sprowadziłam na dół na śniadanie. Zgodnie z obietnicą Mike już wszystko przygotował, ale wkrótce okazało się, że rodzeństwo w ogóle nie jest zainteresowane jedzeniem. Zaczęli się ze sobą droczyć, poszturchiwać się, gonić jak zwariowani po jadalni i szaleńczo śmiać bez wyraźnego powodu. Jakby ktoś podmienił mi podopiecznych, bo wczorajsze onieśmielenie bezpowrotnie zniknęło. Zwłaszcza Ashton wydawał się nagle zupełnie innym dzieckiem: chłopcem, który uwielbia doprowadzać siostrę do szału, ciągnąc ją za włosy, dokuczać jej, krótko mówiąc: znęcać się nad nią, co również wymagało interwencji.

- No dobra - odezwał się surowo Mike, próbując przywołać ich do porządku. - Dość tego. Siadajcie grzecznie! Śniadanie na stole! - Ale jego słowa spotkały się z całkowitym brakiem odzewu.

Podeszłam do stołu z dwiema wypełnionymi po brzegi miseczkami płatków i spróbowałam swoich sił:

- Dosyć! - krzyknęłam, żeby nad nimi zapanować. Ale nic z tego: i jedno, i drugie zupełnie nas ignorowało. Uznałam, że trzeba zmienić taktykę. Może nauczyli się nie zwracać uwagi na podniesione głosy. Postawiłam więc miski na stole i powiedziałam ciszej: - W porządku. Śniadanie będzie tu stało pięć minut. Jeśli nie zaczniecie w tym czasie jeść, uznam, że nie jesteście głodni, sprzątnę ze stołu i nie dostaniecie nic aż do obiadu.

To na szczęście podziałało. Poczułam na sobie podejrzliwe spojrzenie dwóch par oczu. Dzieciaki najwyraźniej wzięły sobie moje słowa do serca, bo zaraz usadowiły się na krzesłach, chwyciły łyżki i zabrały się do jedzenia.

Ciągle przypominało to jednak porę karmienia w zoo.

- Boże, Casey - szepnął Mike. Stał obok mnie pod ścianą i przyglądał się im z rozpaczą. - Jeśli dalej tak pójdzie, to będzie koszmar! Mam nadzieję, że trochę się uspokoją!

Cholera! Nagle sobie przypominałam.

- Mike, lekarstwa! To przez to cholerne ADHD! Przecież z samego rana muszą zażyć po tabletkę, no jasne!

Przy tym całym zamieszaniu zupełnie zapomniałam spytać, o której mają brać lek. Teraz już znałam odpowiedź. Zaraz po obudzeniu, jak najszybciej się da! Migiem zaaplikowałam każdemu po tabletkę i modliłam się, aby na efekty nie trzeba było długo czekać. Bo naprawdę odnosiłam wrażenie, że patrzę na dzikusów. Choć mieli łyżki, posługiwali się głównie rękami. Ładowali sobie jedzenie do ust w zastraszającym tempie i przy okazji połowę upuszczali na podłogę. Poza tym nie usiedli normalnie na krzesłach, tylko przykucnęli jak szympansy, jakby szykowali się do skoku albo do ucieczki.

Zauważyłam, że miska Olivii jest już pusta, więc chciałam ją uprzątnąć, ale znieruchomiałam, gdy sześciolatka najzwyczajniej na mnie warknęła. Rozczapierzyła ręce jak szpony i zaczęła syczeć: to było naprawdę coś. Nagle Ashton rąbnął pięścią w stół tak, że aż podskoczyłam.

- Przestań, Livs! - krzyknął.

Dziewczynka spuściła głowę i zachlipała, wyraźnie przestraszona. Nie wierzyłam własnym oczom.

Dopiero po godzinie dzieci całkiem się uspokoiły. W tym czasie podsuwałam im puzzle, kolorowanki, proponowałam grę w piłkę w ogródku... Usiłowałam nawet zrobić zabawę ze wspólnego sprzątanego w kuchni. Nic nie skutkowało. Przynajmniej do momentu, gdy lekarstwo w końcu zaczęło działać. Zmiana była gwałtowna i porażająca. Oczywiście miałam w szkole okazję widywać skutki działania ritalinu, ale ten zwrot wydawał się wręcz drastyczny. Mimo wszystko odetchnęłam z ulgą.

Niestety teraz przypominali zombie. Choć wykonywali moje polecenia - to dobrze - byli też nieźle skołowani i lekko przygaszeni, bez humoru. Widocznie dostawali dość dużą dawkę. Zapisałam sobie w pamięci, żeby zabrać ich do doktora Shackletona, u którego leczylimy się od lat i który zawsze chętnie pomagał nam przy naszych podopiecznych. Może przy odpowiednim wsparciu i w sprzyjającym otoczeniu uda się stopniowo zmniejszyć dawkę

leku. Fajnie, gdyby zrobiły pod tym względem jakieś postępy, zanim prześlemy je dalej. Biorąc jednak pod uwagę ograniczone ramy czasowe, prosiłam pewnie o wiele.

W kuchni pojawił się Kieron. Mój syn skończył już studia i właśnie szukał pracy. Dzieciaki się uspokoiły, więc zaproponował, że pomoże Mike'owi zająć się nimi, gdy ja i Riley pójdziemy na porządne zakupy. Miałam nadzieję, że za jakiś czas zabiorę Ashtona i Olivię ze sobą, ale na razie wolałam je zostawić bezpiecznie w domu, bo nadal nie wiedziałam, czego się po nich spodziewać. Musiałam się spieszyć, bo mieliśmy później umówione spotkanie z opieką społeczną. Zakupy będą więc siłą rzeczy przypominać nalot na sklep - w duchu modliłam się, żeby do podobnych dzikich akcji nie doszło w domu.

Riley i ja uwielbiałyśmy zakupy. Wypadki do sklepów z córką były jedną z tych zwykłych rzeczy, które sprawiały mi ogromną przyjemność. Zaraz po zabawie z Levim. Bez względu na aktualne problemy sytuację niemal zawsze dało się rozładować spotkaniem z Riley, wspólnym czasem matki i córki.

Poza tym zdecydowanie umiałyśmy kupować. W krótkim czasie zgromadziłyśmy po pięć zestawów bielizny, pięć zestawów na chłodniejsze dni, pięć na cieplejsze, po dwie pary nowych butów, dwie kurtki, dwie piżamy, a do tego dwie pary zabawnych dziecięcych kapci. Dorzuciłyśmy też trochę puzzli, pudełko klocków lego, kilka książek i dwie nowe gry na Playstation, bo te, które mieliśmy, nadawały się raczej dla starszych dzieci. Wybrałyśmy też dwie lalki dla Olivii: jedną z długimi włosami i bobasa, który pił i moczył pieluszkę. W komplecie był też nocnik - mógł się przydać do nauki siusiania. A tą sprawą musiałam się jak najszybciej zająć, zwłaszcza w przypadku Olivii. Spokojnie wydałam ponad dwukrotnie więcej, niż dostawałam z opieki społecznej, ale wcale się tym nie przejmowałam. Kiedyś odzyskam pieniądze.

- Już się nie mogę doczekać ich min! - powiedziałam, gdy ładowałyśmy łupy do bagażnika. Ona też była podekscytowana.

- Ja dam Olivii dzidziusia, dobrze? - spytała. - Boże, jak ja uwielbiałam swojego bobasa, gdy byłam mała!

Pokiwałam głową; poniewczasie wyobraziłam sobie z kolei minę Mikea, kiedy się dowie, ile wydałam. Trudno. Te dzieci potrzebowały dużo ważniejszych rzeczy niż zabawki: bezpieczeństwa, miłości, jasnych granic i trochę dyscypliny... i zabawy oczywiście też.

Wkrótce mieliśmy sobie boleśnie uświadomić, jak dużo tak naprawdę potrzebowały. Nasz powrót i prezentacja zakupów nie spotkały się jednak z wybuchem radości, okrzykami zachwytu i wielkimi emocjami, ale z obojętnością. Owszem, oboje zachowali się grzecznie, podziękowali i mnie, i Riley, ale okazali wręcz zerowe zainteresowanie zabawkami, grami i

książkami, które dla nich kupiliśmy. Ogólnie mieli takie miny, jakby w ogóle tego wszystkiego nie chcieli. Przykry widok.

Samochody zajęły przed dom punktualnie na zaplanowane na czternastą spotkanie. Z pierwszego wysiedli Anna z Robertem, z drugiego John. Najwyraźniej nie jechali razem.

Dzieci były już po obiedzie (na szczęście po zażyciu leków posiłkowi nie towarzyszył już taki obłęd jak przy śniadaniu) i siedziały przed telewizorem w salonie. Zostałam więc je w spokoju i poprosiłam troje naszych gości do jadalni. Mike zajął się szykowaniem kawy i herbaty. Uśmiechnęłam się pod nosem, gdy po wielkopańsku postawił na stole dzbanuszek na mleko i cukiernicę od kompletu. Kupiłam je dopiero niedawno, z myślą o takich właśnie spotkaniach, bo nigdy wcześniej nie czułam potrzeby, żeby posiadać szykowną zastawę. Pamiętam komentarz mojej mamy, gdy zobaczyła to po raz pierwszy w szafce.

- Proszę, proszę, Casey! - zakpiła. - Co za Francja elegancja! Dzbanuszek na mleko i cukiernica to prawdziwy wyznacznik sukcesu! Żeby tylko teraz woda sodowa nie uderzyła ci do głowy!

Zaczęłyśmy się śmiać. Nasza rodzina zdecydowanie nie należała do wytwornych. Ale skoro mam regularnie gościć u siebie najróżniejszych pracowników opieki społecznej, stwierdziłam, że muszę nieco podrasować porcelanę. Dość absurdalne, gdy człowiek pomyśli, o czym się zwykle rozmawia podczas tych spotkań.

Po wymianie uprzejmości i oficjalnej prezentacji Anny i Roberta Johnowi przeszliśmy od razu do rzeczy. W powietrzu natychmiast dało się wyczuć lekkie napięcie, choć na razie jeszcze nie wiedziałam dlaczego.

Pierwszy głos zabrał John.

- No dobrze - zaczął. - Przede wszystkim chciałbym poznać trochę dokładniej historię i sytuację rodziny tych dzieci, a poza tym dowiedzieć się, na jak długo przewidujecie ich pobyt w tym domu. Mike i Casey - zerknął na nas - to ważna część mojej ekipy. Na pewno zdajecie sobie sprawę, że przyjmując do siebie to rodzeństwo, wyświadczają wam uprzejmość. I nie można z niej korzystać w nieskończoność. - Konkretnie i na temat. Bez owijania w bawełnę. Cały John.

Spojrzałam na Annę i Roberta. Nerwowo wiercili się na krzesłach. Zastanawiałam się, co zaraz usłyszymy.

- Postaram się odpowiedzieć na twoje pytania jak najszczerzej, John - odezwała się Anna. - Mam świadomość, że nas uratowaliście, i doceniam to. - Uśmiechnęła się do mnie ze smutkiem. - Wiemy też, że to ponadprogramowe działanie. - Przejrzała jakieś papiery i wyciągnęła kilka kartek. - Więc tak: po raz pierwszy zainteresowaliśmy się tą rodziną jakieś

osiem lat temu. Ashton był jeszcze wtedy jedynakiem. Karen i Kevin Wardhillowie, czyli rodzice, są, jak wiecie, opóźnieni w rozwoju. Problem zgłosiła nam kuzynka Kevina, Sue. Poinformowała, że rodzice zaniedbują dziecko. Zapominają je karmić, zostawiają w domu bez opieki, tego typu rzeczy. Przeprowadziliśmy wywiad, ale raport naszego pracownika brzmiał jednoznacznie. Stwierdził, że Ashton jest zdrowy i szczęśliwy. Na tym sprawa się skończyła.

- Ale skoro to kuzynka ojca dziecka była zaniepokojona, to... - wtrąciłam.

Anna wzruszyła ramionami.

- Raport jest jasny. W tamtym momencie uznano, że jej obawy są bezpodstawne. Poza tym ludzie kierują się różnymi pobudkami... Ale, jak to mówią, akcja nabrała tempa, bo kobieta rok później zgłosiła się na policję. Twierdziła, że jej kuzyn, to znaczy Kevin, od wczesnej młodości wykorzystywał ją seksualnie. Policja oczywiście zażądała interwencji. Biorąc pod uwagę nowe zarzuty wysunięte w stosunku do pana Wardhilla, uznaliśmy, że należy stale obserwować zarówno Ashtona, jak i ewentualne kolejne dzieci.

- I? - spytał Mike.

- Kuzynka wycofała zarzuty. Nie znam szczegółów, ale już zaangażowaliśmy się w sprawę. Ziarno niepokoju zostało zasiane.

Pomyślałam, że od tego czasu upłynęło wiele wody w rzece i problem dotyczył wielu dzieci. Sprawa nabierała rozmachu.

- I co dalej? - chciałam wiedzieć. - Dorobili się jeszcze czwórki dzieciaków, a mówisz, że opieka społeczna zajęła się rodziną, gdy Ashton był malutki. Jakim cudem to wszystko tak się skończyło?

Anna odchrząknęła, wyraźnie zażenowana. A jej mina upewniła mnie, że zaraz usłyszymy aż zbyt dobrze znaną historię. Ale w takiej sytuacji nie wiadomo, co gorsze: usłyszeć czy nie usłyszeć.

- Robercie, może ty przedstawiś kolejne raporty i zalecenia - zaproponowała Anna.

Facet wyciągnął teczkę z leżącej na stole aktówki.

- Wiem, jak to wygląda - zaczął. - Ale przez te lata rodziną zajmowały się różne osoby i każda z nich ustalała własne priorytety i plany działania. Z perspektywy czasu wyraźnie widać, że już dawno trzeba było zająć się tą rodziną, ale musicie pamiętać... - zrobił bardzo poważną minę - że naszym podstawowym celem jest zawsze pomóc rodzicom. Dać im do ręki narzędzia i strategie, żeby mogli sobie poradzić. Nie chcemy rozdzielać kochających się rodzin. Robimy to tylko w ostateczności.

Wpatrywałam się w niego ze zdziwieniem. Dzieciaki były u mnie zaledwie od dwóch

dni i już po tak krótkim czasie zorientowałam się, że pochodzą z mocno zaburzonej rodziny. Nie chciało mi się wierzyć, że Robert uważa - a na to wyglądało - że powinny mieszkać z rodzicami. Czy to właśnie zamierzał powiedzieć?

- Czemu w takim razie zostały odebrane rodzicom?

- Bo w końcu zdaliśmy sobie sprawę, że oni naprawdę sobie nie radzą. Zostali kilkakrotnie ostrzeżeni, wiele razy interweniowaliśmy, ale każdy rok dostarczał nam kolejnych dowodów, że źle się dzieje. Dzieci wyglądały w szkole niechlujnie... - Uśmiechnęłam się cierpko: opisywać ich stan tak łagodnym słowem! -...chodziły głodne, włóczyły się po nocy... od najmłodszych lat kradły i wpadały w tarapaty. Wygrzebywały jedzenie ze śmietników, podkrażały kolegom drugie śniadania... Możecie się zapoznać z całym raportem... W każdym razie lista zarzutów była długa, więc ostatecznie wniesiliśmy sprawę do sądu.

John przysłuchiwał się temu uważnie, robiąc notatki.

- Aha, do sądu. Z tego, co rozumiem, sprawa jest w toku, zgadza się?

- Tak - potwierdziła Anna. - I znów została odroczone. Ostatnia rozprawa miała się odbyć w tym tygodniu, ale rodzice mają chyba innego adwokata, który domaga się sporządzenia nowej opinii psychologicznej zarówno na temat rodziców, jak i dzieci.

- Wiadomo dlaczego? - spytał John. - Szykują się do obrony? I co to oznacza w kontekście znalezienia dzieciom stałego domu zastępczego?

- Szczerze mówiąc, w tym właśnie problem - przyznała Anna. - Dopóki sąd oficjalnie nie odbierze Wardhillom praw do opieki nad dziećmi, trudno będzie umieścić je gdzieś na stałe. Jeśli to zrobimy, adwokat rodziców na pewno zarzuci, że przesadzamy o treści wyroku.

Trochę się w tym pogubiłam, ale Mike na szczęście nadał.

- Chwila - odezwał się wreszcie, bo do tej pory głównie słuchał. - Chcecie w takim razie powiedzieć, że „krótki”, „tymczasowy” pobyt może tak naprawdę znacząco się przedłużyć?

John najwyraźniej rozumiał to w podobny sposób.

- Zgadza się, Mike - potwierdził i odłożył z hukiem długopis. - Myślę, że Anna właśnie o tym mówi. Wcale mi się to nie podoba. Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że zostaliśmy wprowadzeni w błąd. Musieliście przecież o tym wiedzieć, gdy kontaktowaliście się ze mną w zeszłym tygodniu?

Posypały się zarówno ostre słowa, jak i przeprosiny, ale ja jednym uchem słuchałam wzajemnych oskarżeń, a drugim łowiłam odgłosy wydawane przez dwójkę siedzących w salonie maluchów. Śmiały się do rozpuku, pewnie z oglądanej bajki, zupełnie nieświadome

faktu, że w sąsiednim pomieszczeniu rozstrzyga się ich przyszłość - ponura i niepewna. - Nagle wszystko dotarło do mnie bardzo jasno. Jeśli my ich nie zatrzymamy, to kto? A gdy wyszło na jaw, że opieka społeczna szukała dla nich miejsca od roku - John już całkiem się zeźlił - zdałam sobie sprawę, jak dużo do tej pory musiały wycierpieć. Nic dziwnego, że wydawały się tak zdziczałe.

W tym momencie postanowiłam, że musimy je zatrzymać - tak długo, jak będzie trzeba. Potrzebują domu i bezpieczeństwa, przyjaznego otoczenia. Czemu my nie mielibyśmy im tego zapewnić? Zerknęłam na Mikea i z ulgą stwierdziłam, że jego myśli idą tym samym torem. Dobrze, że te biedne, „zaniedbane” brzdące mogą liczyć przynajmniej na nas, stwierdziłam w duchu.

Choć być może dwa razy bym się zastanowiła, gdybym wiedziała, co nas czeka.

Rozdział 5

Przywieźliśmy prezenty!

Minął mniej więcej tydzień i moi rodzice przyjechali z wizytą. W opiekę nad przybranymi dziećmi zawsze angażowała się cała rodzina, ale przy dwójce, którą obecnie się zajmowaliśmy (i ze świadomością, że najprawdopodobniej aż tak szybko się nie rozstaniemy), uważałam za szczególnie ważne, by zebrać przy sobie wszystkich najbliższych. Miałam poczucie, że tym razem dzieci naprawdę skorzystają na kontakcie z dużą, kochającą się, normalną rodziną, której zostały tak boleśnie pozbawione.

- Ojej, mammo, nie trzeba było - powiedziałam z uśmiechem, gdy zobaczyłam, że za nią idzie tata i ciągnie duży wózek zakupowy ze sklepu zabawkowego.

- Ale to dla nas przyjemność - odparła. - Naprawdę, skarbie. Pomyśleliśmy, że coś sobie wspólnie z maluchami namalujemy. A wy urwiecie się gdzieś na godzinę - dodała i cmoknęła mnie w policzek.

Olivia wyszła z salonu zobaczyć, kto przyszedł, i zaczęła podskakiwać z radości i domagać się, żeby wziąć ją na ręce. Zachowywała się raczej jak dwu, a nie sześciolatka.

- Babcia i dziadek! - wrzasnęła uszczęśliwiona, a Ashton tymczasem stanął w drzwiach z onieśmiałym uśmiechem.

Całą gromadą stłoczyliśmy się w kuchni. Zaczęłam robić herbatę, a dzieci zaciągnęły moich rodziców do stołu. Ashton od razu polubił moją mamę i gdy tylko usiadła, przysunął sobie do niej krzesło.

- No dobrze, kolego - odezwała się, gdy tata postawił na stole torbę. - Zobaczmy, co my tu dla was mamy?

Olivia z kolei namówiła tatę, żeby wziął ją na kolana, i zaczęła gładzić go po włosach i całować w policzki. Zerkałam na nią kątem oka. Trochę się o nią martwiłam i powoli zapalała mi się czerwona lampka. Choć bardzo się cieszyłam, że Olivia - i Ashton w zasadzie też - jest bardzo uczuciowa w stosunku do członków naszej rodziny (w przypadku dzieci z patologicznych domów zwykle było odwrotnie), to zauważyłam, że mężczyzna traktuje inaczej. Zachowywała się wyraźnie zalotnie. Nie robiła tego świadomie - na Boga, miała sześć lat! - ale fakt pozostawał faktem. Trochę mnie to niepokoiło.

Dziś było tak samo.

- Dziadziu, mogę ci siąść na kolanach? - spytała. - Casey ma kościste nogi i niewygodnie mi u niej. Mogę z tobą siedzieć i malować?

Tata roześmiał się i posadził ją na krześle.

- Dużo lepiej ci będzie malować z własnego krzesła - stwierdził.

Uśmiechnęłam się w duchu: zachodziło też wtedy dużo mniejsze ryzyko, że zostanie upakowany farbą.

- No to co? - spytał, gdy mama zaczęła otwierać pojemniczki. - Co malujemy? Może twój śliczny nowy pokoik?

Ale Olivia w ogóle go nie słuchała. Marudziła i marudziła, póki tata nie ustąpił i nie wziął jej w końcu na kolana. Wkrótce potem w kuchni zapadła cisza, bo malowanie całkowicie ich pochłonęło.

Odwróciłam się, żeby poszukać jakichś ciastek i nalać rodzicom herbaty. Ale po chwili usłyszałam surowy głos taty:

- Nie, Olivio. Tak nie wolno. Jeśli nie przestaniesz, zsadzę cię z kolan.

- Ale ja tylko kręciłam pupką, dziadziu - powiedziała otwarcie. - Nie lubisz, żeby małe dziewczynki kręciły ci pupką?

Tata wydawał się równie przerażony jak ja. Podskoczyłam do nich i zabrałam mu Olivię. Widziałam, że odebrało mu mowę. Nic dziwnego.

- Chodź, kotku - powiedziałam do zdumionej sześciolatki. - Usiądziesz z bratem. Dziadziuś chce się teraz napić herbatki, która jest gorąca.

Olivia naburmuszyła się urażona, że kazano jej zająć miejsce obok Ashtona. Oparła się łokciami o stół i ułożyła brodę na rękach.

- Tęsknię za moim dziadziem - powiedziała nadąsana. - Kiedy do niego pojedę?

- Nie wiem, kochanie. Ale spróbuję się dowiedzieć. Mam pomysł. Namaluj dla niego coś ładnego, dobrze? A Anna przekaże mu obrazek.

To jej wcale nie udobruchało. Skrzywiła się.

- Dziadzio nienawidzi Anny. Zabrała nas i nie wolno nam jej nic mówić! - Olivia wyraźnie się zdenerwowała, co na pewno zwróciło uwagę moich rodziców. Bo moją bez dwóch zdań. Zaczęła wymachiwać rękami, żeby wyładować złość. - Zwłaszcza o specjalnych przytulaskach dziadzia. To niesprawiedliwe! Mój biedny dziadzio nie ma innych małych dziewczynek, żeby kręciły mu pupką. I na pewno jest mu smutno!

Dziwny dobór słów jak zwykle wzbudził mój niepokój, ale dużo bardziej zszokowało mnie ich znaczenie. Wyczuwałam rosnące skrępowanie moich rodziców, gdy dotarł do nich sens jej wypowiedzi.

- Już dobrze, słoneczko - uspokajałam, gładząc ją po głowie. - Już dobrze. Dziadziuś z pewnością wie, że bardzo go kochasz i że za nim tęsknisz. Wiesz co? Odłożmy malowanie na

później, a teraz pójdźcie z Ashtonem pobawić się w ogródku z Bobem, a ja z babcią i dziadkiem napijemy się herbatki, co?

Na szczęście pomysł jej się spodobał. Zeskoczyła z krzesła i złapała brata za rękę.

- Chodź, Ash. Pogramy z Bobem w piłkę. - Wybiegli do ogródka.

Tata odprowadził ich wzrokiem i pokręcił głową.

- Rany boskie, Casey. To chore. O czym ona, do cholery, mówiła? Specjalne przytulaski dziadzia? - Zamilkł na chwilę.

Doskonale wiedzieliśmy, o czym mówiła. Nie znaliśmy szczegółów, ale ogólny przekaz był jasny. Tata aż się wzdrygnął.

I mama też.

- Zastanawiam się, co ją spotkało? - powiedziałam, podając mamie kubek. - Czego była świadkiem...

- Najwyraźniej zbyt wielu rzeczy, zdecydowanie zbyt wielu - dokończył tata.

- To jakiś koszmar - stwierdziła mama. - Bo przecież przytulanie dziecka to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem, ale kiedy człowiek nie wie, przez co takie dziecko przeszło... co z nim robiono... - Wzdrygnęła się. - To takie krępujące.

Dzisiejszy incydent stanowił jednak odpowiedź na pytanie, które zadawałam sobie w duchu. Ten cały dziadek, jeśli niewinne uwagi Olivii miały potwierdzenie w rzeczywistości, to podejrzany facet. Zastanawiałam się, czy wspomniano o nim w przekazanych nam raportach, ale nic takiego sobie nie przypominałam. Postanowiłam sprawdzić później jeszcze raz. I mieć oko na Olivię. Na Ashtona zresztą też. Jak ponurą przeszłość zaczęły odsłaniać jej słowa?

A to jeszcze nie wszystko. Gdy minęły już dwa pełne tygodnie pobytu dzieci w naszym domu, zaczęłam zauważać, że Ashton i Olivia bardzo dużo wiedzą na temat swoich ciał i że w kwestiach cielesnych pozbawieni są jakichkolwiek zahamowań. Dobrze, że trzymali się ze sobą blisko, ale fizycznie byli odrobinę za blisko: dotykali się nawzajem tam, gdzie nie powinni, a na dodatek z wyraźnie erotycznym podtekstem.

Zwykle nie ma sensu przykładać zbyt dużego znaczenia do faktu, że małe dzieci dotykają się w miejscach intymnych. To naturalne, że maluchy chcą poznać całe swoje ciało, i wprowadzanie jakichkolwiek restrykcji w tym względzie albo podejmowanie poważnych dyskusji o seksie i wstydzie zwykle prowadzi tylko do niepotrzebnych napięć, które z kolei mogą później wywołać problemy emocjonalne. Ale Ashton i Olivia byli tak rozbudzeni seksualnie, że nabierałam graniczących z pewnością podejrzeń, że choć rodzice nie zwracali uwagi na ich codzienne potrzeby, to ktoś - najpewniej wspomniany dziadek albo ktoś jeszcze

- poświęcał im bardzo dużo uwagi, tyle że zupełnie innego rodzaju. Pewnych rzeczy, które robiła ta dwójka, normalne dzieci po prostu nie robią. Nie bez ingerencji dorosłych.

Kolejny namacalny dowód na to, że sprawa jest poważna, zdobyła Lauren, dziewczyna Kieron.

Studiowała taniec i aktorstwo i miała akurat przerwę wakacyjną na uczelni, więc często do nas wpadała i pomagała Kieronowi szukać pracy. Był wtorek, Kieron i Lauren siedzieli w salonie przed komputerem, robiąc rozeznanie w Internecie, a dzieciaki bawiły się na dywanie klockami. Kieron przyszedł do kuchni po coś do picia, więc zagadnęłam go o postępy w poszukiwaniach. Nagle w drzwiach stanęła Lauren, lekko zażenowana.

- Eee, Casey? - zaczęła. - Możesz przyjść na moment do pokoju? Chodzi o dzieciaki. One... jakby to powiedzieć...

Nie skończyła i nawet nie musiała. Po jej minie od razu zauważyłam, że dzieje się coś dziwnego.

Odstawiłam kawę i poszłam za nią do salonu, zastanawiając się, co tam zastanę.

Najpierw zobaczyłam Ashtona. Leżał na brzuchu na kanapie, a pod nim na plecach leżała Olivia. Chłopiec poruszał się tak, jakby symulował stosunek seksualny, a jego młodsza siostra leżała w tym czasie praktycznie bez ruchu, tylko miarowo gładziła go po pośladkach.

- Ashton! - krzyknęłam. - Co ty, do diabła, wyczyniasz? Natychmiast przestań! Zejdź z siostry! - Rozdzieliłam ich, a potem usadziłam oboje na kanapie. - No dobra - rzuciłam surowo. - Proszę mi teraz wyjaśnić, co robiliście.

Zapadła cisza, co było do przewidzenia. Ashton, przygarbiony, wbijał z uporem wzrok w podłogę, ale mała szczyrzyła się od ucha do ucha. Po chwili odezwała się, wypychając rękę w majtki.

- Tylko się laskotaliliśmy w myszkę i siusiaka.

Przyklękłam, żeby znaleźć się na ich wysokości, ale minę miałam dalej surową.

- Wyjmij rękę, Olivio - nakazałam. - Takich rzeczy nie wolno robić przy ludziach, rozumiesz? To są sprawy intymne - wyjaśniłam.

- Właśnie - przytaknął Ashton, który na widok tego, co wyprawia siostra, bardzo się ożywił. - Możemy to robić tylko w naszych pokojach, Livs. - Przysunął się do niej. - Pamiętaj, ściany mają uszy!

- I oczy! - dodała, wskazując na swoje własne. - Przepraszam, Ash. Zapomniałam.

Gdyby nie potworny sens ich wypowiedzi, dobór słów byłby niemal komiczny. Ale w tej sytuacji zmroził mi krew w żyłach, w wyobraźni zobaczyłam, jak ten cały dziadzio, czy ktokolwiek inny, tłumaczy z naciskiem nieszczęsnym maluchom, że pod żadnym pozorem nie

wolno im zdradzić nikomu ich małej tajemnicy.

- Nie! - sprzeciwiłam się stanowczo. - Nie możecie się dotykać w ten sposób! W ogóle! Ani tutaj, ani w waszych pokojach, ani nigdzie. Ściany nie mają uszu i oczu, ale ludzie owszem. Ludzie, którzy wiedzą, że nie wolno dotykać intymnych miejsc innych osób.

Gapili się na mnie oszołomieni. Co jeszcze bardziej mną wstrząsnęło. W ogóle nie rozumieli, co do nich mówię. Najwyraźniej uważali, że zachowują się zupełnie normalnie. No może nie do końca, bo jednak zdawali sobie sprawę - przynajmniej Ashton - że dorośli w ich najbliższym otoczeniu chcieli utrzymać to w tajemnicy.

- Nawet w rodzinie, Casey? - spytał Ashton niewinnie, jakby zwracał się do nauczycielki w szkole. - W rodzinie przecież można. W rodzinie to nie szkodzi.

- Szkodzi, kochanie - starałam się wytłumaczyć. - Nasze ciała należą tylko do nas samych, rozumiecie? To znaczy, że nikomu nie wolno dotykać nas w intymne miejsca. Nikomu. Nawet z rodziny.

Oboje wpatrywali się we mnie zdezorientowani: dwie pary wybałuszonych oczu. Naprawdę nie ogarniali, o czym mówię. Podniosłam się i zerknęłam na Kieroną i Lauren, którzy tkwili w drzwiach z przerażeniem wymalowanym na twarzach. Wymieniliśmy wymowne spojrzenia: jeśli problem sięga aż tak głęboko, to czeka nas poważna przeprawa. Pięciominutowa pogadanka nic tu nie da.

Dzieci uznały, że skoro wstałam, to kazanie skończone. Zerwały się z kanapy i wróciły do klocków. Nie wiem, co budowały, ale mnie kojarzyło się to tylko z jednym: z górą lodową. Pomyślałam, że właśnie dane mi było zobaczyć rozciągające się pod jej wierzchołkiem masy.

Znaczną część tygodnia poświęciłam na sporządzenie szczegółowego raportu, w którym opisywałam wszystkie zaobserwowane przeze mnie zdarzenia. Potem przesłałam dokument Johnowi i Annie. Miałam namacalny dowód na to, że historia tej rodziny kryła dużo bardziej ponure tajemnice, i uważałam, że moi zwierzchnicy muszą o tym wiedzieć, zwłaszcza w kontekście zbliżającej się rozprawy. Przypomniałam sobie też o zarzutach molestowania seksualnego postawionych przez kuzynkę ojca dzieci. Nie ma dymu bez ognia? Możliwe.

Niepokoilo mnie jednak nie tylko samo zachowanie seksualne tego rodzeństwa. Równie poważnym i trudnym do rozwiązania problemem było lekceważenie zasad higieny i zwyczaje dotyczące korzystania z ubikacji.

Incydent z nocnym moczeniem, który przydarzył się zaraz pierwszego dnia, nie był jednorazowy, wywołany stresem. Do sikania w majtki doszła też walka z kupą. To zresztą

czubek kolejnej, zupełnie odrębnej góry, tyle że nie lodowej, a składającej się głównie z ekskrementów. Jeśli dzień za dniem marszczyłam nos z obrzydzenia, to teraz już musiałam mieć całkiem wyraźne zmarszczki. Zdecydowanie nikt nigdy nie uczył tych dzieciaków korzystać ani z nocnika, ani z toalety. Ashton prawie zawsze walił kupę w majtki, a w przypadku małej nie było reguły - wkrótce więc zaczęłam wszędzie znajdować kał. Czasem dzieci rozmazywały go na ścianach w toalecie i w swoich pokojach, a nawet, i to nieraz, na poręczy. Obrzydliwe. Bałam się czegokolwiek dotykać, przynajmniej do czasu dezynfekcji.

Natomiast co do zachowań seksualnych, to moje tłumaczenia jakby w ogóle do nich nie docierały.

- Olivio - powiedziałam któregoś dnia, gdy zaprowadziłam ją za rękę do toalety na piętrze, żebyśmy przyjrzały się „udekorowanym” ścianom. Od paskudnego smrodu chciało mi się wymiotować, ale zdawało mi się, że dziewczynce ani trochę nie przeszkadza. - Wiesz, co to jest? - Pokazałam ścianę.

Pokiwała głową i się uśmiechnęła.

- Kupa! - odparła zadowolona. - To jest kupa! Kupa, kupa, kupa!

- Zgadza się. Kupa. I teraz biedna Casey musi to wyczyścić. A to mało przyjemne, prawda?

Wpatrywała się we mnie pustym wzrokiem. Kwestia sprzątnięcia była jej najwyraźniej zupełnie obca, co kazało mi się zastanowić, w jakim chlewie dotąd mieszkała.

- Słuchaj, kotku - podjęłam łagodnie, gdy usunęłam już obrzydliwe smugi. - Nauczę cię, jak korzystać z toalety, dobrze? - Oddarłam trochę papieru toaletowego. - Po zrobieniu kupki bierzemy papier, o tak, a potem podcieramy pupę, bardzo dokładnie, i na koniec wyrzucamy papier do sedesu. W ten sposób, rozumiesz? - Następnie zademonstrowałam jej wszystko „na sucho”.

Dobrze, że nikt mnie wtedy nie widział, bo znów urwałam kawałek papieru i podśpiewując pod nosem, zaczęłam pokazywać, co się robi, gdy już skończymy się załatwiać: przesadnie zamaszystym ruchem wytarłam tył spodni, a potem mówiąc „kupa!”, teatralnie wrzuciłam papier do muszli klozetowej i z głośnym „ta da!” spuściłam wodę.

Mała patrzyła jak zaczarowana i jak każda sześciolatka też chciała się w to bawić. To znaczy w „kupę”. Przecwiczyla wszystko z pięć razy, a kiedy już się znudziła, podprowadziłam ją do umywalki i przez dobre dziesięć minut, rozchlapując dokoła wodę, ćwiczyłyśmy mycie rąk. Miałam nadzieję, naprawdę miałam nadzieję, że jeśli przecwiczymy to wystarczająco porządnie, to moje poręcze - a w zasadzie cały dom - mi za to podziękują.

Ale nie chodziło tylko o nabycie nowych umiejętności. Problemy Olivii były dużo

poważniejsze, niż początkowo sądziłam, o czym przekonałam się kilka dni później.

Zjedliśmy kolację i dzieci siedziały w kuchni, układając z Mikiem ogromne puzzle. Postanowiłam w tym czasie zmienić tej dwójce pościel - zmiana i pranie ich pościeli dołączyły do moich codziennych obowiązków.

Najpierw poszłam do pokoju Olivii, gdzie natychmiast uderzył mnie smród. Zdążyłam się już przyzwyczać do brzydkich zapachów, ale to było coś zupełnie innego. Na dworze upał, a okna w jej pokoju pozamykane. Jednak nawet według obecnych standardów - zasikana i zapaskudzona bielizna - fetor obezwładniał. Otworzyłam okna i zabrałam się do poszukiwania jego źródła. Czułam narastającą irytację, choć przecież wiedziałam, że wina nie leży po stronie tych biednych maluchów. Zawsze miałam świra na punkcie czystości, więc życie w brudzie i smrodzie naprawdę zaczynało dawać mi się we znaki. Zacisnęłam zęby i przypomniałam sobie, dlaczego zdecydowałam się na tego typu pracę, ale i tak ogarnęła mnie złość na myśl o opiece społecznej. Byłam wściekła, że nie przedstawili nam pełnego obrazu sytuacji!

Sprawdziłam łóżko i pod nim, szafę i komodę. Nic nie znalazłam. Nie wiedziałam nawet, czego właściwie szukam. Wiedziałam tylko, że na pewno nie będzie to nic przyjemnego. Potem zaczęłam uprzątać zabawki na podłodze. Nagle, gdy przechodziłam obok regału, zorientowałam się, że smród znacząco się nasilił. Odłożyłam zabawki i zaczęłam ostrożnie ściągać książki z półek. Fetor zrobił się tak nieznośny, że miałam odruch wymiotny. Omal nie wypuściłam trzymanyh w rękach książek, gdy w końcu odnalazłam jego źródło. Za książkami na dolnej półce, przyciśnięte do ściany, leżały ukryte trzy paczuszki z ludzkim stolcem, zawiniętym luźno w chusteczki higieniczne. Cofnęłam się z obrzydzeniem i krzyknęłam z korytarza do Mike'a:

- Kochanie, bądź tak dobry, i przyprowadź mi tu Olivię, dobrze?

Zjawili się na górze chwilę później. Skinęłam na Mikea, żeby podszedł. Zasłonił sobie ręką nos i widziałam, że tak samo jak ja walczy z mdłościami. Dziewczynka stała w drzwiach i cała się trzęsła.

- Dlaczego? - spytałam łagodnie. - Dlaczego to zrobiłaś, skarbie? - Autentycznie usiłowałam coś z tego zrozumieć, zwłaszcza że przecież tak niedawno odbyłyśmy lekcję w toalecie.

- Nie zrobiłam. To nie ja. Naprawdę, Casey - wymamrotała wyraźnie przerażona.

Podeszłam do niej i położyłam jej rękę na ramieniu. Szybko objęła mnie w pasie.

- A mnie się zdaje, że zrobiłaś, kotku. Trudno, nie martw się. Poradzimy sobie z tym. Nie musisz się bać. Ale powiedz dlaczego. W twoim ślicznym pokoiku śmierdzi, a przecież

wolałabyś, żeby ładnie pachniało, prawda?

Zaczęła płakać.

- To tylko moja kupa - załkała. - Tylko kupa. Chciałam ją sobie zatrzymać. Ale już nie będę chować, jak nie chcesz.

- Skarbie, kupę trzeba robić w toalecie, tak jak ci pokazywałam. Zawsze. Za każdym razem. Od tej chwili musisz załatwiać się w toalecie. Tam i tylko tam, dobrze? W kupie są zarazki, można się od nich pochorować. I to bardzo. A tego nie chcemy, prawda?

Pokiwała głową.

- Tak.

- A więc od dziś, gdy chce ci się kupkę, dokąd idziesz?

- Do toalety - odpowiedziała potulnie. - Obiecuję.

- Właśnie sobie coś przypomniałem - zagadnął pół godziny później Mike, gdy usunęliśmy już paskudny składzik. - Pamiętasz, jak brzmiało hasło agencji?

Olivia wróciła już do zabawy. Miałam tylko nadzieję, że dotarło do niej to, co jej powiedziałam.

- To z reklamy? - spytałam. - Z ulotki, którą kiedyś przyniosłam? - Dobrze je pamiętałam. I raczej mała szansa, żebym kiedykolwiek zapomniała. - Tak: „Trudne dzieci, wielka satysfakcja”. A co?

Mike uśmiechnął się ze smutkiem.

- Chyba zacznę rozumieć, co mieli na myśli.

Rozdział 6

Opieka, do której pierwotnie szkolono nas z Mikiem, wykorzystywała system punktów służących pracy nad zmianą zachowania. Dziecko zaczynało od najniższego poziomu i za wykonanie różnych zadań codziennie zdobywało punkty, które z kolei mogło wymienić na najróżniejsze przywileje, takie jak dodatkowe minuty na oglądanie telewizji czy późniejsza godzina pójścia spać. W miarę upływu czasu zadania stawały się coraz trudniejsze, ale przysługiwały też za nie większe nagrody.

Taki program zmiany zachowania był stosunkowo nowym wynalazkiem w rodzinach zastępczych i został przewidziany dla określonego typu dzieci. Wyraźnie nas uprzedzono, że nie nadaje się do stosowania w przypadku naszych obecnych podopiecznych. Olivia najprawdopodobniej nie zrozumiałaby jego zasad, ale przede wszystkim, ponieważ dzieci miały być u nas tylko przejściowo, rozpoczynanie go w ogóle miało się z celem. Nawet gdyby dzieciaki załapały, o co w tym chodzi - co w przypadku Ashtona było całkiem możliwe - to w tak krótkim czasie niewiele zdążą zrobić.

Ale po kilku różnych incydentach i konsultacji z Johnem Fulshawem postanowiłam jednak wdrożyć program. Przekonała mnie do tego kolejna porażająca informacja. Gdy przedstawiłam Johnowi najświeższe wiadomości z frontu toaletowego, a także wyraziłam swoje obawy w związku z zachowaniami seksualnymi dzieci, spytałam - właściwie niemal mimochodem - jak tam sprawa sądowa.

- A właśnie - powiedział John. - Zamierzałem poruszyć ten temat, Casey. Przed chwilą rozmawiałem z Anną. Wygląda na to, że po twoich emailach opisujących zachowania rodzeństwa opieka społeczna chce wystąpić o dalsze odroczenie rozprawy, żeby móc uwzględnić w końcowym raporcie wszystkie nowe informacje.

Z formalnego punktu widzenia brzmiało to rozsądnie. Nasze obserwacje zarówno dotyczące zaniedbania fizycznego, jak i dużego prawdopodobieństwa, że dzieci były wykorzystywane seksualnie, mogły jedynie wzmocnić argumentację i pomóc dopilnować, by maluchy nie wróciły do rodziców. Przypomniałam sobie słowa Olivii na temat dziadzia i aż się wzdrygnęłam. Ale John zrobił jedynie wstęp, by powiedzieć wprost to, co jasno wynikało z jego wcześniejszych słów: odroczenie rozprawy oznacza tylko jedno.

- Czyli jeszcze z nami zostaną?

- Tego się obawiam - przyznał. - Prawdę mówiąc, Anna była już nawet w Wydziale Edukacji w sprawie przeniesienia dzieci od nowego roku szkolnego do podstawówki w

waszym rejonie. Z tego, co wiem, prosiła też, żeby ze starej szkoły przesłali pełny raport, który chce później z tobą omówić.

- Cudownie - odparłam. Problemem nie była wiadomość o dłuższym pobycie dzieci, powiedzieliśmy z Mikiem „A” więc musimy powiedzieć „B”. Przeraziła mnie tylko logistyka całego przedsięwzięcia. - Czyli trzeba działać ekspresowo. Wspaniale. Do początku roku szkolnego zostały niecałe dwa tygodnie, a dzieciaki nie mają mundurków, strojów na wuef i całego mnóstwa innych rzeczy. A nadal zachowują się jak małe dzikusy: jest naprawdę źle, John, nie masz pojęcia, jak bardzo. One nie potrafią posługiwać się sztućcami! Ani samodzielnie się myć i ubierać. Właściwie nic nie umieją przy sobie zrobić. Jak, do cholery, mam je w dwa tygodnie przygotować do pójścia do zupełnie nowej szkoły?

Pomyślałam też sobie, choć nie wspominałam już o tym na głos, że nie chodzi tylko o dzieci. O to, czy przyzwyczają się do nowej szkoły. Pozostawało pytanie, czy w szkole sobie z nimi poradzą!

- Wiem - uspokajał John. - Zdaję sobie sprawę, że będzie ciężko. Skoncentruj się na podstawach. Może warto też zajrzeć do szkoły? No wiesz, przygotowalibyście ich tam z Mikiem na to, co ich czeka.

Ot tak po prostu, co? Po tej rozmowie miałam ochotę roześmiać się gorzko. Dzieci bawiły się w ogródku. Tyle że właściwie ciężko to nazwać zabawą. Tak naprawdę głównie przepychały się z piskiem. Najwyraźniej nie wiedziały nawet, co to znaczy się bawić. Trzeba było je usadzić i wyjaśnić im wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Nie wiedziałam, od czego zacząć.

Postanowiłam więc chrzanić wcześniejsze ustalenia i przyznawać punkty. A konkretnie nalepki. Zabrałam się do roboty.

Przygotowałam dwie tabele, po jednej na głowę. Każda miała po trzy rubryki: 1) Zrobiłem/Zrobiłam dziś kupę do sedesu i wytarłem/wytarłam pupę, 2) Umyłem/umyłam dziś ręce po skorzystaniu z toalety i 3) Siusiałem/siusiałam dziś tylko w toalecie. Za każde wykonane zadanie zamierzałam przyznawać złotą gwiazdkę. Po uzbieraniu trzech należał się batonik.

Krzywiłam się trochę, gdy wyjaśniałam dzieciom zasady. Wiedziałam, że pracownicy opieki społecznej cmokaliby z dezaprobatą, gdyby mnie teraz słyszeli. Słodczyce jako narzędzie motywacyjne były oczywiście bezwzględnie zakazane, ale wiedziałam coś jeszcze: łakocie skutkują. W każdym razie doszłam do wniosku, że taki wariant jest zdecydowanie lepszy niż jego alternatywa, a to ja musiałam sprzątać, nie pracownicy socjalni. Poza tym przecież nie słyszeli, co mówię, prawda? Więc o niczym się nie dowiedzą. Odnotowałam

jednak w pamięci, żeby szczególnie starannie pilnować mycia zębów.

Myslałam, że ze względu na swój wiek Ashton poczuje się zawstydzony tego typu rozwiązaniem, ale na szczęście wydawał się równie podekscytowany jak Olivia.

- Założę się, że dostanę mnóstwo batoników! - wykrzyknął wesoło. - Jestem dużo lepszy od niej. Poza tym to fajnie, bo jak będziemy podcierać pupy, dzieciaki w nowej szkole nie będą na nas mówić śmierdziele.

Ucieszyła mnie ich reakcja na wiadomość, że idą do nowej szkoły. Odnosiłam wrażenie, że mimo ich młodego wieku cieszą się, że dostały szansę zacząć wszystko od nowa.

- Nie, kochanie, nie będą tak na was mówić - zgodziłam się. - W starej szkole tak was przezywali?

- Na mnie wołali „obszczymajty” - wtrąciła się Olivia. - Ale powiedz, Casey, że to nieprawda.

- Prawda - wtrącił się Ashton. - Zawsze sikasz w gacie.

Na tę zniewagę Olivia zaczęła go okładać piąstkami i obrzucać stekiem wyzwisk. Zostali chyba zaprogramowani na automatyczną fizyczną reakcję. Przypominali młode zwierzęta, które nie potrafią się komunikować w inny sposób.

Podeszłam rozdzielić splątane ciała.

- Wystarczy! - krzyknęłam. - Dość już tych głupstw. Poza tym „obszczymajty” to brzydkie słowo i nie wolno tak mówić. A jeśli będziecie robić to, co zapisaliśmy w tabelkach, nikt was nie będzie przezywać. Właśnie dlatego to robimy, jasne? Dotarło?

W jednej chwili awantura się skończyła. Oboje obciągnęli koszulki i uśmiechnęli się do mnie radośnie.

Ale w rzeczywistości musieliśmy bardzo się napracować. Codziennie do znudzenia powtarzaliśmy trzy podstawowe czynności: mycie, ubieranie się i dokładne czyszczenie zębów. Robiliśmy to z Mikiem i Kieronem na zmianę. I choć na pewno czyniliśmy postępy, to dzieci jakby zapomniały to, czego nauczyły się dzień wcześniej, i trzeba było uczyć je niemal wszystkiego od nowa. Czuliśmy się jak w Dniu świstaka: męcząca rutyna, ale bezwzględnie konieczna. Jeśli mieli choćby jakkolwiek zintegrować się w nowej szkole i znaleźć kolegów, musieliśmy nauczyć ich podstaw, i to szybko. Ale szło nam opornie. Jak kazaliśmy im radzić sobie samodzielnie - zwłaszcza z ubieraniem się - wkładali koszulki tyłem na przód, skarpetki nie do pary i buty nie na tę stopę, co trzeba. Naprawdę wyraźnie widziałam, że nikt ich nigdy niczego nie uczył.

Kilka dni później przyjechała Anna z obiecanyimi raportami ze szkoły. Wręczając mi teczkę, ostrzegła, że lektura jest przygnębiająca. Rzeczywiście to straszne, że szkoła miała te

wszystkie informacje i nie podjęła żadnych kroków. Ashtonowi i Olivii nie wystawiono nawet oficjalnego zaświadczenia o szczególnych potrzebach edukacyjnych, co naprawdę mnie zszokowało. Zostali tylko zakwalifikowani do programu dla dzieci z trudnościami w nauce, co oznaczało po prostu, że ze względu na opóźnienia w rozwoju emocjonalnym lub intelektualnym wymagają większego nadzoru. I nic poza tym.

Dalsza część sprawozdania była do przewidzenia: dzieci chodziły nieumyte i zawszone, ubrania miały brudne, śmierdzące, nie wyprasowane i niejednokrotnie wilgotne od moczu. Raport wspominał też o tym, o czym powiedziano nam podczas pierwszego spotkania: rodzeństwo często skarżyło się, że nie jadło śniadania, i podkradało uczniom jedzenie. Niestety odnotowano też, że oboje nie mieli kolegów i że inne dzieci nie chciały z nimi siedzieć w ławce. Dokument kończył się oczywiście stwierdzeniem, że pod względem nauki rodzeństwo pozostawało daleko w tyle za innymi dziećmi.

Oddałam raport Annie.

- To potworne! Czemu, do diabła, nic nie zrobili, skoro o wszystkim wiedzieli?

Anna stwierdziła, że nie ma pojęcia. Ale spróbowała to jakoś wyjaśnić.

- Wydaje mi się, że rodzina była szkole znana od lat. Od dwóch czy nawet trzech pokoleń: rodzice, ciotki, kuzynostwo. Myślę, że po prostu uznali ich za zwykłą, choć biedną rodzinę wielodzietną. Upośledzoną społecznie i ekonomicznie. Może trochę zdeorganizowaną, ale nic więcej. Dzieciaki przychodziły do szkoły, więc dyrekcja nie interweniowała. Z tego, co słyszałam, oboje mieli stuprocentową frekwencję.

- Wcale mnie to nie dziwi! - parsknęłam. - Szkoła musiała być dla nich azylem. Jedyne miejsce, gdzie mogły znaleźć coś do jedzenia i gdzie ktokolwiek zwracał na nie uwagę!

To przechodziło ludzkie pojęcie, ale było jednocześnie aż nadto prawdopodobne. Dzieci nie opuszczały lekcji, więc uznano, że nie są wagarowiczami. Tylko „biedakami”. Wiedziałam, że Anna nie jest tu niczemu winna, ale i tak mnie to złościło.

Choć sama zaakceptowałam fakt, że Anna nie ponosiła winy za to, że przez tak długi czas nikt nie przejmował się skrajnym zaniedbaniem tej dwójki, to dzieci traktowały ją zasadniczo jak wroga. Przed wyjściem chciała się z nimi zobaczyć i poprosiła, żebym ją do nich zaprowadziła. Ashton i Olivia siedzieli jak zwykle blisko siebie na kanapie i apatycznie przeglądali komiksy (skutek porannej dawki ritalinu).

Na sam jej widok jeszcze bardziej się do siebie przytulili i uparcie odmawiali odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania - nawet na niewinne: „Co czytacie?”. Bo dla nich była wrogiem - kimś, kto zjawił się w ich domu i zabrał ich od rodziców. Poza tym, jak zdradziła

nam wcześniej Olivia, mieli jej niczego nie mówić.

Odprowadzając Annę do drzwi, pomyślałam, że to smutne, że pracownicy opieki społecznej, którzy przecież mają dobre intencje i chcą pomóc, zawsze są obwiniani przez dzieci za całe zło.

Ashton i Olivia nie zostali oczywiście całkowicie pozbawieni pomocy. Niestety była ona natury chemicznej i przybrała formę ritalinu, ale cóż, zawsze to jakaś pomoc. Bez leku dzieci znajdowałyby się w dużo gorszym stanie. Mieszkały z nami już miesiąc i w miarę, jak zbliżał się nowy rok szkolny, czułam, że zaczynam poznawać je trochę lepiej. Olivia cierpiała na bardziej zaawansowane ADHD. Zdałam sobie z tego sprawę już wcześniej, bo przyjmowała większą dawkę leku niż brat. Poza tym wiedziałam, że jeśli nie połknie tabletki z samego rana, w ogóle nie dam rady nad nią zapanować. Zaobserwowałam też, że w przypadku Ashtona lek przestawał działać około siedemnastej trzydzieści, natomiast w przypadku Olivii - bliżej szesnastej. W związku z tym nauczyłam się wynajdować małej jakieś zajęcie, żeby pohamować jej niszczycielskie zapędy w czasie, gdy jej starszy brat jest wciąż stosunkowo spokojny. Niekiedy wpadała Riley i zabierała ją z Levim na długi spacer. Innym razem wyznaczałam jej jakieś absorbujące zadanie, na przykład kolorowanie, które uwielbiała, byle tylko w domu jeszcze chwilę panował spokój.

Gdy lek przestawał działać, zachowanie Olivii stawało się dziwaczne. Potrafiła na przykład usiąść i pisać z furją jedno i to samo słowo, jakby od tego zależało jej życie. Znajdowałam mnóstwo takich kartek: z imieniem jakiejś dziewczynki lub chłopca. Gdy zostawiło się ją na osobności - zwłaszcza wieczorem w łóżku - powtarzała jedno słowo tysiące razy. Pochłaniało ją też liczenie. Ze zdumieniem usłyszałam pewnego ranka, że na zasłonkach w jej pokoju jest trzysta siedemdziesiąt różowych kropek i dwieście sześćdziesiąt dwie białe.

Nie rozumiałam mechanizmów psychologicznych rządzących tymi zachowaniami, ale najwyraźniej było to coś, co wykształciło się z biegiem czasu i co może pozwalało jej dać ujście nagromadzonym emocjom.

Ale jak się przekonałam w ciągu ostatnich dni przed rozpoczęciem szkoły, bez porannej tabletki Olivia była zupełnie innym dzieckiem. Ritalin to lek, którego zgodnie z prawem nie można kupować na zapas i trzeba zamawiać kolejne opakowania co dwa tygodnie. Kiedy zostały mi dwie ostatnie tabletki, poszłam do lekarza po receptę, a z przychodni prosto do apteki. Byłam zaskoczona, gdy tam usłyszałam, że się wyczerpały, a dostawa przyjdzie w środę. Choć wtedy jeszcze mnie to nie zaniepokoiło. Był poniedziałek, na wtorek zostały mi dwie tabletki, więc pójdę z Olivią w środę z samego rana do apteki i od

razu zaaplikuję jej lek.

Nadeszła środa i zgodnie z przewidywaniami Olivia była bez lekarstwa mocno pobudzona, ale zaraz po przyjeździe Riley, która zaoferowała się, że zajmie się Ashtonem, mogłam iść z małą do apteki. Choć już samo to przysporzyło sporych problemów (nakłonienie jej, żeby wzięła mnie za rękę i uspokoiła się trochę, okazało się nie lada wyczynem), to jeszcze nic w porównaniu z tym, co mnie czekało. Otóż farmaceuta oznajmił, że lekarstwa dowiozą nie wcześniej niż za dwie godziny!

Robiłam, co mogłam. Spytałam, czy nie mógłby mi dać choć jednej tabletki - na pewno gdzieś mu jakaś została. Ale tylko spojrział na mnie jak na nienormalną.

- Nie jest z nią wcale tak źle - zawyrokował z raczej surową miną.

Wyszłam cała czerwona. Czułam się jak handlarz narkotykami.

Ale farmaceuta nie miał racji. To były dwie najdłuższe godziny w moim życiu. Mogłam tylko łagodzić sytuację, w miarę jak zachowanie Olivii - od początku noszące przykre znamiona „trudnego” - pogarszało się z minuty na minutę.

- Chodź, kupimy ci nowy zeszyt, co ty na to? - spytałam, idąc w kierunku sklepów. Wiedziałam, że to kusząca propozycja.

- Nie chcę zeszytu! - krzyknęła. - Nie chcę! Odpieprz się!

- No, moja droga - powiedziałam, świadoma, że Olivia mówi coraz głośniej. - Nie życzę sobie takich odzywek!

- Odpieprz się! - powtórzyła i na dokładkę kopnęła mnie mocno w nogę, a zaraz potem wyrwała się i zanim zdążyłam ją zatrzymać, popędziła zatłoczonym chodnikiem.

Zaczęłam ją gonić przestraszona. Dziewczynka łatwo torowała sobie drogę w tłumie, a na dodatek klęła głośno - co słyszałam mimo dzielącej nas odległości - gdy na jej drodze pojawiała się przeszkoda.

Na szczęście jakaś kobieta z wózkiem, widząc, co się dzieje, złapała ją i przytrzymała z całej siły.

- Boże, strasznie panią przepraszam! - powiedziałam, gdy Olivia zaczęła dla odmiany kopać kobietę, a przy tym pluła i starała się ją ugryźć. - Ma ADHD - wyjaśniłam. - I musi wziąć lekarstwo...

Ale moja wybawicielka miała własny pogląd na spektakl, którego stała się częścią.

- To nie jest żadne wytłumaczenie - warknęła, przyjmując jeszcze jednego kopniaka w goleń. - Trzeba smarkulę nauczyć dobrych manier!

Nigdy z tak wielką ulgą nie wpakowałam Olivii do buzi tabletki jak w tę właśnie środę.

Z Ashtonem radziłam sobie lepiej, bo nie osiągnął jeszcze takich szczytów zachowań dysfunkcyjnych jak jego siostra. Ale choć konieczność zażywania ritalinu była w jego wypadku mniej ewidentna, to borykał się z problemami wymagającymi równie pilnej reakcji. Ponieważ miał dziewięć lat - dwa i pół roku więcej od siostry, choć zdecydowanie na to nie wyglądał - fakt, że nie radził sobie z podstawowymi czynnościami i higieną znacznie gorzej wpływał na jego życie. Bywał niekiedy naprawdę wycofany, wrażliwy i załęczony. Kto wie, jak wielką krzywdę emocjonalną mu wyrządzono. I choć w szkole wszyscy stwierdzą zapewne, że Olivia jest jeszcze „mała”, zwłaszcza widząc jej szczupłą budowę i niski wzrost, to Ashtona potraktują na boisku bezlitośnie i niewykluczone, że zaraz pierwszego dnia spotka się z agresją. A nawet jeśli tak się nie stanie - musiałam pod tym względem zaufać pracownikom szkoły - to wiedziałam, że szybko zostanie osamotniony i odizolowany od grupy i znajdzie się w takiej samej sytuacji jak w poprzedniej szkole.

Pierwszy dzień roku szkolnego szybko nadszedł: mundurki już czekały, drugie śniadanie spakowane, plecaki gotowe. Dzieci wydawały się naprawdę podekscytowane. Dwa dni wcześniej wybraliśmy się na rozeznanie terenu i choć szkolna sekretarka, Barbara, zrobiła na mnie wrażenie trochę bezwzględnej i surowej, to ucieszyła mnie informacja, że Olivia zacznie semestr w sali „przedszkolnej” - bardzo małej klasie dla maluchów, które z tego czy innego powodu nie są jeszcze gotowe, by spędzać cały dzień w zwykłej klasie. Zanim dojdzie dokumentacja z dawnej szkoły, mała zostanie tu poddana ocenie i będzie miała szansę oswoić się ze szkołą i zaprzyjaźnić z dziećmi. Ashton natomiast miał iść od razu do piątej klasy i chyba się z tego cieszył, bo z porządnie przystrzyżonymi i uczesnymi blond lokami pobiegł za nową nauczycielką.

Mimo to rozstanie dzisiejszego ranka było trudne. Przypomniały mi się czasy, gdy moje własne dzieci zaczynały szkołę: gdy musiałam odrywać od siebie ich maleńkie rączki, a wszystkie szkolne meble wydawały mi się niesamowicie miniaturowe.

- Nie zostawiaj mnie, Casey! - błagała Olivia, kiedy dałam każdemu z nich buziaka na pożegnanie. - A jak się zsikam w majtki?

Na szczęście oprócz mnie nikt tego nie słyszał - ależ by miała wejście! - więc spróbowałam ją jakoś uspokoić.

- Nie zsiusiasz się. Pamiętaj, musisz tylko podnieść rączkę, tak jak ci pokazywałam.

Nie zostałam dłużej. Doświadczenie mi podpowiadało, że to najlepsze rozwiązanie, a poza tym się spieszyłam. Skoro dzieci poszły do szkoły, mogłam wreszcie spędzić trochę więcej czasu z własną córką.

Odnosiłam wrażenie, że już od dawna nie poświęcałam należytej uwagi Riley i

Leviemu. A przynajmniej, że nie spędzałam czasu tylko z nimi, bez innych dzieci, więc planowałam dziś nadrobić zaległości. Levi właśnie uczył się chodzić, sklejał już słowa w pierwsze zdania i w porównaniu z dwójką moich nieszczęsnych podopiecznych wydawał się cudownie normalny, przystosowany do życia i nieskomplikowany. Ale nie chciałam tego dnia dręczyć się porównaniami. Pragnęłam tylko pobyc z moim cudnym wnuczkiem i córką. Było też oczywiste, że u niej posprzątam. Riley - w piątym miesiącu ciąży - nie czuła się już na siłach, żeby wszystko ogarnąć. Bardzo się cieszyłam, że mogę jej pomóc.

Dzień okazał się produktywny. Zanim odebrałam dzieci ze szkoły, zdążyłam też zrobić porządek we własnym domu. Uff, udało się, pomyślałam. Dojeżdżając do szkoły, zerknęłam na zegarek. Od lat nie żyłam zgodnie ze szkolnym harmonogramem. Będę się musiała znów do tego przyzwyczaić.

Pierwszy dzień w szkole najwyraźniej poszedł dobrze. Stałam przed bramą i właśnie sobie myślałam, że w porównaniu z innymi matkami jestem stara jak Matuzalem, gdy nagle rozległ się charakterystyczny głosik Olivii.

- Casey! - krzyknęła podekscytowana i rzuciła się do mnie biegiem.

Ashton starał się dotrzymać jej kroku. Była rozemocjonowana, ale tym razem w bardzo pozytywnym sensie: język jej się plątał, gdy bez tchu opowiadała mi o pierwszym dniu w szkole. Zauważyłam, że jej nauczycielka uśmiecha się na ten widok. Po powrocie do domu, pałaszując mleko z herbatnikami, Olivia wciąż kipiała od wrażeń. Nagle jednak, zupełnie niespodziewanie, zalala się łzami. Nawet Ashton był zszokowany, patrząc na jej wykrzywioną od płaczu twarz, którą potem ukryła dość dramatycznie w dłoniach.

- Co się stało, skarbie? - spytałam zaniepokojona.

Pokręciła ze smutkiem głową.

- Właśnie sobie przypomniałam! - załkała. - Przypomniałam sobie, Casey! I już jej nie lubię!

- Kogo nie lubisz?

- Pani Collinson! Nagadała innej pani, że jestem w domu zastępczym. Ale ona kłamie!

Objęłam ją za ramiona.

- Ale pani Collinson nie zamierzała ci przecież zrobić przykrości - wyjaśniłam łagodnie. - Na pewno chciała tylko opowiedzieć tej drugiej pani coś o tobie.

- Ale ja nie jestem w domu zastępczym! Nieee! Dzieciaki z naszej ulicy: one są w domu zastępczym. Wzięli je, bo mamusie ich nie kochają.

Byłam trochę zdezorientowana. Czy Olivia nie rozumiała, że znalazła się w rodzime zastępczej? Zdjęłam z kuchennej półki album ze zdjęciami i skinęłam, żeby podeszła. Ashton

stracił zainteresowanie rozmową, gdy dowiedział się już, co tak zdenerwowało siostrę. Przeniósł się do salonu, włączył telewizor i zaczął przeskakiwać z kanału na kanał. A więc on nie miał z tym problemu. Poszłam z Olivią do oranżerii.

- Zobacz - zaczęłam, gdy usadowiliśmy się na kanapie. - To dzieci, które mieszkały przez jakiś czas ze mną i z Mikiem. Tak samo jak ty i Ashton: musiały pobyc trochę gdzie indziej, bo przez chwilę ich mamusie nie mogły się nimi zajmować. To nic takiego: po prostu przez jakiś czas mieszkacie z kimś innym.

W tym momencie jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Casey, czy ty jesteś przybraną mamą? - spytała z niedowierzaniem.

Przytaknęłam, a mała zerwała się wtedy z kanapy i pobiegła do domu. Dagoniłam ją dopiero w salonie. Stała z rękami na biodrach i kręciła głową.

- Wiesz co, Ash? - wycedziła. - Jesteśmy w domu zastępczym! W prawdziwym! Jak dzieciaki z naszej ulicy!

Ashton miał teraz równie przerażoną minę jak siostra. Co za nedorzeczość, pomyślałam ze złością, starając się ich jakoś uspokoić. Czemu nikt im niczego nie wyjaśnił? A skoro specjalnie tego nie zrobili, dlaczego nikt nas o tym nie poinformował? W pierwszej wolnej chwili zadzwoniłam do Anny.

- Przepraszam - odparła - ale uznaliśmy, że lepiej im powiedzieć, że jadą tylko na krótkie wakacje.

Nie wierzyłam własnym uszom, podobnie jak Mike, gdy wrócił z pracy. Tak samo jak ja uważał, że nie wolno ich okłamywać.

- Czy ci ludzie nie rozumieją, że i bez tego jest ciężko? - obruszył się. - Totalny brak profesjonalizmu!

W pełni się z nim zgadzałam.

- A skoro stwierdzili, że lepiej przekazać dzieciom tę wiadomość na spokojnie trochę później, to powinni nas o tym poinformować!

A tak Olivia tylko się zdenerwowała. O czym przekonaliśmy się w wymowny sposób godzinę później. Sprzątaliśmy po podwieczorku, gdy usłyszeliśmy na górze jej krzyki. Pobiegliśmy sprawdzić, co się dzieje.

Drzwi do jej pokoju były otwarte. Olivia stała do nas tyłem. Zatrzymaliśmy się, żeby jej nie przestraszyć. Naszym oczom ukazał się dziwaczny i porażająco smutny widok. Dziewczynka ułożyła swoje trzy lalki i misia na brzuskach, a lalkom dodatkowo zadarła sukienki, odsłaniając falbaniaste pantalony. Wstrząsana płaczem, wymierzała wszystkim „dzieciom” klapsy, wrzeszcząc na nie z wściekłością:

- Dobrze wam tak! Macie za swoje, wy gnojki! Za to, co zrobiliście, będziecie mieszkać u obcych! Już was nie Kocham!

Mike objął mnie ramieniem i lekko pociągnął do wyjścia, kładąc palec na usta. Zeszliśmy cichutko na dół, a ja uciekłam szybko do oranżerii, bo nie zdołałam dłużej panować nad swoimi emocjami.

Rozdział 7

Wiadomość, że są w domu zastępczym, wstrząsnęła dziećmi i - co było chyba do przewidzenia - sprawiła, że uznały się za winne zaistniałej sytuacji. Staraliśmy się z Mikiem wytłumaczyć im, że to nieprawda, ale upierały się przy swoim.

- Ale tak jest, Casey - powiedział mi wieczorem Ashton. - Dziadek nam mówił. Cały czas to powtarzał. Jeśli nie będziemy sprzątać w domu, zabierze nas pani z opieki!

- Mamusia źle się czuła - dodała Olivia. - A dziadzio miał rację. Jesteśmy już duzi i powinniśmy rozumieć. - Potarła zaczerwienione od łez oczy. - Powinniśmy umieć ładnie sprzątać! - Rzuciła mi się w ramiona i zaniosła się głośnym płaczem.

- Cśś - uspokajałam ją. - To wcale nie wasza wina. Małe dziewczynki i mali chłopcy nie znają się na wszystkim. Poza tym to nie dlatego oddaje się dzieci do rodzin zastępczych. Jest mnóstwo powodów, ale nie mają nic wspólnego z dziećmi, tylko z dorosłymi. Nie możecie się obwiniać, rozumiecie? Bo to nie jest wasza wina.

- Nie masz racji - stwierdził bardzo stanowczo. - Pani z opieki powiedziała inaczej. Sam słyszałem, jak nagadała mamie, że w domu jest brud. Mówiła: „Macie dużo dzieci. Powinny wam pomagać”.

Zrobiło mi się ich tak strasznie żal. Te wszystkie słowa - te wszystkie rzucone mimochodem uwagi - skumulowały się, nagromadziły, wryły w pamięć. Wiedziałam, że ciężko mi będzie ich przekonać, że się mylą.

I faktycznie było ciężko. Dostali paranoicznego lęku na punkcie sprzątanía. Zwłaszcza Olivia wpadała w panikę za każdym razem, gdy wyciągałam mop albo odkurzacz.

- Kto przychodzi? - dopytywała. - Kto przychodzi, Casey? - A potem łąpała mnie za nogę i nie chciała puścić, dopóki nie zdołałam jej uspokoić, że nikt: żaden pracownik socjalny, który uparł się, żeby ich stąd zabrać. Patrzyłam na to z ciężkim sercem. - Posprzątaj porządnie, Casey! - napominała. - Posprzątaj ładnie, bo opieka nas zabierze!

Koniec końców musiałam podjąć trudną decyzję i zabierać się do porządków wyłącznie wtedy, gdy byli w szkole. Długo nie potrafiłam się do tego przyzwyczaić. Byłam wręcz zrozpaczona, że nie mogę sprzątać w weekend. Moja frustracja bawiła natomiast pozostałych członków rodziny, którzy znali mnie na wylot.

- Boże, mamo, jesteś jak ćpun na odwyku! - zaśmiał się Kieron w niedzielę! - Łyknij sobie czegoś na uspokojenie. Nie martw się, jutro znów wciągniesz detergenty!

Uśmiechnęłam się oczywiście, choć wcale mnie to nie rozśmieszyło. Jeszcze mniej się

ubawiłam, gdy podsłuchałam rozmowę telefoniczną Mike'a z Riley:

- Serio. Przypomina mi Monicę z Przyjaciół. To jakiś obłąd. W domu przecież i tak będzie porządek, bo każdy boi się cokolwiek ruszyć!

Orany, pomyślałam, wymykając się z pokoju. Czy naprawdę jestem aż takim tyranem? Ale mieli rację. Wraz z nadejściem poniedziałku poczułam się tak, jakby wstąpiło we mnie nowe życie. Może porządkowa abstynencja to dobra rzecz dla osoby uzależnionej od sprzątanania, takiej jak ja, bo gdy dzieci znów wyszły do szkoły, mogłam sobie odrobić wszystko z nawiązką. Odnosiłam wrażenie, że sprzątanie od lat nie sprawiało mi takiej przyjemności.

Ale choć udało nam się zażegnać strach związany z „opieką społeczną”, jego miejsce zajął inny nasilający się problem, dużo bardziej ponury. Cieszyłam się, że dzieci się u nas zadomowiły, ale im swobodniej się czuły, tym bardziej wychodziła na jaw ich prawdziwa natura. Co w tym przypadku oznaczało dość niepokojące zachowania. Po powrocie ze szkoły szły się przebrać - wszystko w normie. Ale potem, przy kolacji albo przed telewizorem, bez skrępowania łąpały się nawzajem za intymne części ciała albo same sobie wsuwały ręce w majtki i się dotykały. Kiedy próbowałam położyć temu kres, spoglądały na mnie niezmiennie zdumione. Jakby miały mi za złe, że ich nie rozumiem.

Pewnego dnia, gdy zakazałam Olivii dotykać Ashtona, wzięła go za rękę, pokręciła głową i patrząc na mnie, powiedziała:

- Chodźmy, Ash, do mojego pokoju.

Rozmowa najwyraźniej nic nie dawała; jakbym rzucała grochem o ścianę. Dlatego po prostu wzięłam Oliwię na ręce i wyniosłam do ogrodu. Naprawdę nie wiedziałam, co z nimi zrobić.

Wcale mnie więc nie zdziwiło, gdy jakiś tydzień później skontaktowała się ze mną inna zaniepokojona opiekunka, Mandy Ellison. Pracowałyśmy dla tej samej agencji, a do Mandy trafiła trójka młodszego rodzeństwa Olivii i Ashtona. Jeśli ja miałam trudności, to ona tym bardziej.

- Przepraszam, że przeszkadzam, Casey, ale nie wiedziałam, do kogo zadzwonić.

- Co się stało? - rzuciłam, natychmiast zaalarmowana jej przestraszonym głosem.

- Chciałam zapytać, jak sobie radzisz ze swoją dwójką. Moje maluchy... no cóż, jakby to powiedzieć... więc one... symulują stosunki seksualne... i zastanawiałam się, czy twoje robią to samo. Bo wniosek nasuwa się sam, prawda?

Byłam przerażona. Jej trójka to jeszcze zupełnie maluchy! Dwa, trzy i pięć lat, z tego co pamiętałam. Jakim cudem się czegoś takiego nauczyły? Ale sama od razu odpowiedziałam

sobie na to pytanie. Tego można się nauczyć tylko w jeden sposób. Wniosek, jak zauważyła Mandy, nasuwał się sam.

- Rób to, co ja - poradziłam, gdy potwierdziłam, że moi podopieczni zachowują się tak samo. - Przekazuj wszystko Johnowi Fulshawowi. Trzeba uprzytomnić innym ten problem. Najwyraźniej mamy przed sobą puzzle, które trzeba ułożyć w całość.

Ale jeśli szokowały mnie dotychczasowe wybryki dzieci, to wkrótce się przekonałam, że szok może przybrać zupełnie nowe rozmiary. Kilka dni po telefonie Mandy szykowałam kolację dla całej rodziny i rozmawiałam z Lauren, dziewczyną Kierona.

- Tak się tu zadomowili, Casey - mówiła, pomagając mi w kuchni. - Na pewno jesteś dumna, że bardzo się zmienili, odkąd ich wzięliście pod swój dach.

Uśmiechnęłam się do Lauren, ale odpowiedziałam dopiero po chwili. Bo moim zdaniem wcale tak wiele nie udało nam się zdziałać. Zawsze mnie dziwiło, gdy inni zauważali przemiany w naszych podopiecznych. Ale może to dlatego, że my mieliśmy dzieci na co dzień, więc ich metamorfoza aż tak nie rzucała się nam w oczy.

- Z pewnością są dużo spokojniejsi - przyznałam. - Ale zwykle to i tak jedna wielka walka...

- Nie - zaproponowała Lauren, tłukąc ziemniaki. - Uwierz. Naprawdę się zmienili.

Podniesiona trochę na duchu rozdałam talerze z pieczenią. Jedno musiałam przyznać: dzieciaki nie grymasiły przy jedzeniu. Nie kręciły nosem na warzywa, nie wybrzydzały. Przypuszczałam, że dzieciom smakuje dosłownie wszystko, bo wcześniej często chodziły głodne.

Ale i ja, i Lauren przypomniałyśmy sobie nagle, że to nie jedzenie stanowi główny problem.

- Coś się stało, Olivio? - spytałam, bo zauważyłam, że bawi się daniem, zamiast zajadać ze zwykłym dla siebie entuzjazmem.

Pokręciła głową, ale nic nie powiedziała.

- Coś nie tak w szkole? - dopytywałam się delikatnie.

Znów pokręciła głową.

- Nie. To przez Ashtona - odparła w końcu z naburmuszoną miną. - Jest niedobry. Najpierw jest jego kolej z siusiakiem, ale potem mi mówi, że nie ma czasu na moją kolej z myszką.

Bałam się usłyszeć, co będzie dalej. Podobnie jak reszta dorosłych. Wszystkie rozmowy nagle zamarły.

- Na twoją kolej? - spytałam.

- Tak. To niesprawiedliwe!

Zwróciłam się do jej brata:

- Ashton. Możesz mi to wyjaśnić?

Westchnął ze znużeniem.

- Jej chodzi tylko o dzisiaj, wielkie rzeczy.

- O dzisiaj?

Zwrócił się do siostry:

- Livs, czemu na mnie kablujesz? Mówiłem ci rano! Zaspałem, kapujesz? Wieczorem będziesz miała swoją kolej. Tak jak obiecałem! - Spojrzał na nią ze złością.

Rozejrzałam się wokół stołu. Wolałam nie pytać o cokolwiek więcej, bo nie spodobał mi się wyraz twarzy członków mojej rodziny. Zwłaszcza Kieron miał przerażoną minę.

- Akurat - ciągnęła Olivia, jakby sprzeczała się przy grze planszowej. – Obiecanki-cacanki, ale ja cię znam. Znów każesz mi robić sobie, jak zwykle.

- Nie każę - zaprotestował brat równie naburmuszony jak siostra. - Przestań jęczeć. Zamknij się i jedz.

Drugie spojrzenie na moich bliskich potwierdziło to, czego się spodziewałam. I tak gdy dzieci kłóciły się i złościły na siebie, z twarzy reszty osób odpłynęła krew. Mike zerknął na mnie zażenowany.

Odłożyłam nóż i widelec.

- Ashton - powiedziałam. - Czy to prawda?

- Co? - rzucił niemal tak, jakby zdążył już zapomnieć o temacie i nie wiedział, czego właściwie od niego chce. Ale nagle do niego dotarło. - A to, tak. Ale zrobię jej, obiecuję.

- O, Boże - wyszeptała Lauren niemal bezgłośnie. - OBoże.

Później zaczęłam podpytywać dzieciaki i dowiedziałam się trochę więcej. Bez większego trudu. Oboje mówili o dotykanii swoich miejsc intymnych z równą swobodą jak o zasadach gry planszowej. I z przerażeniem zaczęłam sobie uświadamiać, że tak to chyba postrzegają: jako coś, co robią dla zabawy.

Przez większą część ich opowieści milczałam. Chłopiec relacjonował rzeczowo, że mimo mojego zakazu zwykle po przebudzeniu i tak bawią się „siusiakiem i myszką”. Znów powtórzył, że przecież są rodziną, więc wszystko w porządku. Tylko że dziś rano się spieszył, bo chciał jeszcze zdążyć zjeść śniadanie, i na to właśnie skarżyła się Olivia, mówiąc, że ominęła ją „kolejka”. Byłam tym tak zażenowana, że gdy położyłam ich już spać, musiałam wyjść do ogrodu, ale nie tylko po to, żeby zapalić: potrzebowałam odetchnąć świeżym powietrzem. Mike najwyraźniej też. Siedział już na dworze.

- Ktoś wykorzystywał te dzieci, Case - stwierdził. - To przecież oczywiste. Takie rzeczy są wyuczone. Nauczyły się tego od jakiegoś cholernego gnoja ze swojej tak zwanej „rodziny”. - Mike rzadko przeklinał, ale jeśli już, to robił to z pełnym przekonaniem.

Znów pomyślałam o najwyraźniej znaczącej postaci dziadzia. Co to za potwór?

Podzielałam zdanie Mike'a.

- Potrzebna im pomoc. Pilnie potrzebna im pomoc psychologiczna. Nie można tego tak zostawić. Już wystarczająco długo nikt nie reagował.

Ale wyglądało na to, że trzeba jeszcze trochę poczekać. Gdy następnego dnia opowiadałam o tym Johnowi, chciał w pierwszej kolejności wiedzieć - zgodnie z przewidywaniami - czy zadawałam dzieciom jakieś naprowadzające pytania. Rodzice zastępczy pod żadnym pozorem nie mogą odgrywać roli psychologa, a jeśli poruszają z podopiecznymi określone tematy, nie wolno im robić nic, co dałoby się uznać za „naprowadzanie” myślenia podopiecznych, bo to mogłoby ich skłonić do mówienia nieprawdy. Uczono nas natomiast „aktywnie słuchać”. Gdy dziecko zaczyna ujawniać jakieś fakty, zamiast pytań naprowadzających trzeba stosować zwroty typu: „I co potem?” lub „Jak się wtedy czułeś?”. Neutralność to w tym wypadku klucz do sukcesu. Podstawa to nie zajmować żadnego stanowiska.

Zapewniłam Johna, że nie „naprowadziłam” dzieci na nic z tego, co mi powiedziały.

- Dobrze - odparł. - Dzwonię w takim razie do Anny. Spróbuję się dowiedzieć, czy może do ciebie przyjechać. Boże. - Westchnął ciężko. - To się w głowie nie mieści. I nie ma znaczenia, jak długo człowiek pracuje w tym zawodzie. Takie historie wciąż mnie przerażają.

Odłożyłam słuchawkę i zmieniałam w myślach ostatnie zdanie. Bardziej by mnie przerażało, gdyby kogoś to nie przerażało.

Następnego dnia rano skontaktowała się ze mną Anna, wyraźnie poruszona. Ona też miała dla mnie jakieś informacje.

- Znalazłam pewne dokumenty - powiedziała, gdy wyraziłyśmy już swoje obawy w związku z ostatnimi wydarzeniami. - Rzucają trochę światła na tę sprawę. Ale nie chciałabym rozmawiać o tym przez telefon. Przyjadę do ciebie około pierwszej, jeśli ci pasuje? Przywiozę papiery ze sobą i wtedy się naradzimy, co dalej.

Riley, która wpadła do mnie z Levim, była do tej wizyty sceptycznie nastawiona.

- Myślisz, że jest tu jakaś reguła, mamó? Dotycząca wszystkich waszych podopiecznych? Za każdym razem kiedy przekazują wam dzieci, zarzekają się, że powiedzieli wam wszystko, co wiedzą, po czym dowiadujecie się oczymś z tatą i słyszycie w odpowiedzi: „No faktycznie, tak się składa, że jednak coś na ten temat nam wiadomo!”.

W pełni się z nią zgadzałam. Tak to dokładnie wyglądało. Nie mogłam się doczekać trzynastej.

- A więc tydzień obfitował w wydarzenia? - zagadnęła Anna, gdy usiadłyśmy przy stole. Riley i Leviego zostawiłyśmy w ogródku, żeby mogli nacieszyć się wrześnieowym słońcem.

- Można tak powiedzieć - odparłam cierpko. - ADHD, moczenie, kupy w majtkach i nie tylko, a do tego te ciągoty seksualne.

Uśmiechnęła się pocieszająco.

- Ale zdajesz sobie sprawę, Casey, że odwalacie z Mikiem kawał dobrej roboty? Naprawdę. A twoje raporty bardzo nam pomogą w sądzie. Jak widać, dzieci pod żadnym pozorem nie mogą wrócić do domu rodzinnego, a dzięki twojej pomocy mamy na to dodatkowe niezaprzeczalne dowody. Ponieważ żadne z nich nigdy przedtem nie przebywało w rodzinie zastępczej, dopiero teraz ktoś się im porządnie przyjrzał i dokonał wnikliwej oceny. Gdyby nie trafiły do was, tylko do domu dziecka, szczerze wątpię, czy udałoby się nam aż tyle dowiedzieć.

A więc według niej wszystko gra.

- No to świetnie - stwierdziłam. - Ale dla mnie najważniejsze jest pytanie: co dalej z tym robimy? Ja oczywiście uważam, że mówimy tu o wykorzystywaniu seksualnym, i zakładam, że jesteś tego samego zdania. Ale skoro nie wolno mi nakłaniać ich do rozmowy, to nie mogę im w żaden sposób pomóc. Co więc proponujesz?

Znów pokiwała głową.

- Rozumiem twoje stanowisko, Casey. Ale chyba możemy liczyć tylko na to, że poczują się u was bezpiecznie. I że im swobodniej będą się czuli, tym chętniej zaczną mówić. Naprawdę obawiam się, że pozostaje nam tylko czekać.

- A wizyta u psychologa? - Zakręciło mi się w głowie. Pozostaje nam tylko czekać?

- Wszystko w swoim czasie - odparła, co nie zabrzmiało zbyt obiecująco. - Na pewno trafią do specjalisty, biorąc pod uwagę nowe informacje, do których udało mi się dotrzeć.

Aha, pomyślałam. W końcu dochodzimy do sedna sprawy.

- O co konkretnie chodzi?

Okazało się, że nowe akta zostały włożone do tej samej teczki co stare. Pomieszały się podczas przekładania jakichś papierów, przez co część być może kluczowych dokumentów wyłądownała - nieprzeczytana - w archiwum. A więc co nowego wyszło na jaw? Raport opisywał zdarzenie sprzed dwóch lat; Olivia miała wtedy cztery latka.

Skarżyła się w przedszkolu na „ból na dole”. Gdy wychowawczynie zaczęła drążyć

temat, dziewczynka wyjaśniła, że ją boli, bo „zgwałcił” ją wujek Petie.

Mając na uwadze wiek dziecka, kobieta zapytała, co rozumie przez słowo „zgwałcił”, a Olivia opisała wtedy seks oralny, w którym była zarówno stroną aktywną, jak i pasywną. Słyszając to, cała się zagotowałam.

- Jezu! I co dalej?

- Oczywiście wezwali i nas, i policję. Oliwię zabrano do specjalnej jednostki, gdzie obejrzała film z udziałem lalek, ale była tak przerażona, że nie odezwała się ani słowem. Na tym sprawa się zakończyła, cała rodzina została tylko zaklasyfikowana jako „rodzina wysokiego ryzyka”.

Zrobiło mi się niedobrze. A więc tak to działa? Jeśli dziecko nie umie opowiedzieć o przestępstwie, to uznaje się, że nikt przestępstwa nie popełnił?

- Przepraszam, Anno, Ale nie rozumiem. Nic nie zostało zrobione? Najzupełniej nic? Wzruszyła ramionami.

- Skoro Olivia nie chciała mówić... I dlatego właśnie tak ważne jest - nachyliła się do mnie z poważną miną - żebyś zapisywała słowo w słowo wszystko, co mówią. Prawda musi w końcu wyjść na jaw. Nie możemy zmarnować kolejnej szansy.

Z mimowolnym cynizmem zaczęłam się zastanawiać, skąd nagle ta determinacja, skoro wcześniej zupełnie jej brakowało.

- A ten wujek? - spytałam. - Gdzie teraz jest?

- Miał wtedy piętnaście lat i mieszkał z rodzicami. - Zerknęła do papierów. - Do kupy z dziesięcioma kotami, dwoma psami, królikami i Bóg raczy wiedzieć, z jakimi zwierzętami jeszcze. Uwierz, Casey, złożyłam im wizytę i to, co zobaczyłam, było obrzydliwe. Wszędzie psie odchody, robactwo, mocz i ludzkie ekskrementy na dywanach... - Dla mnie żadna nowość. Ale tu chodziło o dużo poważniejszą sprawę. - W każdym razie z tego, co wiemy, teraz go tam nie ma - wróciła do tematu wujka. - Mieszka chyba z jakimiś kuzynami. I pustoszy dzielnicę.

Oraz ciała i głowy kolejnych bezbronnych dziewczynek?

Po wyjściu Anny stałam przez jakiś czas przy kuchennym oknie i przyglądałam się, jak córka bawi się ze swoim synkiem w ogrodzie. Życie to jedna wielka loteria. Kto ustala warunki, w jakich rodzi się dziecko? Czyją odgórną decyzją te biedne dzieci, które znalazły tymczasowe schronienie w naszej rodzinie, trafiły do takiego piekła?

Wyszłam do ogrodu i wzięłam roześmianego Leviego na ręce. Nie znałam odpowiedzi na te pytania. I całując wnuka, pomyślałam, że nigdy ich nie poznam. W duchu podziękowałam tylko Bogu za to, co sama mam.

Rozdział 8

U sobotnie popołudnie pod koniec września Mike z Kieronem pojechali na mecz. A ponieważ Riley zapowiedziała się na dwie godzinki z Levim, rozstawiłam dzieciom w jadalni laptopy, żebyśmy mogły w spokoju porozmawiać.

Kupiliśmy komputery jakiś czas temu z myślą o naszych podopiecznych. A ta dwójka, choć z tragicznymi zaległościami w szkole, z komputerami radziła sobie naprawdę nieźle i uwielbiała, gdy pozwalałam im z nich korzystać. Oczywiście racjonowałam im tę przyjemność i zawsze kontrolowałam, co robią. Ashton nieodmiennie wybierał zręcznościowe gry przygodowe, a Olivia przeglądała strony o musicalach i muzyce pop, które uwielbiała mimo tak młodego wieku.

- Spójrz tylko na nich, mamusiu - powiedziała Riley, gdy tylko weszła do domu. - Trudno uwierzyć, że to te same dzieci!

Zerknęłam do jadalni. Olivia i Ashton siedzieli w ciszy wpatrzeni w ekrany i musiałam przyznać, że Riley ma poniekąd rację. Ale z drugiej strony nie była na bieżąco z problemem „macania”.

- W pewnym sensie tak - przyznałam. Córka wyjęła Leviego z wózka i podała mi go. - Jeśli masz na myśli to, że są spokojniejsi, to owszem, chyba tak jest. Ale pod innymi względami...

- Pod innymi względami co? - spytała, idąc za mną do kuchni.

- Pod innymi względami jest coraz gorzej.

Poszła zrobić nam coś do picia, a ja zaczęłam wyciągać Levii jakieś zabawki. Miał osiemnaście miesięcy i najbardziej lubił się bawić plastikowym zegarem z kolorowym cyferblatem i ruchomymi wskazówkami. Usadziłam go na jego krzeselku i przysunęłam do stołu.

- Szczerze mówiąc, niedługo zamęczą mnie chyba na śmierć - jęknęłam, nakręcając zegar, żeby zaczął tykać. - Cały czas muszę mieć oczy z tyłu głowy. I dodatkową parę po bokach!

Opowiedziałam Riley o wszystkich nowościach związanych z seksem. O tym, że dzieci najwyraźniej nie są w stanie powstrzymać się od obmacywania.

- To przerażające - ciągnęłam. - Sama już nie wiem, ile razy przyłapywałam Ashtona na klepaniu Olivii po pupie. Zachowuje się jak jakiś zbereźny staruch. A ona dokładnie tak reaguje: „Och, ty beczelny gnojku!”, mówi. Chryste, to dziecko ma sześć lat!

Riley podała mi kawę i się skrzywiła.

- Od czego zaczniesz? Co się w ogóle robi w takiej sytuacji?

Już miałam jej odpowiedzieć, że sama chętnie bym się dowiedziała, ale właśnie zerknęłam na siedzące w jadalni dzieci. Parter był jednym wielkim pomieszczeniem, co okazało się dużym plusem, odkąd zostaliśmy rodziną zastępczą. Z kuchni widziałam większą część salonu, a to, co zobaczyłam w tej chwili, zdecydowanie mnie zaniepokoiło.

Na początku Ashton siedział po jednej stronie stołu, a Olivia po drugiej, ale teraz zmienili miejsca - usiedli obok siebie, a laptopy ustawili jeden przy drugim. Nie wiedziałam, dlaczego wpadli na taki pomysł, ale miałam bardzo silne przeczucie, że coś tu nie gra.

Odstawiłam kubek i podałam Riley zabawkowy zegar.

- Zaczekaj chwilę - poprosiłam. - Sprawdzę tylko, co porabiają.

Poszłam do jadalni. Rodzeństwo siedziało tyłem do mnie. Chichotało i pokazywało sobie nawzajem coś na ekranie laptopa Ashtona.

- W co gracie, Ash? - spytałam, podchodząc bliżej.

Znieruchomiał. Chciał szybko zamknąć laptop, ale nie zdążył. Zobaczyłam. Oglądali film pornograficzny. Przytrzymałam wieko i spojrzałam na wyświetlaną scenę: dwie nagie kobiety i mężczyzna wili się na łóżku; bez wątplenia uprawiali seks. - Co wy, do cholery, oglądacie? Co to jest, Ashton?

Zadałam to pytanie instynktownie. Bo odpowiedź była najzupełniej jasna. Ale czy chłopak naprawdę zdawał sobie sprawę z tego, co robi?

Olivia być może nie, ale na pewno wiedziała jedno: że robili coś złego. Że byli, jak powoli zaczynała rozumieć, „niegrzeczni”. Ale akurat za takie zachowanie do tej pory nikt ich nie karał. Skuliła się na krześle.

- Nie wolno, Ash - szepnęła. - Mówiłam ci!

- Ashton. - Przykucnęłam, żeby móc spojrzeć mu w oczy. - Zadałam ci pytanie. Co ty wyprawiasz? - Nadal milczał. - Ashton - powtórzyłam cicho. - To nie jest film dla dzieci. I chyba dobrze o tym wiesz, prawda?

Zwiesił głowę i wzruszył ramionami.

- Mamusia się nie gniewa - wymamrotał na swoją obronę. - Pozwala nam oglądać. To najzupełniej naturalne.

Kolejny raz uderzył mnie jego sposób wypowiedzania się. „To najzupełniej naturalne”. Coś takiego powiedziałby dorosły.

- Nieprawda - sprzeciwiłam się surowo. - Nie powinniście oglądać takich rzeczy. Mamusia nie powinna wam na to pozwalać. A ja kategorycznie tego zabraniam. Rozumiesz? -

Dopiero teraz pokiwał głową. - Koniec komputera na dziś - obwieściłam. - Idź pobawić się do ogrodu. Natychmiast.

Olivia, która siedziała obok, ale najwyraźniej na nowo pochłonęło ją to, co oglądała wcześniej na swoim laptopie, też chciała wstać. Położyłam jej rękę na ramieniu, gdy Ash pobiegł na dwór. Zanim jej uwagę odwróciły sceny rozgrywające się na ekranie laptopa brata, oglądała fragmenty Grease. Jeden z nich nadal leciał.

- To jest dużo fajniejsze. - Usiadłam obok niej na krześle zwolnionym przez Ashtona. Pokiwała głową, nie odrywając oczu od ekranu.

- Nie lubię porno - stwierdziła. - Jest obrzydliwe i złe.

Dołączyła do nas Riley z Levim na rękach. Też usiadła i zaczęła huśtać go na kolanie. Wszystko słyszała.

- Masz rację - potwierdziłam, choć domyślałam się, że powtarza tylko to, co usłyszała ode mnie. Może nie odnosiła tego do „niewinnych zabaw” w domu. - Naprawdę dziwi mnie, że mamusia pozwalała wam to oglądać. Często to robiliście?

W końcu na mnie spojrzała.

- Tylko jak musieliśmy. Razem z wujkami i dziadkiem.

Jej słowa zmroziły mi krew w żyłach. „Musieliśmy”?

- Razem?

Przytaknęła.

- Jak mamusia wychodziła do pubu. Mówiła, żebyśmy byli grzeczni i oglądali telewizję z dorosłymi.

Pokiwałam głową, ale zastanawiałam się przy tym, czy dziewczynka zdaje sobie sprawę z tego, co mówi.

- Ale wiesz, że nie powinnaś tego oglądać?

Znów przytaknęła.

- Mówiłam, że nie lubię.

- I nikt nie powinien cię do tego zmuszać. Ani mamusia, ani dziadek. Ani Ashton. Rozumiesz?

Wyraźnie się zaniepokoiła.

- A co z moją muzyką i Grease! Tego też nie wolno mi oglądać?

- Ależ nie, skarbie. To możesz. Oczywiście, że możesz. W tym nie ma nic złego.

Uśmiechnęła się.

- Patrz. - Odwróciła się do laptopa. - Patrz, Riley, to jest super. - Sprawnie przesunęła paluszką po touchpadzie, żeby włączyć tryb pełnoekranowy. - Sandy zaczyna ocierać się

pupą o Danny'ego, bo chce się z nim seksić.

Riley akurat wzięła łyk herbaty, którą przyniosła sobie do pokoju, i omal się nie zakrztusiła.

-Olivio! - krzyknęła. - Ty nawet nie powinnaś znać takich słów!

Zamknęłam drugi laptop.

- No dobrze, moja droga - rzuciłam wesoło. - Ty też szoruj do ogrodu. Starczy ślęczenia przed komputerem jak na jeden dzień.

Odpowiedziała mi wesołym uśmiechem, zeskoczyła z krzesła i pobiegła do brata.

Odwrociłam się do córki, która z trudem panowała nad śmiechem.

- Sama widzisz - powiedziałam ze smutkiem. - O to mi właśnie chodziło. I uwierz, to wcale nie jest zabawne.

Riley opanowała się i wróciłyśmy z Levim do kuchni. Na szczęście był za mały, żeby cokolwiek rozumieć.

- Przepraszam, mamó. Nie mogłam się powstrzymać. Wiem, że to nie jest zabawne. Tylko w ogóle się tego nie spodziewałam. Co zamierzasz teraz zrobić?

Pokręciłam głową.

- Nie mam pojęcia. Na razie usiłuję tylko zapanować jakoś nad sytuacją. Im dalej w las, tym straszniejszy wydaje mi się ich dom rodzinny. Dopóki opieka społeczna nie załatwi im psychologa, mogę jedynie wszystko obserwować, zapisywać i przekazywać dalej. I próbować to jakoś przetrzymać. Jestem na skraju wytrzymałości. Serio.

- I pewnie nie możesz nawet się na nich złościć, bo myślą, że to zupełnie normalne.

- W znacznej mierze tak. To znaczy Ashton zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu oglądać tego filmu. To było oczywiste. Ale podstawowy problem polega na tym, że oni sami nie widzą w tym nic złego. Wiedzą tylko, że to coś złego w tym domu. W ich własnym uchodziło za coś najzupełniej normalnego. Weźmy na przykład tę sytuację z Olivią. Jakby ciągnęło ją do seksu od urodzenia.

- A co się stało?

- Ech, wykonała mały taniec erotyczny. Po szkole pobiegli na górę się przebrać i mieli zaraz zejść na podwieczorek. Wołałam ich i nic, więc poszłam sprawdzić, dlaczego tak się ociągają. Patrzę, a tu Olivia ubrana jak lalka Barbie w wersji porno: szminka, mały staniczek, tego typu rzeczy, tańczy przed Ashtonem jak striptizerka w klubie nocnym! - Riley pokręciła głową, gdy odmalowałam przed nią tę scenę. - Naprawdę musiałabyś to zobaczyć, żeby wiedzieć, o czym mówię. To było chore. Po prostu chore. Ruszała się jak tancerka erotyczna. W takiej sytuacji oczywiście natychmiast zaczynasz się zastanawiać, gdzie i w jakich

okolicznościach się tego nauczyła.

- I dla kogo? - dodała Riley. - To podstawowe pytanie.

- Właśnie.

- I cę zrobiłaś?

- Niewiele. Jak ci wspomniałam, dla nich to normalne. A wiesz, co jest najgorsze?

- Co?

- Że to się dzieje tak często, że zaczynam na to obojętnieć. Słuchałam Olivii, która opowiadała, że pokazuje „seksi taniec” nie tylko bratu, ale też różnym członkom bliższej i dalszej rodziny, i nawet mnie to nie zszokowało. A przynajmniej w połowie nie tak, jak powinno. Czuję, jakbym ciągle na nowo musiała sobie przypominać, że to potworne. Nie tylko to, co rozgrywa się na moich oczach, ale wszystko, co to oznacza. Do jakich okropności zmuszano te dzieci?

Riley się zamyśliła.

- Racja, mamó. To wcale nie jest zabawne. To straszne. Inaczej nie da się tego opisać.

Wraz z nadejściem poniedziałku byłam gotowa do działania. Weekendowa dyskusja z Riley naprawdę dodała mi skrzydeł. Nie mogłam pozostawiać dłużej spraw własnemu biegowi. Psychika tych dzieci poważnie ucierpiała i im szybciej ktoś zajmie się ich wypaczonym rozumieniem normalności, tym większa nadzieja, że przyniesie to pozytywne skutki. O wiele można by mnie posądzić, ale na pewno nie o naiwność. Tak skrzywione poglądy na temat seksualności poważnie odbiją się na ich dorosłym życiu. Już sama myśl o tym, że słodki, mały Ashton miałby się zamienić w agresywnego nastoletniego dewianta, budziła we mnie zarówno przerażenie, jak i wściekłość. A jednak statystyki były bezlitosne: krzywdzone dzieci często krzywdziły jako dorośli. I nic dziwnego. Skoro ktoś uważa, że seks pomiędzy członkami rodziny jest czymś normalnym, to czemu nie miałby kontynuować takiego schematu? Normy społeczne stanowią bardzo silną barierę, ale jak powszechnie wiadomo, pociąg seksualny bywa dużo silniejszy. Przerażało mnie to, jak wiele najprawdopodobniej wycierpiałoby te dzieci, ale jeszcze bardziej to, w jakich dorosłych mogły się zmienić. Uważałam, że każdego dnia, gdy siedzę z założonymi rękami, wszystkie negatywne schematy coraz bardziej się w nich utrwalają. Najwyraźniej jednak nikt nie podzielał mojego przekonania, że sprawa wymaga pilnej interwencji.

Przesłałam opis wszystkich najnowszych obserwacji Johnowi i Annie, ale i tak postanowiłam jeszcze do niej zadzwonić. Miała się u nas zjawić w następnym tygodniu z kolejną standardową wizytą, ale nie mogłam tak długo czekać. Anna musiała natychmiast się dowiedzieć, że opieka nad dziećmi staje się coraz trudniejsza, że sytuacja moich

podopiecznych jest dużo bardziej skomplikowana, niż początkowo sądziliśmy. Chciałam też, żeby doradziła mi stosowną strategię działania - bez specjalistycznego przeszkolenia w zakresie psychologii i seksuologii dziecięcej czułam, że zadanie mnie przerasta.

Tłumaczyłam jej, że każda pomoc psychologiczna będzie na wagę złota.

- CAMHS - podsunęłam. - Może oni by pomogli? Znam zasady, ale w tak poważnej sytuacji na pewno...

Z góry wiedziałam, co na to powie. Miewałam już kontakty z CAMHS.

- Wiesz, że to niemożliwe - odpowiedziała szczerze. - Teraz nikt tam się nimi nie zajmie, dopóki nie znajdą domu na stałe.

To frustrujące, ale najwyraźniej nic nie dało się zrobić. Miało to oczywiście swoje uzasadnienie. CAMHS kieruje się zasadą, że jeśli dziecko znajduje się pod opieką przejściową, praca z nim nic nie da.

- To logiczne - czuła się w obowiązku poinformować mnie Anna, choć przecież doskonale o tym wiedziałam. - Jeśli dziecko o czymś opowiada i w efekcie traci stabilność emocjonalną, to trzeba mu natychmiast zapewnić specjalistyczną pomoc. Jeśli jednak terapia zostanie przerwana z powodu przeprowadzki w nowe miejsce, wtedy skutki psychologiczne mogą być dużo gorsze niż bez rozpoczynania jakiegokolwiek terapii. - Westchnęła. - Jestem pewna, że wiesz równie dobrze jak ja, jak to działa. Może zostaną przeniesione w miejsce, gdzie będą miesiącami czekać na wizytę...

Child and Adolescent Mental Health Services - system opieki psychologicznej i psychiatrycznej dla dzieci i młodzieży w ramach brytyjskiego systemu służby zdrowia (przyp. tłum.).

- Zdaję sobie z tego sprawę - przerwałam jej. - Ale to mi w niczym nie pomaga. A co z innego rodzaju pomocą psychologiczną?

- Przykro mi. Naprawdę. Ale sama rozumiesz... Cięcia budżetowe i tak dalej... za dużo dzieci, za mało pracowników. Słuchaj, uruchomię swoje kontakty i może ktoś chociaż coś doradzi. Podsunie ci jakąś strategię radzenia sobie ze stresem czy coś. Czy to w czymś ci pomoże?

Strategia radzenia sobie ze stresem. Czy coś. Nie, pomyślałam. Nie pomoże! Bo ja sobie radzę. To dzieci potrzebują pomocy, nie ja!

Ale nie powiedziałam tego na głos.

- Zrób, co uważasz za stosowne. Ale coś zrób - powiedziałam tylko. - Bo na chwilę obecną mam wrażenie, że staram się jedynie nad nimi jakoś zapanować. Trzymam ich od siebie nawzajem z daleka. Co w przypadku rodzeństwa jest nie tylko trudne, ale wręcz

nienormalne.

- Wiem, wiem - łagodziła Anna, choć moim zdaniem nic nie wiedziała. - Naprawdę cię rozumiem, Casey. Tak mi ciebie żal.

Tak jej mnie żal. To krótkie zdanie nie pozwalało mi spać przez pół nocy. Chciałam konkretów, a nie cholernych frazesów.

Rozdział 9

O ile denerwował mnie brak działań ze strony opieki społecznej, to nie narzekałam na brak działania ze strony dzieci. A przynajmniej takiego, jakie obserwowałam w ostatnim czasie. Zorientowałam się, że snuję się za nimi jak cień. Jeśli szły bawić się do ogrodu, niby od niechcienia zaczynałam krzątać się w oranżerii albo wychodziłam na papieroska. I przez cały czas kontrolowałam jednym okiem, co robią. Zaczęłam też wprowadzać nowe zasady. Jeśli chcieli się bawić w swoich pokojach, musieli zostawiać otwarte drzwi. A jeśli zamierzali bawić się razem, musieli to robić na korytarzu.

Nie było mi z tym dobrze - zwłaszcza gdy pytali, czemu każę im tak robić. Z jednej strony czułam, że nie mam wyboru. Z drugiej - że to strasznie niesprawiedliwe. Te dzieci powinny móc się kontaktować ze sobą bez żadnych ograniczeń, jak każde rodzeństwo. One natomiast znajdowały się pod ciągłym nadzorem i na dodatek to ja byłam cerberem. Wiedziałam jednak, że dla ich własnego dobra musi tak pozostać.

Co prawda to przypominało trochę naklejanie małego plastra na dużą, krwawiącą ranę. Widziałam to w ich oczach za każdym razem, gdy podkradałam się, żeby zobaczyć, co robią. Pewnie uważali mnie za wariatkę. Owszem, trzymali się ustaleń, ale tylko dlatego, że tak naprawdę byli posłuszni, a nie dlatego, że rozumieli, że w ich wzajemnych kontaktach jest coś nie tak. Olivia - jeszcze mała, a co za tym idzie prostolinijna - mówiła o swoim makabrycznym, przesyconym seksem dzieciństwie tak bezpośrednio, że regularnie mnie tym szokowała.

W piątek rano, przed wizytą Anny, wstałam wcześniej, żeby porządnie przejrzeć swoje zapiski i znów spróbować ją przekonać, jak ważna moim zdaniem jest pomoc psychologiczna. Z tym właśnie zamiarem wyszłam na paluszkach z sypialni; chciałam zaparzyć duży dzbanek kawy i przez godzinę w spokoju poczytać notatki.

Drzwi do pokoju Olivii były otwarte i od razu wiedziałam, że nie śpi, bo słyszałam, jak mówi coś do swojej lalki. Na początku zamierzałam zostawić ją w spokoju, ale nagle dotarło do mnie słowo „dziadzio” i od razu wyostrzyłam słuch. Ostatnio weszło mi to w krew. Podkradałam się bliżej.

- No - ciągnęła Olivia. - Teraz wyglądasz już jak trzeba. Jesteś śliczna Polly. Śliczna pupcia jak brzoskwinka, akurat dla dziadzia.

Wzdrygnęłam się i szerzej otworzyłam drzwi.

Olivia siedziała na łóżku z gołą lalką na kolanach. Ubranka, które dopiero co musiała

jej zdjęć, leżały obok.

- Dzień dobry, skarbie - przywitałam się pogodnie. - Wczesnie wstałaś. Co robicie z Polly?

- Bawimy się w chodzenie spać - odparła. Miała wielkie oczy o niewinnym spojrzeniu. - Polly to ja i teraz jej kolej, żeby spać z dziadziem. Musi zdjąć sukienkę, bo sukienka drapie. Nie można nosić drapiących rzeczy, jak się śpi z dziadziem. On takich nie lubi. Boli go skóra. Nawet piżamy nie wolno - dodała, jakby przypomniała sobie właśnie coś bardzo ważnego.

- Wiesz co? - zaczęłam swobodnie, jak gdybym chciała zwyczajnie pogawędzić. - Małe dziewczynki nie powinny sypiać ze swoimi dziadkami, a już zwłaszcza bez piżamki. - Co ja gadam? W ogóle nie powinny z nimi sypiać!

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Czemu nie? - spytała, wyraźnie skołowana poranną rozmową.

- Bo to nie to samo co przytulanie. Spanie jest intymne. Dziadkowie nie powinni nawet prosić swoich wnuczek, żeby kładły się z nimi w jednym łóżku. To...

- A tatusiowie? Casey, nie spałaś nigdy w łóżku z tatusiem?

Całkiem mnie zamurowało.

- Z tatusiem? - powtórzyłam. - Chodzi ci o Mike'a, skarbie?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nie, no co ty! Chodzi mi o twojego tatusia!

- Oczywiście, że nie, Olivia - odparłam stanowczo. - Bo tego też się nie robi. Mamusie i tatusiowie śpią razem, a dzieci osobno. Córeczki w żadnym wypadku nie sypiają z tatusiami.

Wysłuchiwała tego wszystkiego, po czym wzruszyła ramionami.

- Szkoda - stwierdziła rzeczowo.

- Szkoda?

- No. Bo pewnie dostałabyś wtedy nową lalkę.

Niewiele mogłam zrobić w odpowiedzi na sugestię Olivii poza tym, co i tak miałam w planie. Powiedziałam jej więc, że wrócę po nią, gdy będzie czas wstawać, i zesłam zaparzyć sobie kawę. Przez następne pół godziny uzupełniałam swoje coraz obszerniejsze zapiski o ostatnią rozmowę z podopieczną. Wkrótce potem pojawił się Mike. Zreferowałam mu to, co widziałam i usłyszałam, dodając, że mam przynajmniej kolejne potwierdzenie, że moje domysły są słuszne.

- Naprawdę sądzisz, że Anna jakoś zainterweniuje? - spytał Mike z cyniczną miną. - Ja bym na to nie liczył.

Racja. Ta kobieta pewnie nic nie robi. Przecież uprzedziła, że ma związane ręce,

prawda? Oboje zdawaliśmy sobie sprawę ze swojej bezradności. Pole manewru było ograniczone.

To wszystko tak mnie zaabsorbowało, że niemal mechanicznie przygotowywałam dzieci do szkoły, a gdy już je zawiozłam, wróciłam do swoich notatek. Jeszcze raz je przeczytałam, łącznie z tym, co sama mówiłam. A cały czas przy tym myślałam: „walić te wasze cholerne procedury”. Dokument z informacjami zapisanymi czarno na białym moim estetycznym pismem wyglądał bardzo schludnie. Jednak nawet najwyższej próby kaligrafia nie mogła zamaskować znaczenia słów widniejących na papierze.

Resztę przygnębienia i frustracji wyładowałam, robiąc w domu porządki: sprzątanie jak zwykle okazało się dla mnie najskuteczniejszą terapią, a nastrój dodatkowo mi się poprawił po telefonie Kieron. Sam pojechał na noc do Lauren, a rano miał rozmowę o pracę. Ale że ten przeklęty raport z opieki nad dziećmi tak mnie pochłonął, zupełnie zapomniałam przejmować się tym, jak Kieronowi idzie. Choć patrząc z perspektywy czasu, może to i dobrze. Bo miałabym tylko jeszcze jeden powód do zmartwień.

- Mamo! - zaczął podekscytowany. - Dostałem pracę!

Kieron zastanawiał się ostatnio nad swoim życiem. To rozsądny chłopak. Kochał muzykę i uwielbiał swoje studia, zdawał sobie jednak sprawę, że dopóki w tym zakresie nie wydarzy się coś konkretnego, musi jakoś zarabiać. A ponieważ zawsze myślał o pracy w opiece społecznej (mimo wszystko, a może ze względu na wszystko, co widział w naszym domu), to złożył CV w organizacjach aktywizujących uczniów z miejscowych szkół. Wyglądało na to, że został zatrudniony tam, gdzie chciał: jako pracownik wspierający trudną młodzież. Miał pracować po kilka godzin dziennie, wieczorami, i zachęcać dzieciaki do sportu. Do rugby i oczywiście do jego ukochanej piłki nożnej.

- Fantastycznie! - wykrzyknęłam. Czułam, że po okropnym poranku chmury wreszcie się rozstępują. - Bardzo się cieszę. Doskonale się sprawdzisz!

W tym samym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Pożegnałam się z Kieronem, schowałam do kieszeni ściereczkę do kurzu i z uśmiechem otworzyłam Annie.

- Widzę, że humor dopisuje! - przywitała się. - Czy to oznacza, że miałaś udany tydzień?

Przekazałam jej wieści o Kieronie, ale później musiałam ją rozczarować. W miarę mojego opowiadania Annie rzedła mina, a gdy skończyłam, jej twarz łudząco przypominała wilgotną szmatkę, której używałam do sprzątania.

- Koszmar - westchnęła.

- Otóż to - zgodziłam się. - Wygląda na to, że regularnie z nią sypiał. Gorzej być

chyba nie może, co? - Spojrzałam na nią, a jej mina postawiła mnie na baczność.

- Owszem, może - stwierdziła ze smutkiem. - I to dużo gorzej.

Tym samym mogłam się już całkiem pożegnać z dobrym humorem.

- Ale co może być gorszego? - spytałam.

Poszła ze mną do kuchni, gdzie zaparzyłam kolejny dzbanek kawy. Czułam, że nie chcę znać odpowiedzi, ale i tak miałam ją usłyszeć.

- Nie jestem pewna, czy to będzie miało na was bezpośredni wpływ - zaczęła. - Ale ponieważ zbliża się termin rozprawy... A właśnie, odbędzie się za tydzień...

- Za tydzień? - zdziwiłam się. To sądy działają w takim tempie? - Niesamowicie szybko...

Pokręciła głową.

- Niezbyt. Nie w tych okolicznościach. W sytuacji, gdy próbujemy zapobiec dalszym kontaktom z rodzicami, sędziowie zawsze usiłują jak najszybciej sformalizować sprawę. W każdym razie jesteśmy gotowi. Mamy prawie wszystkie raporty. Dzieci muszą jeszcze tylko porozmawiać z adwokatem i same określić, czego by chcieli, i to by było mniej więcej tyle z naszej strony.

Pokiwałam głową i napiłam się kawy. Uprzedzono nas, że takie spotkanie się odbędzie. I to wcale nie napawało nas entuzjazmem. Jakby Ashton i Olivia w ogóle mieli pojęcie, czego chcą. Chociaż pewnie wiedzieli, ale niekoniecznie to byłoby dla nich najlepsze. A zatem sąd wysłucha dzieci, tyle że z góry wiadomo, że ich głos nie będzie brany pod uwagę, choć oczywiście wyłącznie dla ich dobra.

Tak czy siak musieliśmy przez to przejść. Teraz jednak bardziej interesowały mnie złe wiadomości, które miałam usłyszeć: ukryte na stronach nieodłącznej płożoźłtej teczki, którą Anna wyciągała właśnie z aktówki. Śmieszne, że kiedyś tak się emocjonowałam tymi teczkami, bo uważałam, że dzięki nim mogę się dowiedzieć istotnych rzeczy na temat naszych podopiecznych. Dopiero niedawno zaczęłam patrzeć na nie inaczej. Teczki oznaczały złe wieści. Za każdym razem.

- Już się boję - zażartowałam, starając się, by mój głos zabrzmiał lekko.

Anna otworzyła dokumenty. Jej niewyraźny uśmiech mówił sam za siebie.

- Prześledziliśmy historię całej rodziny - wyjaśniła. - Na polecenie sądu. Wróciliśmy do archiwalnych akt sprzed lat, zakurzonych i zapomnianych. Do czasów, gdy dokumentację tworzyło się odręcznie w dwóch egzemplarzach i gdy zatrudnialiśmy sekretarki, które później ją segregowały i porządkowały. - Uśmiechnęła się smutno.

Odrobina beztroski przed ponurym wyznaniem? Być może, bo następne słowa

zabrzmiały naprawdę ponuro, choć nie zszokowały mnie aż tak, jak zapewne spodziewała się Anna. Przeciwnie: wszystko zaczęło nabierać sensu.

Rozdział 10

Główne odkrycie, jakim chciała podzielić się ze mną Anna, dotyczyło Ashtona i zachodzącego od dziesięciu lat podejrzenia, że chłopiec może być owocem kazirodczego związku jego matki, Karen, i jej ojca, osławionego dziadzia. Karen zaszła w ciążę w ostatniej klasie podstawówki, a ponieważ borykała się z poważnymi trudnościami w nauce, szkoła powiadomiła opiekę społeczną i ta zajęła się sprawą. Podczas jednej z wizyt któryś z sąsiadów zaczepił pracownicę socjalną i powiedział, że w bloku mówi się, iż dziewczyna zaszła w ciążę z własnym ojcem. Rodzicom Karen udało się jednak przekonać opiekę społeczną, że to tylko złośliwa plotka. Przedstawili nawet młodego chłopaka, który przyznał się do ojcostwa.

Zarzucono więc tę poszlakę, ale na szczęście pracownica socjalna odnotowała w dokumentacji całą rozmowę, co oznaczało, że choć papiery utknęły w archiwum, można je teraz wykorzystać jako dodatkowe poświadczenie „problemów” rodziny.

Jak dla mnie ta informacja potwierdzała jedynie moje najgorsze obawy: że dzieci w tej rodzinie od lat wykorzystywano seksualnie. Przypomniały mi się słowa Olivii: „Casey, śpisz ze swoim tatusiem?”. Może nie było na to dowodów, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że jej matka to właśnie robiła.

Przynajmniej kiedyś. Ogarnął mnie jeszcze większy smutek. Tak skrzywione już we wczesnym dzieciństwie.

I to nieodwracalnie? A co gorsze, ich zachowania seksualne nie brały się jedynie z obserwacji otoczenia. Miałam wrażenie, że wypływają z jakiegoś niemal zwierzęcego pociągu. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że dzieci czerpią z takich zachowań jakąś przyjemność, ale wyraźnie się denerwowały, gdy omijała je „kolejka”. Czy to prawda? Czy takie maluchy mogą mieć autentyczne potrzeby seksualne? Nie mieściło mi się to w głowie, ale dzień w dzień wszystko to potwierdzało. Stwierdziłam, że naprawdę muszę o tym poczytać. Strasznie mnie frustrowało, że właściwie nie znam problemu.

Najwyraźniej odpływałam myślami, bo Anna chrząknęła.

- Rozumiesz? - spytała. - Że Ashton może być...

- Tak, tak, jasne - odpowiedziałam. - Przepraszam.

Iwcale mnie to nie dziwi. Wiedziałam, że coś jest na rzeczy. Wszystko układa się w całość. Nie wątpię też, że problem jest bardziej złożony.

To przekonanie potwierdziło się w bardzo nieprzyjemny sposób nieco ponad tydzień

później, ale Annie na razie chodziło o coś innego.

- Pomyśleliśmy sobie, że dobrze by było, gdybyście po wizycie adwokata wyjechali z nimi na krótkie wakacje. Zabierzcie ich stąd, wtedy trochę oderwą się od tego, co się tu dzieje, a wy umniejszycie rangę sprawy... bo rozumiecie, że muszą zostać poinformowani o rozprawie?

Pokiwałam głową.

- Ale to niewykonalne. Jeśli zjawi się człowiek w garniturze i zasypie ich pytaniami, trudno będzie „umniejszyć rangę sprawy”, nie sądzisz? - Jeśli Anna wyczuła sarkazm w moim głosie, nie dała tego po sobie poznać. Zerwałam się z miejsca i zdjęłam ze ściany kalendarz. - Chociaż właściwie to może się udać. Oboje mają w przyszłym tygodniu urodziny. Olivia kończy siedem lat, a Ashton dziesięć, więc mogę im powiedzieć, że wyjazd jest w ramach prezentu.

- Świetnie. Doskonale się składa. Oczywiście pokryjemy wszelkie koszty. Przyspieszę wypłatę, żebyś mogła kupić dzieciakom ubrania na wyjazd, zapłacić za zakwaterowanie i tak dalej. Ale pasuje ci takie rozwiązanie? Nie masz nic przeciwko?

Nie miałam.

- A co z adwokatem? Wiesz, kiedy chce spotkać się z dziećmi?

- No tak. Momencik. Mam gdzieś zapisane kilka terminów do wyboru... o tutaj. Jutro po szkole, około czwartej?

Pewnie żadna pora nie jest dobra na przymusowe spotkanie z nieznanym, którego masz przekonać, żeby zrobił coś, czego i tak nie zrobi. Mogłam mieć tylko nadzieję, że jego wizyta nie okaże się dla rodzeństwa na tyle traumatyczna, żeby ich zachowanie - które poza problemami z seksem uległo ogromnej poprawie - znów się pogorszyło.

Gdy jednak doszło co do czego, całe spotkanie przebiegło szybko, choć niezbyt przyjemne. Adwokat - przystojny mężczyzna, na oko po pięćdziesiątce - ku mojej uldze wykazał się sporym doświadczeniem w pracy z dziećmi. Ale choć był wcieleniem profesjonalizmu i bezstronności, widziałam, że cała sprawa budzi w nim równie duże oburzenie jak we mnie.

Miał przedłożyć sędziemu raport opisujący „potrzeby izyczenia” dzieci i to właśnie im wyjaśnił, gdy jeszcze w szkolnych mundurkach usiadły zgodnie z poleceniem obok siebie na kanapie: jego zadanie polegało na tym, by sędzia wiedział, czego oboje chcą.

- A więc - zwrócił się łagodnie do Ashtona - wiesz, że pracownicy opieki społecznej uważają, że wasza mamusia chyba nie może się teraz wami odpowiednio zająć, prawda? - Minęła chwila, zanim chłopiec ponuro pokiwał głową. - Masz prawo powiedzieć, co o tym

sądziysz. Przypuśćmy więc, że mamusia nie będzie mogła się wami zajmować. Z kim wtedy chciałbyś najbardziej mieszkać?

- Z dziadziem! - wykrzyknęła bez zastanowienia Olivia.

Ashton zignorował siostrę.

- Musimy wrócić do domu - oznajmił stanowczo. Miał kamienny wyraz twarzy, ale w oczach błyszczały mu łzy. - Mamusia mnie potrzebuje, bo jak mnie nie będzie, to przestanie brać lekarstwo na depresję, a jak go nie będzie brała, to może zachorować i umrzeć.

Ponieważ mnie przypadła w udziale wyłącznie rola obserwatora, patrzyłam, jak mężczyzna notuje wszystko na kartce A4. Widziałam, że Ashton wpatruje się w zapelniający się arkusz, i chciało mi się płakać na widok nadziei w jego oczach.

- Mamusia może umrzeć - powtórzył. - Pewnie umrze, proszę pana. Jak z nią nie będę. Niech pan powie temu komuś, że musimy szybko wrócić do domu. - Spojrzał poważnie na adwokata, a ten ze zrozumieniem pokiwał głową. - Iniech pan też powie, że dostaliśmy nauczki - dokończył.

Jeśli słowa Ashtona były porażające, to zachowanie Olivii tym bardziej, bo spytana ponownie o to, z kim chciałyby zamieszkać, tak się zestresowała, że ledwie zdołała wydobyć z siebie słowo. Wybuchła płaczem, podbiegła do adwokata i wtuliła się w niego ze łzami.

- Chcę do dziadzia! Chcę wrócić! Pozwólcie mi!

Bełkotała dalej przez łzy, ale właściwie nie dało się zrozumieć ani słowa. Serce mi się krajało na widok Ashtona, który musiał na to wszystko patrzeć, i na widok adwokata, który nie zapisywał nic z tego, co mówiła Olivia. Widziałam po jego minie, że jest autentycznie wstrząśnięty.

Spojrzał na mnie z lekkim rumieńcem i delikatnie odsunął od siebie małą.

- Chcesz usiąść z Casey? - spytał łagodnie. Zerknął na mnie, a ja przywołałam ją skinieniem głowy.

Wdrapała mi się na kolana. Jej drobniutkie ciało drżało.

To skłoniło Ashtona do działania.

- Proszę pana. - Wstał z kanapy i podszedł do siedzącego kawałek dalej adwokata. - Olivia mówiła, że jak przyjdą źli ludzie i podpalą mamusię w łóżku, to ona umrze... - Uniósł zaciśniętą pięstkę i potrząsnął nią. - Inie będziemy mogli jej obronić! Niech mu pan to powie!

Chciało mi się płakać.

Przygotowania do wycieczki były trochę bezładne, a do tego obciążające psychicznie, bo nienawidziłam organizować czegokolwiek na ostatnią chwilę, a już zwłaszcza wakacji. Jako matka dziecka z zespołem Aspergera przyzwyczaiałam się, że zmiany są stresujące, bo

Kieron źle je znosił. Więc zwykle unikaliśmy pośpiechu.

Ale mieliśmy szczęście. Gdy Mike poinformował w pracy, że musi wziąć kilka dni wolnego - i wyjaśnił dlaczego - szef wystąpił z naprawdę miłą propozycją. Miał trzyosobowy domek kempingowy w Walii. Zaoferował, że nam go użyczy, jeśli zechcemy. Ponieważ w nieskończoność przeczesywałam Internet i jak dotąd nie udało mi się znaleźć nic odpowiedniego (również pod kątem finansów), Mike przystał na to bez wahania.

Robiąc jednak spis potrzebnych rzeczy, byłam w kiepskim nastroju - biedne dzieci, co je czeka? Nie potrafiłam też oswoić się z myślą o tym, kto - prawdopodobnie - jest ojcem Ashtona. Jakie będą tego konsekwencje? Psychiczne, ale też genetyczne. Sytuacja nie mogła być bardziej tragiczna.

Na szczęście miałam Riley. Ona jak zwykle mnie pocieszyła. Zgodziła się wziąć do siebie Kierona na czas naszego wyjazdu, co natychmiast mnie uspokoiło. Zgadza się, miał już dwadzieścia lat, ale wciąż był moim malutkim synkiem i wiedziałam, że nie odetchnę bez pewności, że jest spokojny, zwłaszcza że nowa praca też stanowiła dla niego niemałe wyzwanie. Poza tym córka dała się wyciągnąć z Levim do sklepu. Kupiliśmy wszystko: od strojów kąpielowych po wiaderka i łopatki. Bardzo mi zależało, żeby ten wyjazd się udał. Miało nas nie być tylko kilka dni, ale przy całej niepewności związanej z sytuacją dzieciaków naprawdę chciałam skoncentrować się na drobnych przyjemnościach i zorganizować im wakacje z prawdziwego zdarzenia, jakich pewnie nigdy nie miały.

Zapomniałam tylko o jednym istotnym drobiazgu. Gdy kilka dni później odbierałam Ashtona i Oliwię ze szkoły, zamierzałam przy okazji poinformować o naszych planach nauczycieli, a w drodze do domu wyjaśnić wszystko dzieciom. Nic im wcześniej nie mówiłam, utrzymywałam tę niespodziankę w tajemnicy, więc po raz pierwszy mieliśmy rozmawiać o wakacjach.

Ale gdy tylko padło to słowo, oboje się przerazili.

- Kiedy? - spytała niespokojnie Olivia, gdy wsiedliśmy do samochodu. - Dokąd, Casey? Już nas nie kochasz?

Miałam ochotę się kopnąć. Jak mogłam zapomnieć, że Anna powiedziała im na początku, że to do nas jadą na wakacje?

Ashton spiorunował mnie wzrokiem. Najwyraźniej znów spodziewali się najgorszego.

- Poczekajcie. Już wam tłumaczę - zaczęłam. - Pojedziemy w jakieś ładne miejsce. We czwórkę. Wy, ja i Mike. Żeby odpocząć, zobaczyć coś nowego. Tylko na kilka dni. Będą tam baseny, place zabaw, może nawet plaża! - Patrzyli na mnie pustym wzrokiem. - Na tym polegają wakacje. Na zabawie! A potem wrócimy razem do domu. Rozumiecie? - Ale równie

dobrze mogłam mówić po francusku.

Siedzieli z tak zdezorientowanymi minami, że całą drogę do domu zastanawiałam się, jak puste i jałowe musiało być dotąd ich życie. Wakacje miały być dla nich zarówno prezentem urodzinowym, jak i odskocznią od rozprawy, ale jak się przekonaliśmy już w Walii, okazały się czymś dużo więcej.

Dzieci rozchmurzyły się trochę, gdy Mike wrócił z pracy i przedstawił szczegóły. Zasiadliśmy przed komputerem i obejrzeliliśmy stronę internetową kempingu. Miejsce wyglądało ładnie i uroczo, tak jak sobie wyobrażałam, a dzieciaki w końcu chyba zrozumiały, co to znaczy jechać dokądś dla przyjemności. Ja jednak wciąż nie mogłam otrząsnąć się ze zdumienia. Miewałam już oczywiście styczność z dziećmi, które ze względów finansowych nigdy nie były na wakacjach, ale w życiu nie rozmawiałam z dzieckiem, które nie miało nawet pojęcia, co to są wakacje.

Mike co prawda nie był zachwycony stosem wakacyjnych rzeczy. W najmniejszym nawet stopniu, bo to on musiał wpakować je dwa dni później do samochodu, gdy w końcu wyruszyliśmy na podbój Walii.

- Nie marudź! - skarciłam go. - Zobacz, jak się cieszą!

Na widok zadowolonych buziek jego twarz z miejsca złagodniała. Chyba tak jak ja zdał sobie sprawę, że dla nich to naprawdę coś. Bo ich miny zaczęły stopniowo wyrażać dziecięcą ekscytację. I to z powodu czegoś dobrego, zdrowego i słusznego - być może po raz pierwszy w życiu.

Nigdy nie byłam w Walii, ale jej piękno mnie poraziło, podobnie jak to, że zupełnie nie potrafiliśmy wymówić walijskich nazw na znakach drogowych. Każdy znak podawał nazwy miejscowości zarówno po angielsku, jak i po walijsku i jadąc na zachód, próbowaliśmy dla zabawy mierzyć się z tymi ostatnimi. Rozśmieszaliśmy tym dzieciaki do łez. Najlepszy okazał się cudowny łamaniec „archfarchnad”. Ku naszej wielkiej uciesze odkryliśmy, że oznacza „supermarket”, co pozwoliło nam stworzyć własną wersję zabawy „Poszedłem do sklepu...”, której dzieciaki przez wiele kilometrów nie miały dość.

Sam kemping też nas nie rozczarował. Pięknie utrzymany, zajmował rozległy teren na wybrzeżu, jakieś dziesięć minut samochodem od ślicznej plaży. Znajdowały się tam wszystkie obiecywane przeze mnie atrakcje i wiele innych. Poza tym aż roiło się od rodzin z małymi dziećmi. Ponieważ trwał rok szkolny, a od przerwy w połowie semestru dzieliło nas kilka tygodni, na kempingu przebywali głównie rodzice i dziadkowie z zupełnymi maluchami. To nam jednak nie przeszkadzało, bo nasi podopieczni pod wieloma względami byli dużo młodszy, niż wskazywałyby na to ich metryki. Ogólnie atmosfera miejsca w pełni

nam odpowiadała.

Dwa kolejne dni spędziliśmy naprawdę fantastycznie. Po raz pierwszy zobaczyliśmy, jak Ashton i Olivia potrafią się zmienić. Jacy powinni być: zwykłe dzieciaki pochłonięte dziecięcymi zabawami. Zabraliśmy ich na konie i na basen, a nawet wypożyczyliśmy łódkę. Wszyscy świetnie się bawiliśmy. Dopiero trzeciego dnia, gdy wybraliśmy się na plażę, przypomniał sobie, kim naprawdę są te dzieci.

Jak na początek jesieni było ciepło, więc postanowiliśmy trochę popłażować. Uznałam, że dzieciństwo nie może się obejść bez pikniku na plaży. Przyszykowaliśmy więc prawdziwą ucztę (mnóstwo kanapek do zapieczenia), zapakowaliśmy dzieciaki do samochodu i pokonaliśmy kilkukilometrową drogę nad morze. Dopiero gdy brnęliśmy mozolnie po piachu, obładowani do granic możliwości, Mike zauważył, że Ashton i Olivia dziwnie się zachowują. Przeszliśmy właśnie przez wydmy, które oddzielały parking od plaży. Mike sapał i dyszał i chciał jak najszybciej pozbyć się ciężkiego ładunku. W moim wydaniu „lekki” lunch niekoniecznie był lekki.

- Pospieszcie się! - zawołał Mike. - Przestańcie się guzdrać. W tym tempie zanim dojdziemy do wody, zacznie się odpływ!

Olivia i Ashton nieśli wiaderka i łopatkę. Trzymając się za ręce, szli ostrożnie po kamykach i piasku u podnóża wydmy. Mieli nietęgą minę. Podbiegłam do nich.

- Co się dzieje, skarbie? - spytałam Olivie. Ku mojemu zdumieniu wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozplakać.

- Tu jest niefajnie! - wymamrotała drżącymi ustami. - Nogi nam się zapadają!

Wpatrywałam się w nią zdziwiona.

- To tylko piasek, kochanie - próbowałam ją uspokoić. - Piasek i kamyki. - Widząc ich osłupienie, nagle do mnie dotarło. - Ojej - zawołałam, bo uświadomiłam sobie, w czym najprawdopodobniej leży problem. - Nie byliście nigdy na plaży?

Pokręcili głowami. Wmurowało mnie. Pogodziłam się z tym, że nigdy nie wyjeżdżali na wakacje. Ale na jednodniową wycieczkę też nie? Lub choć na krótko, po południu? Ani razu?

Potrzebowaliśmy blisko godziny, żeby się oswoili. Godziny, w trakcie której Mike cierpliwie demonstrował, jak się buduje zamki z piasku. Najpierw musiał im jednak wyjaśnić, że plaża w niczym się nie różni od piaskownicy ze szkolnego boiska i że można się na niej bawić dokładnie tak samo, a jedyna różnica polega na tym, że tu piasku jest dużo, dużo więcej. Godziny, w trakcie której zabrał ich na sam brzeg i brodził z nimi w pianie, starając się ich przekonać, że mogą bez obaw wejść do wody po kolana. Obserwowałam ich ze

swojego miejsca na kocu. Zdałam sobie sprawę, że dla nich to wielka sprawa: coś nowego i przerażającego. Ashton w kółko dopytywał się tylko - może jak każde małe dziecko - czy w morzu są rekiny i czy nie wyskoczą na brzeg i ich nie zjedzą?

Ale chwila najbardziej dosadnie przypominająca o ich przeszłości miała dopiero nadejść. Tuż przed lunchem Mike pokazał im zabawę w „łóżko z piasku”. Ku ich uciesze, wykopał płytki dołek i kazał się w nim położyć Ashtonowi. Potem poprosił Olivię, żeby zaczęła brata zasypywać, czyli nakrywać po samą szyję „kołderką” z piasku, a sam przyszedł mi pomóc szykować jedzenie.

Gawędziliśmy o czymś spokojnie, ale po pięciu minutach zorientowaliśmy się, że jakaś rodzina zerka w naszą stronę i wskazuje na coś palcami. Byli rozłożeni po drugiej stronie zasypanego Ashtona, a ponieważ Olivia siedziała od naszej strony, nie widzieliśmy, na co pokazują.

Gdy napotkałam spojrzenie kobiety, uśmiechnęłam się, ale moja serdeczność spotkała się z wyjątkowo zimną reakcją i jeszcze jednym skinieniem ręki: nakazała swojemu małemu synkowi, żeby się odsunął.

Miałam już właśnie skomentować jej brak kultury, gdy Mike poderwał się nagle z głośnym: „Co do...!”, i podbiegł do miejsca, gdzie Olivia zasypywała Ashtona.

Mike całkiem rozsądnie ulokował ich kilka metrów od naszych koców. Choć w takich okolicznościach przyrody piasek w kanapkach to typowe zjawisko, to jednak jego ilość powinna być ograniczona.

Mike wcale się nie uśmiechał, a ja się wkrótce przekonałam dlaczego. Olivia usunęła się i od razu stało się jasne, co tak oburzyło naszą sąsiadkę. Dziewczynka nie tylko usypała Ashtonowi „kołdrę”, ale dorobiła jeszcze duży biust do kompletu z brodawkami, a także olbrzymi penis. Wieża sterczała pionowo w górę - prawdziwy cud inżynierii - a biorąc pod uwagę jej lokalizację, nie ulegało wątpliwości, co przedstawia.

Mike błyskawicznie usunął wszystkie trzy dodatki. Zaraz po lunchu zebraliśmy się z plaży.

Nazajutrz świętowaliśmy podwójne urodziny. Zasadniczo byłam przeciwniczką łączenia uroczystości dla dzieci, ale ponieważ następnego dnia mieliśmy wracać do ponurej rzeczywistości, chciałam, aby oboje mogli uczcić swoje święto jeszcze na wakacjach, by choć po jednych urodzinach pozostały im dobre wspomnienia.

Po krótkiej rozmowie kierownik kempingu pozwolił nam urządzić w świetlicy małe przyjęcie: z tortami i balonikami. Słusznie zasugerował, żeby zaprosić innych rodziców z dziećmi. Dzięki temu urodziny zmieniają się w prawdziwe święto.

Tak też zrobiliśmy. Spędziliśmy przemiłe popołudnie. Była muzyka, były tańce, gry i zabawy. Wszyscy odśpiewali także podwójnie „Sto lat”. Przywieźliśmy ze sobą prezenty dla Olivii: nowy wózek dla lalek i zestaw ubranek dla ukochanej Polly, natomiast Ashtonowi wyjaśniliśmy, że jego główny prezent czeka na niego w domu. Jak tylko usłyszał, że to rower i że już jutro się na nim przejedzie, w jego oczach pojawił się błysk. Był tak uszczęśliwiony i oszołomiony jednocześnie, że ze wzruszenia chciało mi się płakać. Nagle jednak spochmumiał i spytał mnie szeptem, czy po przyjęciu możemy iść we dwoje nakarmić kaczki.

Od razu się domyśliłam, że chodzi o coś jeszcze, i z mieszanymi uczuciami pakowałam chleb do woreczka. Bardzo się cieszyłam, że Ashton czuje się ze mną na tyle związany, by wyjawić mi jakąś tajemnicę, ale jednocześnie bałam się tego, co może powiedzieć.

Zostawiliśmy Mike'a z Olivią i wybraliśmy się nad staw: ładne miejsce, a przy tym świetny pomysł. Które dziecko nie lubi karmić kaczek?

Po drodze - niezbyt dłużej - Ashton milczał, a ja zastanawiałam się, o czym myśli. Pewnie o rozprawie. Może jako starszy brat chciał najpierw sam poznać werdykt i oszczędzić swojej siostrze przykrości.

Ale to, co zamierzał mi powiedzieć, nie miało nic wspólnego z rozprawą. Tak strasznie mu współczułam. Teraz wyglądał na znacznie starszego niż na swoje dziesięć lat.

- Ashton, kochanie - zaczęłam, gdy usiedliśmy na ławeczce i czekaliśmy, aż podpłyną kaczki. - Coś cię martwi?

Pokiwał głową.

- Casey... czy możemy zostać z wami na zawsze?

Zbił mnie z tropu. W ogóle się tego nie spodziewałam.

Wręcz przeciwnie. Oboje, ale Ashton w szczególności, zawsze stanowczo podkreślali, że pragną wrócić do domu.

Musiałam dobrze się zastanowić nad odpowiedzią. Ciężka sprawa, nie mogłam przecież go okłamywać.

- Strasznie mi przykro, kochanie. To niemożliwe. Bo widzisz, jesteśmy z Mikiem tylko tymczasowymi opiekunami. Dzieci zostają u nas na krótko.

Odwrócił się i spojrzał mi w oczy. Najwyraźniej przetrawiał usłyszane informacje, bo miał zmarszczone czoło i nieodgadniony wyraz twarzy. Uświadomiłam sobie, że to zawsze jest trudne. Ten aspekt naszej pracy stanowił dla mnie prawdziwe wyzwanie: dajesz dzieciakom serce, a one wierzą w twoją miłość. Ale i tak musicie się rozstać. Bo na tym polega nasze zadanie: pomóc dzieciom, znaleźć im dom, przyjąć kolejne. Ashton zupełnie

jednak mnie zaskoczył swoją odpowiedzią. A właściwie to nie była nawet odpowiedź.

- Casey - odezwał się wreszcie. - Mój dziadek mnie dotyka. - Spuścił na chwilę wzrok. - Tam na dole. Tam, gdzie mówiłaś, że nie wolno. - Zaczął płakać. - Nie lubię tego. Nienawidzę! - Przytuliłam go do siebie. - Casey? - ciągnął. Wyraźnie bardzo chciał to z siebie wyrzucić. - On mi jeszcze każe seksić moje kuzynki.

Wzięłam głęboki wdech, żeby się uspokoić. Teraz koniecznie musiałam się zachować odpowiednio.

- Mówiłeś komuś o tym?

- Raz - przyznał. - Cioci. Moja młodsza kuzynka nie lubi, jak ją sekszę. Jest jeszcze mała. Jak Olivia.

Zrobiło mi się tak niedobrze, że omal nie zwymiotowałam. Gnój. Pieprzony gnój. Przytuliłam Ashtona mocniej.

- Kochanie, możesz mi wszystko powiedzieć. Absolutnie wszystko. Ale... - To ważne. Musiał mieć co do tego jasność. Choć ciężko mi było to z siebie wydusić, bo wiedziałam, że chłopiec zwierza mi się z czegoś, czego pewnie nigdy nikomu nie mówił, to jednak musiałam się upewnić, że zrozumie to, co miałam mu właśnie zakomunikować. Odetchnęłam głęboko. To też okropnie trudne. Właściwie jeszcze trudniejsze. - Wiesz, że potem powiadomię o tym Annę, prawda? - zaczęłam powoli. - Bo to ona nam pomaga zrobić tak, żeby wszystko się dobrze skończyło.

Odkoczył ode mnie tak gwałtownie, jakby coś go użądliło.

- Nie! - krzyknął zapalczywie. - Nie, nie! Tylko nie Annę! To ździra! Ci z opieki wszyscy tacy są! - Zrobił zaciętą minę. - Nic już nie powiem!

No i po sprawie. Nastrój prysł. Ashton nie chciał już rozmawiać i na pewno żałował, że w ogóle mi zaufał. Zrobiło mi się jeszcze bardziej niedobrze. Cóż, teraz po prostu wrócimy do Mike'a i innych dzieci. Serce mi się krajało na myśl o tym, co przeżywa ten chłopak, a mimo to co mogłam, do cholery, na to poradzić? Czułam się bezradna. Do diabła z tymi wszystkimi pieprzonymi zasadami, których trzeba przestrzegać!

Rozdział 11

Atmosfera podczas podróży powrotnej była bardzo napięta. Olivia co prawda nic nie zauważyła - gadała jak najęta, pokazywała mijane zwierzęta i opowiadała, w jakie kształty układają się chmury - ale my z Mikiem aż za dobrze zdawaliśmy sobie sprawę z ponurego i milczącego nastroju biednego Ashtona. I własnej bezsilności. Olivia próbowała wciągać brata w różne zabawy, ale on albo udawał, że śpi, albo po prostu ją ignorował. Widać było, że cierpi, ale nie potrafiliśmy mu w żaden sposób pomóc. A przynajmniej do czasu, dopóki nie wyrazi na to zgody. Nie wiedziałam tylko, jak poprawić mu humor.

Wyjechaliśmy wcześniej, żeby potem mieć jeszcze czas nakarmić, wykąpać i przygotować dzieci do szkoły. Wcale nie cieszyłam się na myśl o poniedziałku. W porównaniu ze słonecznymi wakacjami w Walii (zarówno dosłownie, jak i pod kątem emocjonalnym), rzeczywistość wydawała się tym bardziej ponura.

Dojechaliśmy pod wieczór, a że dzieci posnęły w samochodzie, Mike zaniósł śpiącą Olivię do domu, a ja delikatnie potrząsnęłam Ashtona za ramię.

- Zostaw mnie! - warknął. - Sam pójdę!

Był wściekły, tylko właściwie na kogo? Na mnie za to, że napomknęłam o Annie? Na siebie, że mi zaufał? Naprawdę mnie martwiło, że tego żałował. Nie wiedziałam, co się teraz dzieje w jego głowie, ale co do jednego nie miałam wątpliwości: istniało duże ryzyko, że stracimy więź z takim trudem budowaną przez ostatnie tygodnie. Ten sam chłopiec, który pytał, czy może zostać z nami na zawsze, teraz nie mógł ścierpieć naszej obecności.

Gdy Mike zaczął szykować kąpiel, odsłuchiłam automatyczną sekretarkę. Anna oczywiście się nagrała, więc szybko zamknęłam drzwi, bo bałam się, czy czegoś nie chłapnie.

Dobrze zrobiłam.

„Cześć, Casey - mówi Anna. Właśnie wyszłam z sądu i na pewno ucieszy cię wiadomość, że wygraliśmy. Dzieci już nigdy nie wrócą do domu. W poniedziałek opowiem ci wszystko dokładnie. Jedenasta pasuje? Jeśli nie, to wyślij mi esemes i umówimy się inaczej”.

Odłożyłam słuchawkę. Kiedy przekazać dzieciom tę wiadomość? Na pewno nie dziś. Chyba że któreś spyta o to wprost. Wtedy nie będę kłamać. Ale lepiej poczekać do jutra. Może Anna mi doradzi, jaką strategię najlepiej obrać.

Miałam już właśnie zająć się torbami i stertą prania, gdy usłyszałam wołanie Mike'a:

- Kochanie, możesz podejść na momencik?

Olivia siedziała w jadalni nad kolorowanką. Zostawiłam ją samą i poszłam na górę.

Mike uprzątał łazienkę.

- Chodzi o Ashtona. - Skinął w kierunku drzwi do jego pokoju. - Nie chce jeść kolacji.

Mówi, że idzie spać.

Faktycznie, zastałam go w łóżku, przebranego w piżamę, przy zgaszonym świetle. Byłam prawie pewna, że tylko udaje, że śpi. Drzemał po drodze, więc na pewno tak szybko nie zrobił się senny. Przysiadłam na łóżku i potrząsnęłam go lekko za ramię.

- Kochanie. Wszystko w porządku? Nie jadłeś jeszcze kolacji. Troszkę za wcześnie na spanie, nie sądzisz?

- Idź sobie - odburknął. - Boli mnie głowa i nie chcę jeść.

- Źle się czujesz? - Odruchowo chciałam położyć mu rękę na czole, żeby sprawdzić, czy nie ma gorączki.

Odsunął się ostentacyjnie.

- Idź sobie! - krzyknął. - Nie jesteś moją mamusią! Idź sobie!

Walczył ze łzami, a mnie było go tak strasznie żal. Pragnęłam go tylko mocno przytulić. Tak bardzo cierpiał, że chciałam mu jakoś pomóc, jakoś ulżyć w bólu. Ale wiedziałam, że nie wolno mi tego zrobić. Pogładziłam go więc przez kołdrę i zesłam na dół. Po chwili wróciłam i postawiłam mu przy łóżku kanapkę i szklankę mleka. Nic więcej nie mogłam dla niego zrobić. Przynajmniej dziś.

Rano Ashton wydawał się jednak pogodny. To powinno mnie uspokoić, ale był zbyt pogodny. Przekomarzał się z siostrą i pałaszował śniadanie z takim apetytem, jakby zupełnie nic go nie martwiło. Wyczuwałam, że ta jego radość jest sztuczna. Nie za dobrze. Miałam wystarczająco duże doświadczenie, by wiedzieć, że w ten sposób Ashton buduje wokół siebie mur obronny, ale na tyle niestabilny, że z łatwością może runąć. Albo, co gorsza, rozrosnąć się na tyle, że w ogóle nikt się przez niego nie przebije. Właśnie tak było z Justinem, naszym pierwszym podopiecznym. Ashton potrzebował pomocy, żeby poradzić sobie z wyrządzoną mu krzywdą, ale jak mieliśmy mu pomóc, skoro nam na to nie pozwalał? Posłałam go do szkoły z równym niepokojem w sercu jak w chwili, gdy się przede mną otworzył.

W ramach antidotum (czy też z powodu odwrócenia swojej uwagi lub odrobiny normalności, a może wszystkich tych trzech rzeczy naraz) po odwiezieniu dzieci do szkoły pojechałam prosto do Riley. Była w piątym miesiącu ciąży i zaczęła się już ładnie zaokrąglać, więc na kilka dni przed wyjazdem do Walii zrobiłam przegląd swoich ubrań w poszukiwaniu jakichś luźniejszych koszulek, które mogłabym jej dać.

Odebrała je ode mnie z lekko kpiącą miną. Bawiła ją moja radość z faktu, że nosimy ciuchy w tym samym rozmiarze.

- No wiesz co, mam! - powiedziała ze śmiechem, przeglądając zawartość torby. - Te rzeczy pasują na mnie tylko dlatego, że mam wielki brzuchol!

- Bezczelna! - parsknęłam z udawanym oburzeniem. - Poza tym nie bądź taka cwana, bo jeszcze jedno dziecko i zaczniesz mnie doganiać!

Cudownie wrócić do normalności i sobie pożartować z własną córką. I cudownie móc przytulić się do wnuczka. Pod moją nieobecność zdążył nauczyć się nowej sztuczki i bardzo chciał mi ją pokazać: podciągnął Riley koszulkę i pocałował ją w brzuch, mówiąc przy tym: „Dzisiaj w ślotku! Dzisiaj!”. Wzięłam go na ręce i od razu poczułam na sobie lepkie paluszki i deszcz mokrych buziaków, ale zamiast roześmiać się jak zwykle, w oczach zaszkliły mi się łzy.

- Co się stało, mam? - spytała z niepokojem Riley.

- Nie przejmuj się mną - odparłam i otarłam z irytacją oczy. - Jestem tylko trochę zestresowana tą rozprawą i w ogóle. Wczoraj się dowiedziałam, że wygrali.

- Ale kto? Rodzina? - przeraziła się Riley.

Pokręciłam głową.

- Nie, opieka społeczna. Muszę oczywiście powiedzieć dzieciakom - westchnęłam. - Że już nie wrócą do domu. Nigdy. - Odstawiłam wierzgającego Leviego na ziemię i otarłam jeszcze załzawione oczy. - Wiem, że dobrze się stało, ale czemu życie jest tak cholernie niesprawiedliwe? Czemu wszystkie dzieci nie mogą być szczęśliwe?

- Oj, mamus, ależ z ciebie wrażliwiec. - Riley przytuliła mnie. - Poradzą sobie. Na pewno. Dzieciaki zawsze sobie radzą. Poza tym pamiętaj, że to dla nich szansa. Trafiają do nowych rodzin, a tam znajdą miłość. Tylko to się liczy. Nie zapominaj o tym.

Miała oczywiście rację. Po prostu kontrast między Riley i Levim a moją dwójką był porażający. A do tego doszedł jeszcze stres nagromadzony w ciągu ostatnich dni i tygodni. Wzięłam się w garść i z przyjemnością zjadłam kanapkę z bekonem, popijając ją kawą. Potem pojechałam do domu, żeby przed przyjazdem Anny nastawić pranie.

Właśnie zdołałam uporać się z obowiązkami i chciałam wyciągnąć swoje zapiski, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Zerknęłam na zegarek. Dopiero za dwadzieścia jedenasta. Ktoś tu się najwyraźniej niecierpliwi, stwierdziłam w duchu i poszłam otworzyć. Ale za drzwiami nie stała Anna tylko John Fulshaw.

- O? - zdziwiłam się.

- Przyłapałem cię! - rzucił wesoło. - I nie rób takiej miny. Pomyślałem, że wpadnę bez zapowiedzi, żeby poznać całą prawdę. Że zobaczę twój dom w chwili, gdy się mnie nie spodziewasz!

John jak zawsze od razu poprawił mi humor.

- Widać, że wcale mnie aż tak dobrze nie znasz - parsknęłam. - Wolałabym dostać pokrzywki, niż odpuścić sobie sprzątanie choć na jeden dzień. Ale co do jednego się zgadzam. Nie spodziewałam się ciebie. Sądziłam, że to Anna...

- Wiem. Dlatego jestem. Nie masz nic przeciwko?

- Jasne, że nie. - Poprowadziłam go do kuchni.

- To dobrze. Pomyślałem, że dzięki temu nie będziesz mi musiała później składać sprawozdania. Poza tym chętnie od razu się dowiem, co zamierza nasza ukochana opieka społeczna. Tak czy siak, kawka? Człowiek prędzej umrze w tym domu z pragnienia, niż doczeka się czegoś do picia!

Znów się roześmiałam. Oboje wiedzieliśmy, że jest dokładnie na odwrót. Ale gdy zaparzyłam kawę, nastrój się zmienił. Siłą rzeczy. Bo skoro John już przyszedł, to postanowiłam opowiedzieć mu pokrótce o tym, co wyjawiał mi biedny Ashton.

Gdy skończyłam, John pokręcił głową.

- Nie możemy tego tak zostawić.

Pokiwałam głową.

- To chyba jasne! Dzieci zasadniczo nie wymyślają takich historii, prawda?

- No pewnie, że nie. Choć z tego, co słyszę, możemy mieć mały problem. Jeśli Ashton nie zechce znów mówić, to jesteśmy w kropce.

Stara śpiewka. Dokładnie tak samo było z Olivią. Nic dziwnego, że pedofilom tak często uchodzi na sucho.

- Miejmy w takim razie nadzieję, że zechce - powiedziałam, zerkając na zegarek. Była jedenasta. - Że uda nam się sprawić, by poczuł się wystarczająco bezpiecznie i wszystko z siebie wyrzucił.

Nie starczyło jednak czasu na dalsze dywagacje, bo znów rozległ się dzwonek do drzwi i wkrótce potem siedzieliśmy już przy stole we troje i rozpoczynaliśmy spotkanie.

Usłyszeliśmy to, czego i tak się spodziewaliśmy. Zgodnie ze szczegółową opinią biegłego psychiatry rodzice Ashtona i Olivii nie byli zdolni sprostać wymaganiom codziennego życia, a co za tym idzie opiece nad piątką niesamodzielnymi dziećmi. Prawa rodzicielskie zostały oficjalnie przekazane władzom samorządowym, które miały zatroszczyć się o przyszłość maluchów. Ale to jeszcze nie koniec. Następną wiadomość trochę nas zszokowała. Sąd postanowił rozdzielić rodzeństwo. Ashton trafiłby do jednej rodziny, a Olivia do drugiej. Obie specjalizowały się w opiece zastępczej, ale pod innym kątem niż my. Urzędnicy mieli postarać się znaleźć długoterminowe rodziny zastępcze, które zajmują się

tym i tylko tym i które przeszły dodatkowe szkolenie. Sąd uznał, że przy tak dużym stopniu zaniedbania i pokrzywdzenia, dzieci potrzebują intensywnej opieki, by poradzić sobie z traumą i móc prawidłowo się rozwijać.

- Ale czemu chcą ich rozdzielić? - spytałam Annę. - Oni tego nie przeżyją.

- Po pierwsze ze względów logistycznych. Pojedynczo łatwiej znaleźć dla nich dom. Nie cierpimy na nadmiar rodzin gotowych wziąć do siebie dwójkę tak trudnych dzieciaków. Po drugie Ashton ma naszym zdaniem zbyt duży wpływ na młodszą siostrę. Wskazują na to twoje obserwacje. Olivia za bardzo kieruje się tym, co on robi i mówi. Uważamy, że znacznie szybciej upora się ze swoimi problemami emocjonalnymi i zaadaptuje w nowym miejscu, jeśli ją odseparujemy od brata.

- A co z młodszą trójką? - wtrącił się John. - I z kontaktami między całą piątką?

- Bez obaw, oczywiście pozostaną w kontakcie. Nie jestem jeszcze pewna, jak to zostanie rozwiązane od strony praktycznej, ale będziemy organizować im spotkania przynajmniej dwa razy w roku. Na początek.

Dwa razy w roku?! Powiedziała to tak, jakby chodziło jej o spotkania dwa razy w tygodniu! Nie wierzyłam własnym uszom. To wszystko było strasznie przygnębiające. Ale znów odezwał się John.

- Wytypowano już potencjalnych kandydatów na rodziców zastępczych?

Pokręciła głową.

- Jeszcze nie, ale mam dobrą wiadomość: moja kierowniczka zapowiedziała, że dołoży teraz wszelkich starań, żeby jak najszybciej coś dla nich znaleźć.

John spochmurniał.

- Nie, Anno. To nie jest dobra wiadomość. Szczerze mówiąc, czuję się oszukany. Bo twoje słowa sugerują, że do tej pory szefowa nie robiła nic w tym kierunku, a nie to nam powiedziano na samym początku. - Spojrzał na nią ostro. - Nie mam zwyczaju składać swoim współpracownikom obietnic, których nie mogę dotrzymać. Zapewniłem Casey i Mike'a, że dzieci trafią do nich na dwa, maksymalnie trzy tygodnie. Minęły już prawie cztery miesiące. I co teraz?

Anna zaczerwieniła się, a mnie zrobiło się jej trochę żal. Ale jednocześnie świetnie rozumiałam, dlaczego John się wścieka. Nigdy nie widziałam go tak wzburzonego, a przecież wiedziałam, że powodem jest wyłącznie troska o moją rodzinę. Anna chciała jakoś wytłumaczyć intencje swojej przełożonej.

- Wiem, jak to wygląda - powiedziała. - Ale naprawdę się staraliśmy. Gdyby wcześniej udało nam się znaleźć jakąś alternatywną opcję, to oczywiście byśmy z niej

skorzystali. Mamy też świadomość, że Mike i Casey zwykle nie podejmują się tego rodzaju opieki...

- Właśnie! - nastroszył się John. - Nie mogą się dłużej zajmować tą dwójką, bo nie po to zostali specjalistycznie przeszkoleni, żeby...

-... i naprawdę zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby znaleźć dzieciom dom.

John wstał nagle od stołu z krótkim:

- Komuś jeszcze kawy?

Pozwoliłam mu zająć się przygotowywaniem dolewki, a Anna tymczasem z niejaką determinacją podjęła temat tego, co jeszcze zostało ustalone w sądzie. To szybko odwróciło moją uwagę od wcześniejszej szermierki słownej, bo usłyszałam naprawdę przerażające wieści.

Wyglądało na to, że dziadzio sypiał nie tylko z matką Ashtona i Olivii, czyli z własną córką, ale też z wieloma innymi młodymi dziewczętami. Dokumentacja aż roiała się od podobnych zarzutów, w większości popartych dość solidnymi dowodami. Brakowało jedynie wzmianek opodjęciu jakichkolwiek działań ze strony policji, co mną do głębi wstrząsnęło.

Ale to jeszcze nie koniec. Zszokowała mnie też informacja, że kobieta, którą dzieci nazywały babcią, w rzeczywistości była córką sąsiada! Po śmierci pierwszej żony ich dziadek związał się z nią i sprowadził ją do siebie do domu - ponieważ dziewczyna skończyła szesnaście lat, jej rodzice nie mogli nic z tym zrobić. Z tego związku - nie było pewności, czy wzięli ślub - urodziła się jeszcze trójka dzieci. Wolałam się nawet nie zastanawiać, co to właściwie oznacza. Sprawa wyglądała dramatycznie. Potomstwo tego potwora było przegrane na starcie.

Gdy wieczorem relacjonowałam wszystko Mike'owi, wciąż jeszcze nie pozbierałam się po tym, co usłyszałam. Nie zostałam z dziećmi na dole, bo stchórzyłam. Same o nic nie pytały, więc postanowiłam poczekać do jutra. Chciałam w pełni nad sobą panować, gdy będę im przekazywać wiadomości, żebym mogła służyć im wsparciem, a w tej chwili nie czułam się wystarczająco spokojna.

- Tak sobie myślę - powiedziałam Mike'owi, kładąc się obok niego do łóżka - że nie powinniśmy naciskać. To nie jest dobry moment.

- Nie rozumiem. O czym mówisz?

- Lepiej nie domagać się, żeby jak najszybciej znaleźli im domy. Nie chcę, żeby trafili byle gdzie. Musimy mieć pewność, że będzie im dobrze.

- Nigdy nie będzie im dobrze - skwitował ze smutkiem Mike. - Jak może być dobrze po tym, co się wydarzyło?

- No tak - przyznałam. - Ale przynajmniej na tyle dobrze, na ile się da. - Odwróciłam się do niego. - Umowa stoi? Te dzieciaki naprawdę nas potrzebują.

Pokiwał głową.

- Ale skoro wszystko wyszło na jaw, skoro wiemy to, co wiemy, jest nadzieja, że najgorsze już za nimi.

Może i racja. Powinniśmy patrzeć w przyszłość, a nie w przeszłość. Od jutra rozpoczniemy mozolne odbudowywanie ich życia. Przejdziemy z nimi żałobę po mamie. To konieczne. W pewnym sensie jednak rzeczywiście najgorsze mieli już chyba za sobą.

Ale nie ja. Mnie wciąż czekało najtrudniejsze zadanie. Musiałam ich jutro poinformować, że nigdy nie wrócą do domu.

Powoli zaczynałam przyzwyczajać się do bezsenności.

Rozdział 12

Tej nocy często się budziłam i podczas jednej z takich przerw stwierdziłam, że najlepiej przekazać rodzeństwu tę wiadomość wieczorem po kolacji, gdy Mike i Kieron będą w domu. Moim zdaniem to ważne, by poczuli wsparcie całej naszej rodziny. Wolałam też, żeby dowiedziały się tego, gdy działanie ritalinu zacznie słabnąć, aby mogły w pełni przyswoić znaczenie moich słów.

Byłam pewna, że Olivia bardzo się przejmie. Nie tylko rozstaniem z mamą, ale też z ukochanym dziadkiem, bo bez dwóch zdań to o nim mówiła najczęściej. Nie potrafiłam jednak przewidzieć reakcji Ashtona. Z jednej strony miał silny instynkt opiekuńczy względem matki, ale z drugiej... to on z pełnym spokojem spytał mnie, czy może z nami zostać na zawsze. Naprawdę chciałam wiedzieć, co się dzieje w jego głowie. Podobnie jak w przypadku naszego pierwszego podopiecznego Justina, który trafił do nas mniej więcej w tym samym wieku, zdawałam sobie sprawę, że Ashton zobaczył, wycierpiał i znosił zbyt wiele. Bałam się, że jego rany nigdy się nie zbliznią.

Na kolację zjedliśmy pizzę, a po jedzeniu Kieron zaproponował grę w monopol. Złoty chłopak, pomyślałam, wyciągając pudełko z szafki. Miał niesamowite wyczucie i zawsze potrafił znaleźć rozwiązanie. Serdeczna, rodzinna atmosfera najlepiej nadawała się do tego, by przedstawić złe wieści, które bardzo mi już ciążyły.

Kupiliśmy kiedyś specjalną edycję monopolu: z postaciami z bajek zamiast pionków i planszą w formie wesołego miasteczka. Dzieci ją uwielbiały, a ja się z tego cieszyłam, bo mogły w ten sposób poćwiczyć swoją słabiutką matematykę, na czym bardzo mi zależało. Graliśmy zaledwie piętnaście minut, gdy musieliśmy przerwać, bo czekająca na swoją kolej, usadowiona między mną i Mikiem Olivia nagle wypaliła:

- Casey? Kiedy pojedziemy do mamusi?

Niemrawo spojrzałam na Mike'a i Kierona. Nie wiedziałam, od czego zacząć. Ashton nie spuszczał mnie z oka.

- Hm, no cóż... Chcieliśmy dziś z wami o tym porozmawiać. Myślałam, że najpierw skończymy grać, ale...

- Powiedz nam wreszcie - przerwał mi Ashton. - Wiemy, że była rozprawa.

Mike odchrząknął.

- Zgadza się, Ashton. Wiecie co, zróbmy sobie dziesięciminutową przerwę, okej? I wtedy porozmawiamy.

Mike wstał z podłogi - graliśmy w kręgu na dywanie, tak jak lubiły dzieci - wziął Olivię na ręce i usadził ją na kanapie.

- Chodź do nas, chłopie - zawołał Ashą. - Usiądź z siostrą. O tak.

Ja zostałam z Kieronem na klęczkach, żeby podczas rozmowy znajdować się na tej samej wysokości co oni. Zaszło mi w gardle.

- Kochani, nie mam dla was niestety dobrych wieści. Sędzia postanowił, że musicie zostać w rodzinach zastępczych. Wszyscy. Wasze młodsze rodzeństwo też. Co oznacza... - urwałam i spojrzałam na Ashtona, który wpatrywał się we mnie pustym wzrokiem. - Co oznacza, że nie będziecie już mogli mieszkać z mamusią.

- Jak to? Ale nigdy? - wyjąkała Olivia.

Przytaknęłam.

- Przynajmniej dopóki nie skończycie osiemnastu lat - wyjaśniłam. - Dopóki nie będziecie dorośli.

Leciutko skinęła głową.

- A możemy zamieszkać z dziadziem?

- Nie, kotku, obawiam się, że to niemożliwe. Chodzi o to, że - mój Boże, ależ to trudne - że nie będziecie mogli widywać się ze swoją rodziną. Przez dość długi czas. - Choć to ja mówiłam te słowa, nie wierzyłam, że faktycznie wydobywają się z moich ust. Jak można komuś wyjaśnić coś takiego? A przede wszystkim: jak się zachować, gdy ktoś ci mówi coś takiego? W pokoju zapadła grobowa cisza. Czemu żadne z nich nie reaguje? Ścisnęłam rączkę Olivii. - Wiem, że to bardzo przykre i na pewno jest wam strasznie smutno. Ale tak powiedział pan sędzia. Mamusia i tatuś nie są w stanie się wami dobrze zająć.

Widziałam, że przetrawiają to, co właśnie usłyszeli. Nagle Ashton zrobił coś, co totalnie mnie zaskoczyło. Uśmiechnął się. A potem wzruszył ramionami.

- No to trudno. W takim razie zostaniemy z wami - oznajmił. Odwrócił się do siostry. - Chodź, Livs. - Wrócił na dywan. - Wygrywam i chcę wreszcie skończyć.

Olivia, jak ten skowroneczek, zeskoczyła posłusznie i dołączyła do brata.

- Moja kolej! - krzyknęła i wzięła od Mike'a kostki.

Dokończyliśmy grę.

Jeśli zdziwił mnie brak reakcji ze strony dzieci, to dalsza część tygodnia tylko to zdziwienie pogłębiła. Byłam przygotowana na wszystko, ale nie na to. Spodziewałam się złości, łez, oskarżeń, pretensji - bo odkąd do nas trafili, zawsze zażarcie bronili swojej rodziny. I gdyby Ashton sam mi nie opowiedział, że molestował go własny dziadek, można by spokojnie pomyśleć, że nie widzieli w swoim tragicznym dzieciństwie nic nienormalnego.

W głowie mi się to nie mieściło. Nie miało to dla mnie najmniejszego sensu, a pod koniec tygodnia sytuacja niewiele się zmieniła. Martwiło mnie też oczywiście to, że Ashton najwyraźniej nie przyjął do wiadomości, że nie mogą z nami zostać na stałe. Ale pewnie to też mechanizm radzenia sobie ze stresem. Bo teraz z nami mieszkali, prawda? I może to wystarczyło, żeby sytuacja w domu była normalna. Może wystarczyło, że nikt nie wspominał o innym rozwiązaniu.

Oczywiście w naszym domu nie było całkiem normalnie - tutaj normy sprowadzały się ostatnio do ciągłej walki o to, żeby dzieci nie zostawiały kupy w najdziwniejszych miejscach, żeby nie bały się prysznic, żeby brały lekarstwa na ADHD i powstrzymywały się od nagannych zachowań seksualnych - ale w kontekście naszej normalności, ten tydzień nie różnił się od innych. Właściwie w porównaniu z minionymi wydawał się wręcz dobry. Dzieci robiły postępy w tak wielu dziedzinach, że odnosiłam wrażenie, jakby całkowicie wymazały z pamięci fakt, że kiedyś miały inną rodzinę. Nigdy nie widziałam czegoś równie dziwnego. Mogłam więc tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać na dalszy rozwój wypadków. W którymś momencie ta sytuacja musiała się przecież zmienić.

Ifaktycznie się zmieniła. W następny poniedziałek zadzwoniła Anna. Najwyraźniej postawiła sobie za cel nieustannie burzyć mój spokój.

- Casey - zaczęła bez żadnych wstępów. - Przejdę od razu do rzeczy. Rozmawiałam z Johnem Fulshawem iz policją o tym, co niedawno powiedział ci Ashton.

Oho, pomyślałam. Robimy postępy.

- To dobrze - powiedziałam. - Zastanawiałam się właśnie, co zostało zrobione w tej sprawie.

- Właściwie całkiem sporo. Potrzebna nam twoja pomoc. Proszę, przejrzyj jeszcze raz swoje zapiski i przygotuj dla nas raport dotyczący kwestii seksualnych. Chodzi o to, żebyś uwzględniła wszystko, co miało związek z seksem, odkąd dzieci do was trafiły. W tym naturalnie ostatnie wyznanie Ashtona, ale pozostałe rzeczy też. Macanie, sformułowania, które dziwnie brzmiały w ich ustach, i tak dalej.

- W porządku. A potem komu to przesłać?

- Mnie i Johnowi. Im szybciej, tym lepiej. W czwartek, jeśli taki termin ci pasuje, chciałabym zjawić się z policjantką, która przesłucha dzieciaki.

- Z policjantką? Wiesz, że to je przerazi na śmierć?

- Spokojnie, będzie po cywilnemu. Aha. I chce rozmawiać z każdym z nich osobno. Muszę cię też uprzedzić, że choć możesz być obecna podczas rozmowy, to nie wolno ci się odzywać. Niestety, będziesz tylko siedzieć i słuchać. Nawet jeśli zrobi się mało przyjemnie...

- Rozumiem - przerwałam jej, odrobinę poirytowana tymi pouczeniami. - Ale na twoim miejscu nie liczyłabym na wiele. Szczerze wątpię, żeby zechcieli się zwierzać. A nawet jestem prawie pewna, że nie zechcą.

- Możliwe - zgodziła się. - Ale przynajmniej ktoś się zainteresował. A to już coś. Po prostu się okaże.

- Chyba tak. Aha, jeszcze jedno: uprzedzić dzieci?

- Zostawiam to tobie. Jeśli uważasz, że to pomoże, to tak.

- Wiesz co - myślałam na głos. - Jeśli Ashton będzie wiedział o tej wizycie z wyprzedzeniem, to powie Olivii, co ma mówić. Może lepiej zachowam to w tajemnicy.

Mike przyznał mi rację. Gdy opowiedziałam mu owszystkim wieczorem, stwierdził, że najlepiej trzymać język za zębami. Słusznie zauważył, że Ashton jest dla małej jak ojciec. I nic dziwnego. Chłopiec był najstarszy z rodzeństwa, a ponieważ nikt z dorosłych w ich otoczeniu nie wywiązywał się należycie z tej roli, Olivia naturalnie wzorowała się na nim - i trójka młodszych dzieci zapewne też. A sądząc po tym, co zdążyłam zaobserwować w czasie ich pobytu w naszym domu, przeczuwałam, że Ashton resztą maluchów również się opiekował. Pilnował, żeby brat i siostry mieli co jeść, zajmował się ich problemami, troszczył się o nich i pocieszał, gdy byli smutni albo rozbili sobie kolano. Przygnębiło mnie, że najprawdopodobniej ich straci. Że z ukochanego starszego brata zmieni się w chłopca, który nie ma nikogo. To cholernie niesprawiedliwe. Co oni takiego zrobili, że los tak okrutnie się nimi zabawił? Nic. I to właśnie wkurzało mnie najbardziej.

Ponieważ trwała właśnie przerwa semestralna, cały tydzień był bardzo zabiegany. Jeździłam z dziećmiakami w różne miejsca, do parku czy na basen, zwykle w towarzystwie Riley i Leviego. W czwartek jednak postanowiłam zostać w domu. Nie chciałam, żeby podczas wizyty policjantki dzieci były zbyt pobudzone lub zbyt zmęczone, więc wymyśliłam, że skoro wielkimi krokami nadchodzi Halloween, to upieczemy ciasteczka. Wyciągnęłam potrzebne składniki i duży zapas barwników spożywczych. Miałam ich całe mnóstwo, bo dla naszej ostatniej podopiecznej, Sophie, urządzaliśmy przyjęcie z elementami z musicalu Czarownica i zostały mi barwniki we wszystkich kolorach tęczy.

Zaczęliśmy robić dużą porcję ciastek w kształcie czarownic. Powiedziałam Olivii, że może udekorować je motywami pajaków, nietoperzy i mniejszymi ciasteczkami a la kapelusze.

- Tak się cieszę na Halloween! - zapiszczała radośnie, starannie mieszając składniki na ciasto. - Bo wiesz, Casey, w Halloween od mnóstwa ludzi dostajemy pieniądze, a potem oddajemy je mamusi. - Odwróciła się do mnie. - Ale tym razem możemy dać tobie -

zakończyła wesoło.

Choć jej słowa mnie nie zszokowały, to odmalowana przez nią wizja bardzo mnie zasmuciła. Te dzieci najprawdopodobniej nie chodziły w Halloween po domach dobrowolnie, raczej były wysyłane tam przez zachłannych dorosłych - współczesnych Faginów! - którym później musiały oddawać swój łup. Dorośli się wylegiwali, a one pracowały.

Ale przynajmniej teraz nie musiały już robić takich rzeczy. Znów mogły być dziećmi.

Pieczenie, jak to zwykle bywa przy udziale najmłodszych, zajęło nam znacznie więcej czasu i skończyło się bałaganem znacznie przekraczającym granice mojej tolerancji, zanim więc uporaliśmy się z pieczeniem, sprzątaniami i zmywaniem, zrobiła się prawie trzecia. Za chwilę miała przyjść Anna z policjantką. Ponieważ zamierzały rozmawiać z każdym dzieckiem z osobna, postanowiłam zorganizować poczekalnię przy kuchennym stole. I tak gdy jedno będzie przesłuchiwane w salonie, drugie zajmie się czymś w jadalni.

Kobiety zjawiły się punktualnie i podziękowały za kawę. Widać chciały od razu przejść do rzeczy. Zaczęły od Ashtona, co miało sens, skoro jest starszy i skoro to z jego ust padły zarzuty. Od razu wiedziałam, że to z góry przegrana sprawa. Ashton dał to wyraźnie do zrozumienia całym sobą, gdy tylko ogłędnie wyjaśniłam mu, kto i po co nas odwiedził.

Fagin - postać z powieści Ch. Dickensa Oliver Twist. Herszt dzisiejszej grupy kieszonkowców (przyp. red.).

- Cześć - odezwała się serdecznie policjantka i wyciągnęła dłoń na powitanie. Nie podał jej ręki. - Mam na imię Lizzie i jestem z policji. Ashton, prawda? Wyglądasz bardzo poważnie jak na dziesięciolatka! - Stał i patrzył na nią ze złością. - Przyjechałam z tobą porozmawiać o tym, co mówiłeś Casey. O twoim dziadku i kuzynkach. - Uśmiechnęła się do niego zachęcająco. - Zgodzisz się?

Milczał jak zakłęty i nawet nie usiadł. Przycupnęłam razem z Anną w rogu.

- A więc - ciągnęła Lizzie. - Mógłbyś mi powtórzyć to, co powiedziałeś Casey?

Chłopiec przeniósł swoje wściekłe spojrzenie na mnie.

- Słuchaj, kochanie, może usiądziesz obok Lizzie? - zaproponowałam.

W ogóle mnie nie słuchał. Wymownie skrzyżował ręce na piersi.

Policjantka zmieniła taktykę.

- A wiesz, co to jest seks? - spytała.

Powoli pokręcił głową, patrząc jej prosto w oczy.

- No dobrze - nie dawała za wygraną. - A wiesz, co to znaczy dotykać kogoś tam, gdzie się nie powinno?

Znów powolne zaprzeczenie.

- W porządku, Ashton. A czy ktokolwiek dotykał cię kiedyś w miejscach intymnych? - Otrzymała dokładnie tę samą odpowiedź. Zadała jeszcze parę pytań, dopóki dla wszystkich stało się jasne, że dzieciak nic jej nie powie.

Olivia w pierwszej chwili reagowała dokładnie tak samo. Obca kobieta budziła w niej lęk i mała początkowo zamknęła się w sobie. Ale wkrótce wróciła jej naturalna gadatliwość. Zastanawiałam się, czy nie odzywała się tylko dlatego, że nauczono ją, iż milczenie oznacza kłopoty.

Ale przy odrobinie zachęty przypomniawszy sobie chyba, że to już przeszłość i że w świecie Casey dobrze mówić o różnych rzeczach. Wkrótce wydawała się już szczerze zachwycona rozmową. Tak, wie, co to jest seks. Tak, inni dotykali ją w intymne miejsca. Tak - brzmiały odpowiedzi na wszystkie pytania zadane przez zdumioną policjantkę, a towarzyszył im dziecięcy śmieszek.

- A opowiesz mi o tym? - drążyła Lizzie, słysząc te potwierdzenia.

Olivia pokiwała głową.

- Mogę ci usiąść na kolanach jak Mikołajowi?

- Możesz usiąść obok mnie, jeśli tylko masz ochotę. W ten sposób będę widzieć twoją śliczną buzię.

- Naprawdę jesteś gliną? - spytała Olivia, gdy zmieniła już miejsce. - Nie masz mumdura.

- No, proszę - odparła Lizzie. - Widzę, że nie tylko jesteś śliczna, ale do tego bystra. W takim razie wyjaśnij mi, co dla ciebie oznacza słowo „dotykane”? I kto cię dotykał w intymne miejsca, Olivio?

- Raz tatuś - wykrzyknęła z dumą. - Bolała mnie potem psipsi, no wiesz, moja myszka. Ale nie zrobił tak specjalnie. Przeprosił. Przeprosił, bo to niechcący. Bo mnie kocha najbardziej na świecie - zakończyła radośnie.

- A co takiego zrobił, kochanie, że cię bolało? Jak cię dotykał?

Mała z uśmiechem pogroziła policjantce paluszkami.

- Nu, nu! Niedobra! Nie wiesz, że ściany mają uszy?

- Co to za śmieszne powiedzonko, Olivio? Powiesz mi? Bo nie wiem.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Ashton tak mówi. Mówi, że mamusia i tatuś mówią, że nie możemy opowiadać bajek, bo jak tak, to nas złapią. Bo ściany mają uszy. I doniosą na ciebie.

Lizzie pokręciła głową.

- Ale to nieprawda, skarbie. Ściany nie mogą cię usłyszeć. To zwykłe cegły. A cegły

przecież ze sobą nie rozmawiają, prawda?

Znów wzruszyła ramionami.

- Dobra, to i tak nieważne. Bo już nigdy nie zobaczymy mamusi, no nie? - Urwała i namyślała się chwilę. - Ale dlatego, że jesteś policjantką, nie wypalaj mojemu bratu. Bo mnie zbije!

Lizzie zapewniła, że nie pisnie ani słówka, co wyraźnie uspokoiło małą.

- Mogę już iść? - spytała Olivia, a Lizzie się zgodziła.

Zaprowadziłam ją do brata, a ona natychmiast doskoczyła do stołu i po kilku sekundach była już po łokcie upaprana lepką mazią. Ashton, najwyraźniej wciąż zdenerwowany, w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. Powiedziałam dzieciom, że zaraz do nich przyjdę, i wróciłam do salonu.

- No - zwróciłam się do Anny. - To już coś, prawda? Te odpowiedzi Olivii chyba wystarczą, żeby posunąć sprawę naprzód?

Spojrzenia obu kobiet powiedziały mi, że się mylę.

- Niestety, to nie takie proste - stwierdziła Anna. - Olivia nie wniosła nic nowego. Wszystko jest w dokumentach sprzed dwóch lat. Trafiła wtedy do lekarza z powodu rany między nogami. Ojciec wytłumaczył, że wpadła na róg stolika, a otarcia i siniaki mogły potwierdzać tę wersję. Jeśli więc wysuniemy to jako dowód, ojciec dzieci odwoła się do tamtej sytuacji. To za mało.

- Nawet w kontekście wszystkich innych rzeczy, które mówiła?

- Ale tak naprawdę nie zostało powiedziane nic konkretnego. Nic, co może posłużyć za dowód w sprawie.

Zatkało mnie.

- Co jest w takim razie potrzebne, do cholery? Mają ich przyłapać na gorącym uczynku, czy jak?

- Uwierz, że mnie też to złości - zapewniła Anna. - Mnie też instynkt podpowiada, że to jeszcze nie koniec całej historii. Ale możemy tylko powoli zbierać materiały. Mieć oczy szeroko otwarte i czekać z nadzieją, że pewnego dnia jedno z dzieci ujawni coś, co zdołamy wykorzystać w sądzie, a co najważniejsze: zgodzi się to powtórzyć. Obiecuję, Casey, że któregoś pięknego dnia ta rodzina stanie przed sądem. - Anna zwróciła się do policjantki. - Chyba możemy powiedzieć Casey o najnowszym rozwoju wypadków, prawda?

Lizzie pokiwała głową.

- Jakim rozwoju wypadków? - spytałam.

- Chodzi o ich ojca. Nie mówiłam ci, ale dwa dni przed rozprawą został aresztowany.

W oczekiwaniu na kolejne przesłuchania, łącznie z dotyczącym naszego postępowania sądowego, wyszedł za kaucją. Wygląda na to, że jeszcze jedna kuzynka dowiedziała się o sprawie i o tym, że dzieci najprawdopodobniej nie wrócą do rodziców. Zgłosiła się wtedy na policję i złożyła zarzuty o molestowanie seksualne. Twierdzi, że wykorzystywał ją przez wiele lat, gdy była dzieckiem. Dokładnie tak samo jak tę, o której już słyszałaś...

- Czemu więc nie... - zaczęłam.

- Nie mogliśmy tego wykorzystać, Casey. Jego obrońca zarzuciłby nam pomówienie. Pamiętaj, że wtedy nic mu nie udowodniono. Trzeba mu założyć zupełnie odrębną sprawę.

Jezu. Nic dziwnego, że dzieci zdradzają tyle oznak molestowania. Dziadek, ojciec - niespokrewnieni, ale obaj o identycznych skłonnościach. Kto jeszcze? Jak wielkie pokłady zła kryją się w tej rodzinie?

Rozdział 13

Ashton potrzebował trochę czasu, żeby znów zachowywać się przy nas normalnie. Już dawno straciłam nadzieję, że któregoś dnia zechce wrócić do tego, o czym mówił w Walii. Teraz najbardziej bałam się, że straciliśmy jego ostrożnie dawkowane zaufanie - zwłaszcza po wizycie policjantki. Bardzo chciałam spróbować je odzyskać i naprawić szkody, zanim będzie całkiem za późno.

Robiliśmy z Mikiem co w naszej mocy, żeby odbudować dawną relację z chłopcem, dlatego poświęcaliśmy mu więcej czasu indywidualnie, co powoli zaczęło przynosić efekty. Mike zabrał go ze sobą któregoś dnia do pracy i pozwolił mu przejechać się wózkiem widłowym - to wzbudziło w nim nieklamany zachwyty. Ja natomiast regularnie spędzałam z nim czas sam na sam: zabierałam go na przykład do kina na filmy, które bardzo chciał zobaczyć, i powtarzałam, że skoro jest o tyle starszy od siostry, to możemy częściej robić to, co sprawia mu przyjemność.

Dwie rzeczy nie dawały mi spokoju. Po pierwsze miałam świadomość, jak ważne jest odzyskanie utraconej więzi. Jeśli Ashton straci kontakt z rodzeństwem, relacja z nami nabierze tym większego znaczenia, bo skoro będzie zmuszony przeprowadzić się do nowego domu i znów zamieszkać z obcymi ludźmi (tym razem jednak bez siostry), to musi bezwzględnie wiedzieć, że zawsze może na nas liczyć.

Po drugie wciąż dręczyły mnie wątpliwości, czy rozdzielenie rodzeństwa to na pewno dobry pomysł. Pomijając oczywiste trudności organizacyjne, na pewno byłoby lepiej przynajmniej spróbować pozostawić tę dwójkę razem. Rozumiałam Annę i to, co mówiła o dominacji Ashtona, ale dużo dzieci - zwłaszcza tych pozbawionych należytej, stałej opieki rodziców - jest zapatrzonych w starsze rodzeństwo. Czy naprawdę lepiej pozbawiać Ashtona i Olivię łączącej ich więzi? Nie byłam co do tego przekonana i Mike też nie. Postanowiliśmy jeszcze raz pomówić o tym z Johnem i Anną.

Tymczasem jednak wszystko przedstawiało się trochę bardziej optymistycznie. W miarę jak Ashton zaczął dochodzić do siebie, atmosfera w domu się poprawiła i na początku listopada mieliśmy wrażenie, że przynajmniej z pozoru, nasze relacje z dziećmi trochę się unormowały. W domu zapanowało lekkie ożywienie, bo zaproponowaliśmy, że zabierzemy je na obchody z okazji Bonfire Night i na pokaz sztucznych ogni. Ashton zszokował nas po raz kolejny - wyznał, że w życiu czegoś takiego nie widział. I o ile wydawało mi się niesłychane, że nigdy nie pluskali się w morzu, to ta informacja totalnie mnie wmurowała.

Bonfire Night - obchody upamiętniające nieudany zamach na króla Anglii i Szkocji Jakuba I zorganizowany 5 listopada 1605 roku (przyp. tłum.).

Ale taka była prawda. Wpatrywali tylko z oddali zabłąkanych sztucznych ogni, gapiąc się z uporem przez okno w swoim pokoju. Najwyraźniej nigdy nie zaznali normalnego życia. Naprawdę porażała mnie ta świadomość.

Myślałam więc, że będą zachwyceni, gdy wreszcie zobaczą to widowisko z bliska. Myliłam się. Pokaz został zorganizowany przez miejscowy klub rotariański i spędziliśmy tam zaledwie pół godziny, a już musieliśmy się związać do domu. Olivia była najzwyczajniej w świecie przerażona - zarówno wybuchami sztucznych ogni, jak i ogniskiem. I choć początkowo chciałam wrócić z nią do domu sama, żeby Mike mógł zostać z Ashtonem, to okazało się, że pokaz wcale nie budzi w chłopcu większego entuzjazmu niż w niej, więc koniec końców zabraliśmy się stamtąd' wszyscy razem.

- To przez samochód - wyjaśnił mi Ashton, gdy pokonywaliśmy kilka dzielących nas od domu przecznic. Mike niósł na rękach Olivię wciąż przestraszoną hałasem.

- Wasz? - spytałam.

Pokiwał głową.

- Tak. Podpalili go przed naszym domem. Livs była malutka i bardzo się zlekła, prawda, Livs?

Pisnęła tylko cichutko i wtuliła twarz w szalik Mike'a.

Potem znów podniosła główkę.

- To wina złych ludzi - wymamrotała. - Nie lubili tatusia, no to spalili mu auto!

Chciałam usłyszeć na ten temat trochę więcej, ale wiedziałam, że muszę zagadnąć o to bardzo delikatnie.

- Ojej - powiedziałam. - Ale jak myślicie, czemu zrobili coś takiego?

- Nie wiemy - odparł Ashton. - Ale to na pewno ci sami, co pisali na naszych drzwiach brzydkie rzeczy.

- Jakie brzydkie rzeczy? - wtrącił się Mike.

- Kev to perw.

- To bardzo nieładnie.

- No - przyznał Ashton. - A potem w szkole wszyscy nas wyśmiewali.

- To musiało być przykre. Czy ktoś jakoś zareagował? Przyjechała policja?

Pokręcił głową.

- Nie.

- Zabrali samochód - wyjaśniła Olivia. - Prawda, Ash? Bo się spsuł. Wepchnęli go na

taką ciężarówkę i wywieźli. I potem już nie mieliśmy samochodu.

„Kev to perw”, pomyślałam. Rodzina była najwyraźniej dobrze znana w okolicy. Po raz kolejny nie mogłam uwierzyć, że tak długo udało im się zatrzymać dzieci. I po raz kolejny odniosłam wrażenie, że o tylu rzeczach jeszcze nie wiem. Naprawdę czułam, że to tylko wierzchołek góry lodowej.

Ale przynajmniej dla mojej rodziny ten czas upłynął szczęśliwie. Riley była już w szóstym miesiącu ciąży i niedługo miał do nas dołączyć kolejny wnuk. Niezależnie od przygniatających mnie trosk ta myśl nieodmiennie wywoływała uśmiech na mojej twarzy. Riley i David wiedzieli już, że znów urodzi się chłopiec, i obwieścili, że dadzą mu na imię Jackson. Dzieciaki autentycznie ucieszyła ta nowina, a ich emocje sięgnęły zenitu, gdy moja córka powiedziała im, że chce uczcić drugie urodziny Leviego przyjęciem. A ponieważ w ostatnim czasie zachowywali się bardzo grzecznie, pozwoliła im pełnić zaszczytną funkcję jej oficjalnych asystentów. Mieli pomóc jej ułożyć listę potraw i wymyślić dekoracje. Ashton i Olivia byli cali w skowronkach. Naprawdę nie mogli być bardziej podekscytowani. Poczulałam, że wreszcie wyszliśmy z impasu.

Moje szczęście nie trwało jednak długo. Do urodzin zostały jeszcze dwa dni, był zwykły niedzielny wieczór. Ponieważ dzieciaki wciąż bały się prysznicza, a ich higiena nadal pozostawiała sporo do życzenia, musieliśmy z Mikiem nadzorować ich kąpiele. Wypracowaliśmy już sobie pewien system. Mike asystował Ashtonowi, a ja zajmowałam się Olivią.

Tej jednak niedzieli mój mąż robił generalne czyszczenie samochodu. Zdążył go już umyć i chciał teraz wypolerować karoserię. Wstawił więc auto z powrotem do ciepłego garażu, żeby nie marznąć. Wiedziałam, że raczej szybko nie skończy, więc postanowiłam wykapać dzieciaki sama. Zaczęłam od Ashtona, bo chciał potem pomóc Mikowi, który obiecał mu, że będzie mógł użyć miniaturowego odkurzacza.

Potem przyszła kolej na czekającą cierpliwie Olivię i jej ukochaną lalkę bobasa Polly.

- Chodź, skarbie. - Ściągnęłam jej sweter i buty, a ona rozbierała Polly ze śpioszków. Jak zwykle się śmiała, gdy wsadzałam ją do wanny, ale w wodzie skrzywiła się nagle. - Za gorąca, kotku? - spytałam i zanurzyłam rękę, choć wcześniej już sprawdziłam temperaturę wody i wiedziałam, że jest odpowiednia. Olivia pokręciła głową, ale nie przestała się krzywić. - Masz gdzieś zdartą skórę? Jakąś ranę? - badałam dalej.

Przytaknęła.

- To przez Ashtona.

- Przez Ashtona? - spytałam niepewna, czy dobrze słyszę. - Jak to?

Spojrzała na mnie, odwróciła lalkę i pokazała paluszkami.

- Bo mnie pupił - odparła znużonym głosem.

Potrzebowałam chwili, by dotarły do mnie jej słowa. Ale i tak nie do końca rozumiałam. Na pewno słuch mnie nie myli?

- Pupił cię? - powtórzyłam.

Pokiwała głową.

- Tak. I teraz w wodzie trochę boli.

Uklękłam przy wannie.

- Olivio, możesz mi dokładniej wytłumaczyć, o czym właściwie mówisz? - spytałam łagodnie.

- No wiesz. Położył się na mnie. Tak jak robią dorośli. I teraz boli mnie pupa.

Odmalowany przez nią obraz wydawał się aż nadto prawdopodobny. Na własne oczy widziałam ich w akcji. Tyle że w ubraniu, a nie nago. Ale z tego, co opisywała Olivia... Nie jestem głupia. Wiedziałam, że pozostawieni bez nadzoru obmacują się nawzajem. Ale to - jeśli mała mówiła prawdę - to już zachowanie zupełnie innej rangi. Ashton dorasta. Niedługo skończy jedenaście lat. Wkroczy w okres dojrzewania. A skoro teraz napastuje siostrę... Nie chciałam nawet o tym myśleć. Musiałam natychmiast podjąć zdecydowane kroki.

Podalam Olivii gąbkę i powiedziałam, żeby wykąpała Polly.

- Za moment wrócę - poinformowałam i wstałam z podłogi. - Muszę tylko zamienić dwa słowa z Mikiem. Za chwileczkę będę z powrotem, dobrze?

Zbiegłam do garażu. Ashton siedział za kierownicą i czyścił deskę rozdzielczą.

- Ash? - zagadnęłam. - Możesz przyjść do kuchni, skarbie? Chciałabym z tobą o czymś pomówić.

Poszedł posłusznie do domu. Gdy tylko zniknął, powtórzyłam Mike'owi to, co usłyszałam od Olivii.

- Może skoczyłbyś na górę i pomógł jej myć włosy, a ja w tym czasie pogadam z Ashtonem? Naprawdę muszę to z nim wyjaśnić.

Mike pokręcił głową i wycisnął irchową ściereczkę.

- Mój Boże... - Zmarszczył czoło. - Znów to samo...

Wróciłam do domu i poszłam do kuchni. Jezu. Od czego w ogóle zacząć?

Może to wyobraźnia płata mi figle? Ale jak tylko spojrzałam Ashtonowi w oczy, dostrzegłam w nich poczucie winy. Przynajmniej jeden plus. Jeśli wiedział, o czym chcę z nim rozmawiać, i czuł się z tego powodu winny, to już jakiś krok naprzód. Łatwo mogło umknąć pamięci, że jeszcze kilka miesięcy temu żadne z nich nie miało pojęcia, że wzajemne

dotykanie się z podtekstem seksualnym jest czymś niewłaściwym. Ale oczywiście teraz wcale nie ułatwiało mi to zadania.

Ashton spuścił wzrok, gdy usiadłam obok niego przy kuchennym stole.

- Ash, kochanie - zaczęłam. Postanowiłam przejść od razu do sedna sprawy. - Co zrobiłeś siostrze? Mówi, że ją skrzywdziłeś.

Znów na mnie popatrzył.

- Nic jej nie zrobiłem - sprzeciwił się cicho. - Nic a nic. Ona kłamie.

Starłam się nie podnosić głosu.

- Olivia jest jeszcze mała. Czemu miałyby zmyślać takie rzeczy?

- Nie wiem. Ale kłamie. Nic jej nie zrobiłem.

- Ashton - ciągnęłam. - Powiedz mi prawdę. Trzeba zabrać Olivię do lekarza, żeby obejrzał jej pupę, bo tam ją boli. I będziemy musieli wyjaśnić mu, co się stało. Olivia twierdzi, że to przez ciebie. - Spojrzałam mu w oczy. - Bo bawiłeś się z nią w seks. Czy to prawda?

- To nie był seks. - Pokręcił głową. - To nie był seks. Kłamie, że to seks. Nic jej nie zrobiłem!

Zakrył twarz dłońmi i nie chciał nic więcej mówić.

Wiedziałam, że nie ma sensu go przymuszać. Takie odcinanie się, zamykanie w sobie wyglądało na zachowanie nabyte. Czyżby nauczono ich, że jeśli będą udawać, że coś nie istnieje, to problem zniknie? No cóż, nie tym razem. Nie ma takiej możliwości. Nie mogłam tego zostawić. Bez względu na to, jak bardzo przygnębiała mnie ta perspektywa i jak negatywnie odbije się to na naszej świeżo odbudowanej relacji. Bo gdybym to zostawiła, jawnie zaniedbałabym swoje obowiązki.

Usłyszałam, że Mike schodzi z Olivią, więc kazałam Ashtonowi zaczekać w salonie, a sama poszłam zadzwonić. Wyraźnie dałam mu do zrozumienia, że nie podoba mi się jego zachowanie.

- Może więc jednak się zastanowisz i powiesz mi prawdę, Ashton? - dodałam cicho, wyprowadzając go z kuchni.

Znów na mnie popatrzył.

- Nic jej nie zrobiłem - sprzeciwił się cicho. - Nic a nic. Ona kłamie.

Starłam się nie podnosić głosu.

- Olivia jest jeszcze mała. Czemu miałyby zmyślać takie rzeczy?

- Nie wiem. Ale kłamie. Nic jej nie zrobiłem.

- Ashton - ciągnęłam. - Powiedz mi prawdę. Trzeba zabrać Olivię do lekarza, żeby

obejrzał jej pupę, bo tam ją boli. I będziemy musieli wyjaśnić mu, co się stało. Olivia twierdzi, że to przez ciebie. - Spojrzałam mu w oczy. - Bo bawiłeś się z nią w seks. Czy to prawda?

- To nie był seks. - Pokręcił głową. - To nie był seks. Kłamie, że to seks. Nic jej nie zrobiłem!

Zakrył twarz dłońmi i nie chciał nic więcej mówić.

Wiedziałam, że nie ma sensu go przymuszać. Takie odcinanie się, zamykanie w sobie wyglądało na zachowanie nabyte. Czyżby nauczono ich, że jeśli będą udawać, że coś nie istnieje, to problem zniknie? No cóż, nie tym razem. Nie ma takiej możliwości. Nie mogłam tego zostawić. Bez względu na to, jak bardzo przygnębiała mnie ta perspektywa i jak negatywnie odbije się to na naszej świeżo odbudowanej relacji. Bo gdybym to zostawiła, jawnie zaniedbałabym swoje obowiązki.

Usłyszałam, że Mike schodzi z Olivią, więc kazałam Ashtonowi poczekać w salonie, a sama poszłam zadzwonić. Wyraźnie dałam mu do zrozumienia, że nie podoba mi się jego zachowanie.

- Może więc jednak się zastanowisz i powiesz mi prawdę, Ashton? - dodałam cicho, wyprowadzając go z kuchni.

Poszedł ze spuszczoną głową do salonu. Jeśli rozumiał konsekwencje swojego zachowania, to w żaden sposób tego nie okazał.

Po rozmowie z Ashtonem wykręciłam numer do ZSR, czyli Zespołu Szybkiego Reagowania - grupy pracowników socjalnych, do których należy zgłosić się w pierwszej kolejności, jeśli jednemu z naszych podopiecznych stało się coś „po godzinach” pracy ośrodków socjalnych. Mieli oczywiście za zadanie podpowiedzieć, co robić, ale też dopilnować, aby wszystkie zdarzenia zostały zarejestrowane.

W tym przypadku dyżurna pracownica doradziła, żeby natychmiast zadzwonić do szpitala. Kazała połączyć się z pediatrą i wyjaśnić, że Olivia jest moją podopieczną, a także opowiedzieć o tym, co się stało i jakie są moje podejrzenia. Wszystko po to, by wymusić szybką reakcję.

Byłam pozytywnie zaskoczona, bo w szpitalu rzeczywiście zareagowano błyskawicznie. Po chwili rozmawiałam już z dyżurnym pediatrą. Kazał nam bezzwłocznie przywieźć Olivię. Cieszyłam się, że Mike jedzie z nami, bo byłam pewna, że badanie przerazi małą dużo bardziej niż samo zajście z Ashtonem (do „zainteresowania” brata już pewnie przywykła).

Na szczęście do akcji wkroczyła Riley i po chwili zjawiała się u nas. Godzinę później

siedzieliśmy już więc w jasno oświetlonej izbie przyjęć, gdzie pediatra badał zestresowaną Olivie.

Tak jak przewidywałam, była przerażona. Ja zresztą też, gdy starałam się ją przytrzymać, żeby lekarz mógł ją dokładnie obejrzeć. Strasznie się wrywała.

- Nie! - łkała. - Zabierz go, Casey! On jest zły! Błagam! Nie chcę, żeby dotykał mojej pupy! Zostawcie mnie!

Na szczęście pediatra stwierdził, że nie zachodzi potrzeba badania wewnętrznego.

- Nie widzę żadnych oznak typowej penetracji - zapewnił. - Podejrzewam, że doszło jedynie do symulacji i stąd siniaki i ból. Ale moim zdaniem nic poza tym. Mówicie państwo, że jej brat ma dziesięć lat?

Przebijając się przez wrzaski Olivii, potwierdziliśmy, że niedawno obchodził urodziny, na co lekarz stwierdził, że to by się zgadzało z jego oceną: praktycznie niemożliwe, żeby chłopiec w tym wieku był w stanie zrobić coś więcej.

- Choć oczywiście w razie potrzeby służę dalszą pomocą ośrodkowi opieki społecznej - zakończył. - Brawo, malutka - zwrócił się życzliwie do roztrzęsionej Olivii. - Proszę... - Sięgnął do plastikowego pojemniczka stojącego na półce. - Oto nalepka dla superdzielnej pacjentki!

Było już dość późno, gdy wreszcie wyszliśmy ze szpitala: ciemno i okropnie zimno. Po raz kolejny pomyślałam, że Olivia, która wciąż jeszcze trzymała się mnie kurczowo, roztrzęsiona i zapłakana, bardziej traumatycznie przeżyła wizytę u lekarza niż „pupienie” przez Ashtona. Może bolało ją to, co jej zrobił brat, ale niestety uznała to za coś normalnego, natomiast bez względu na otrzymaną naklejkę macanie i dotykane przez groźnego mężczyznę w białym kitlu totalnie ją przerażało.

W drodze do domu wstąpiliśmy do McDonalda, żeby na pocieszenie kupić jej lody. Skuleni we trójkę wokół małego stoliczka, musieliśmy przedstawiać przykry widok. Dwoje wyraźnie spiętych opiekunów i brzdąc w piżamie, co prawda odrobinę już rozchmurzony. Ale tak czy siak, znów przypominało to tylko zaklejanie wielkiej, otwartej rany plasterkiem. Czy odważymy się teraz spuścić kiedykolwiek te dzieciaki z oka?

Nie. To straszne. Naprawdę straszne. I żadnego światełka w tunelu.

Rozdział 14

Nie miałam pojęcia, co zrobić z Ashtonem. Bo teraz na serio naprawdę nas znienawidził. Jakżeby mogło być inaczej? Nieważne, jak często byśmy mu tłumaczyli, że źle postąpił - dopóki sam tego nie zrozumie, będzie nas stawiać w roli potworów, którzy chcą zmienić jego życie w jeszcze większe piekło.

Ciągle mi się przypominało, co mówił o swoim dziadku: że ten go dotykał i kazał mu obmacywać młodsze kuzynki. Chyba nie powinno mnie dziwić, że Ashton tak się zachowywał wobec Olivii. Może nie powinno, ale jego postępowanie dobitnie wskazywało na jedno: na stopień wynaturzenia przez tego rodzaju doświadczenia życiowe. Ashton, to oczywiście, sam padł ofiarą molestowania seksualnego, a przy tym całkowicie go nie wzruszało, że dokładnie to samo usiłował zrobić swojej młodszej siostrze. Właśnie dlatego wykorzystywanie seksualne najmłodszych sięje takie spustoszenie. Bo jeszcze zanim zdążą zyskać świadomość seksualną, uznają takie zachowania za równie „normalne” co korzystanie ze sztuców. A przecież Ashton skończył dopiero dziesięć lat! I gdy jego młodsze rodzeństwo miało jeszcze dużą szansę wyjść na prostą, to w jego przypadku czas szybko uciekał: pora już, by przeprogramować jego zwichrowaną psychikę.

Następnego dnia po wizycie w szpitalu w ogóle się do mnie nie odzywał. A kiedy ja coś do niego mówiłam, krzywił się tylko albo w ogóle mnie ignorował. Wyraźnie widziałam, że nie uda mi się go szybko udobruchać. Z Olivią natomiast wydawało się, że wszystko w porządku. Następnego dnia rano ewidentnie uporała się już z traumą po wizycie w szpitalu i wrócił jej zwykły radosny nastrój. Ale poza obolałą pupą, czemu właściwie miałyby się czymkolwiek przejmować? Przygnębiało mnie coraz silniejsze przekonanie, że tego rodzaju zdarzenia - w najróżniejszych wariantach - towarzyszyły jej najprawdopodobniej przez większą część krótkiego smutnego życia.

Porażająca świadomość. Nie tylko zresztą dla mnie: dla Kieronu też. Opowiedziałam mu o całej historii, a jego mina mówiła sama za siebie. Uznałam jednak, że powinien wiedzieć. Dzień, w którym zacznę ukrywać coś przed bliskimi, stanie się dniem, w którym będę zmuszona zakończyć rolę opiekunki. Tak jak przewidywałam, Kieronem nieźle tapnęło. Ale z drugiej strony całkiem słusznie. Tak wyglądała nasza codzienność. Nie było sensu osładzać gorzkiej prawdy o podopiecznych, a jeśli mój syn poważnie myślał o pracy z trudną młodzieżą, to musiał się na nią zdecydować z pełną świadomością tego, co się z tym wiąże.

- Wiesz co, mamó - powiedział. - Nie daje mi to spokoju. Jak on mógł?

Właśnie wrócił od Lauren, u której został na noc - ostatnio zostawał u niej coraz

częściej - i chciał się dowiedzieć, jak zakończyła się sprawa.

- No tak. - Pokiwałam ze smutkiem głową.

- I co teraz?

- Jeszcze nie wiem. Muszę porozmawiać z Johnem i Anną.

- Ale sytuacja nie wygląda najlepiej, co?

- Zgadza się, kochanie, nie wygląda najlepiej. Trzeba po prostu ustalić, co dalej robić.

Ale z pomocą Johna na pewno coś wymyślimy.

Moje słowa chyba go nie przekonały. Miałam nadzieję, że rzeczywistość okaże się mniej cyniczna niż jego podejście. I że sprawa dzieciaków zakończy się optymistycznym akcentem, a Kieron będzie mógł być tego świadkiem, zwłaszcza po traumatycznej opiece nad Sophie. Bardzo to przeżywał. Aż do teraz. Choć Sophie robiła postępy w zakładzie psychiatrycznym dla nastolatków, gdzie obecnie przebywała, najprawdopodobniej nigdy nie doczeka się życia w szczęśliwej rodzinie.

Kieron poszedł się przebrać, a ja zrobić kawę. Zadziałałam odruchowo: kawa to dla mnie lekarstwo na wszystko. Inni w trudnych chwilach wlewają w siebie słodką herbatę, ja aplikuję sobie kawę.

A do tego najlepiej jeszcze papierosa. Tak więc mimo pioruńskiego zimna, wyszłam i z kubkiem, i z fajkami do ogrodu. Zawsze paliłam w oranżerii - bo tylko tam pozwalała mi na to reszta rodziny - ale przestałam to robić od czasu, gdy pojawiły się maluchy. Czułam, że nie powinnam. A że zima zagościła u nas na dobre, to trzęsąc się z zimna, pomyślałam, że może w końcu warto dotrzymać danej Mike'owi obietnicy i rzucić palenie, gdy na dworze zrobi się już naprawdę chłodno.

Dziś jednak temperatura nie była jeszcze zbyt niska. A przynajmniej tak sobie wmawiałam. Wypalę tylko papieroska i pójdę zadzwonić do Johna.

Ale uprzedziła mnie Anna. Gdy weszłam do domu, telefon już dzwonił.

- Właśnie odebrałam twojego maila - powiedziała. - I widziałam raport ZSR. Jak się miewasz? Jak teraz wygląda sytuacja?

- No cóż. Ashton się do nas nie odzywa. Jest wściekły. Natomiast z Olivią w porządku. Jakby zdążyła o wszystkim zapomnieć.

- A czy w szpitalu mówili, że chcą przekazać sprawę gdzieś dalej?

- Nie. Chyba tylko powiadomią opiekę społeczną. - Kolejny raport w kolejnej teczce, która zniknie w jakiejś szufladzie.

- Czyli nie zawiadomią policji?

- Z tego, co wiem, nie. A powinni?

- Tylko jeśli ich zdaniem doszło do molestowania. Ale z tego, co napisałaś, wygląda na to, że uznali to za głupią zabawę.

- Cholera, mam nadzieję, że nie! - przestraszyłam się. Jak można tak szybko przejść nad tym do porządku dziennego? Moim zdaniem do pełnej penetracji nie doszło wyłącznie dlatego, że ze względu na wiek Ashtona, było to fizycznie niemożliwe. Ale to niedługo się zmieni. Przecież liczyła się intencja.

- Słuchaj - powiedziałam. - Wiem, że do niczego nie doszło, ale mogło dojść. Z całą pewnością taki miał zamiar. Potrzebna mu pomoc, Anno. Psychologiczna... żeby powstrzymać ten negatywny proces, zanim...

- Wiem - przerwała mi. - To straszne. Naprawdę straszne. Musimy wyposażyć cię w więcej strategii działania, Casey. W pewnym sensie zostałam z tym wszystkim sama i powinniśmy bardziej cię wspierać. Rozmawiałam dziś rano z Johnem i jeśli nie masz nic przeciwko, chcielibyśmy wpaść do ciebie w najbliższą środę i spróbować wspólnie znaleźć jakieś rozwiązanie.

Znów gadanie, pomyślałam poirytowana, ale przystałam na jej ustalenia. Trzeba działać, do cholery, a nie gadać!

Później gdy rozmawiałam z Johnem, miałam wrażenie, że czyta mi w myślach. Postawił pracownikom socjalnym ultimatum. Zapowiedział, że jeśli nie zorganizują dzieciom specjalistycznej pomocy, to będą musieli natychmiast znaleźć im inny dom. Tyle że mnie przecież w ogóle nie o to chodziło. Rozumiałam, że starał się pomóc, ale wcale nie zamierzałam oddawać dzieciaków. Chciałam doprowadzić sprawę do końca. Upewnić się, że kiedy już opuszczą nasz dom, to trafią gdzieś na stałe. Że nie dojdzie do kolejnych rozsad. Że nie będą przerzucane z miejsca na miejsce, tylko zostaną u kogoś na dobre. Owszem, to oznaczało dalszy bałagan w naszym życiu, ale - jak często sobie powtarzałam - przecież na to właśnie się z Mikiem zdecydowaliśmy.

Z Mikiem, ale nie z Kieronem, co uświadomiliśmy sobie wyraźnie dwa dni później. Był piątkowy wieczór, mój syn zaprosił do nas Lauren, a kiedy dzieciaki poszły spać i mieliśmy zasiąść przed telewizorem, oboje poprosili nas o rozmowę.

Moja pierwsza myśl była oczywista - co chyba nie powinno nikogo dziwić. Mimowolnie spojrzałam na brzuch Lauren i pomyślałam: oo, chyba wiem, co zaraz usłyszę. Na usprawiedliwienie swojej reakcji muszę powiedzieć, że Riley i David niemal dokładnie w ten sposób poinformowali nas o Levim.

Kieron zauważył panikę w moich oczach, bo od razu się roześmiał.

- Nie, mamo, to nie to! - parsknął. - No co ty! Lauren nie jest w ciąży! - Zobaczyłam,

że Mike też się uśmiecha. - Jezu! - ciągnął Kieron. - Chyba oszalałaś! Jesteśmy na to zdecydowanie za młodzi i za mało odpowiedzialni!

Lauren zrobiła się czerwona jak burak.

- Casey! - oburzyła się. - Zostało mi jeszcze trochę rozumu!

- Przecież nic nie mówię! - odcięłam się. - Ani nawet nie myślę! - W duchu podziękowałam Bogu. Choć uwielbiam dzieci, martwiłabym się, gdyby Lauren zaszła teraz w ciążę. Kieron wystarczająco mocno wszystkim się przejmował. Nie był jeszcze na to gotowy. Nawet w najmniejszym stopniu. Każdy zdawał sobie z tego sprawę.

- No dobra. - Spowaźniał. - Zastanawiamy się z Lauren... właściwie już od jakiegoś czasu... Chodzi o to, że jej rodzice mają wielki dom. O wiele za duży na ich dwoje. I zaproponowali, że odstąpią nam całą górę. Jest tam nieduża kuchnia i łazienka i będziemy musieli im płacić tylko mały... - urwał, bo zobaczył moją minę.

- Ale dlaczego? Dlaczego chcesz się wyprowadzić? - spytał Mike. Ale zaraz się poprawił. - Przepraszam. Powinienem ująć to inaczej. Wiem, że wy... - uśmiechnął się do nich. - Wiem, że jesteście dla siebie bardzo ważni. Ale czemu akurat teraz? Chyba nie ze względu na sytuację w naszym domu?

Cieszyłam się, że wyraża na głos to, co sama chciałam powiedzieć. W głowie kłębiły mi się najróżniejsze myśli.

- No co ty, tato. - odparł Kieron. - Po prostu tak będzie rozsądnie. Mam dwadzieścia lat. Najwyższy czas się usamodzielnić. A mama Lauren mówi, że połowę tego, co będziemy jej płacić, odłoży na konto oszczędnościowe. W ten sposób, gdy poczujemy się gotowi, żeby zamieszkać sami, będziemy już mieli trochę uzbieranych pieniędzy.

To sensowny pomysł.

- Ale Kieron - odezwałam się. - Na pewno nie robisz tego z powodu dzieci? Bo jeśli tak, to naprawdę nie musisz. Po pierwsze nie zostaną u nas długo, a poza tym...

- Casey, naprawdę nie o to chodzi - przerwała mi stanowczo Lauren. - Od dawna już się nad tym zastanawialiśmy.

- Chcemy to zrobić, mamo - dodał łagodnie Kieron. - I tak zwykle zostaję u nich na noc. Wręcz wypada, żebym zaczął dokładać się do czynszu - uśmiechnął się do mnie. - Naprawdę byś chciała, żebym stał się jednym z tych, co nigdy się nie usamodzielniają i do końca życia mieszkają z rodzicami?

Choć było mi smutno, musiałam się z nimi zgodzić. To brzmiało rozsądnie. W ten sposób Kieron mógł doświadczyć niezależności i mieć przy tym poczucie bezpieczeństwa. Przynajmniej nie będę się martwić, że trafi do jakiejś podłej nory, zbyt dumny, by poprosić o

pomoc.

- Skoro obojgu wam na tym zależy, to niech tak będzie. Znasz nasz adres... - Nie dokończyłam.

Kieron wiedział, co chcę powiedzieć. Wiedział, że życie jest dla niego większym wyzwaniem niż dla innych. Nie trzeba mu tego tłumaczyć. To było dobre posunięcie. Dzieci zawsze kiedyś wyfruwają z gniazda i należy się z tym pogodzić. Przykleiłam uśmiech do twarzy.

Nie było mi jednak łatwo. W weekend Kieron, Mike i tata Lauren urządzili przeprowadzkę. Cierpiałam. Wysprzątałam pokój Kierona - stwierdziłam, że bezczynność by mnie pogrążyła - a potem przeniosłam tam rzeczy Ashtona, aby do minimum ograniczyć czas, gdy sypialnia będzie stała pusta i porzucona. Dawny pokój Ashtona mógł znów posłużyć za składzik. Lepiej tak, niż żebym musiała oglądać puste kąty po swoim synu.

- Spodoba ci się tutaj - rzuciłam do Ashtona wesoło, gdy przenieśliśmy resztę jego płyt i zabawek. - Tu jest dużo więcej miejsca. I spójrz! Z okna widać park!

W końcu zobaczyłam w jego oczach iskierkę zainteresowania. Nadal unikał kontaktu ze mną, ale powoli się łamał.

- Casey, a będzie mi wolno mieć w pokoju odtwarzacz CD? Żebym mógł słuchać muzyki?

- Oczywiście, kochanie - odparłam. - Świetny pomysł. Wiesz co? Jadę później do sklepu, to ci kupię. Zafunduję ci jeszcze kilka nowych płyt. Czego ty tam słuchasz? Tego śmiesznego rapu? Chcesz coś w tym stylu?

Widok miny, którą zrobił na te słowa, był bezcenny, a poprawił mi humor tym bardziej, że ten grymas przypominał mi Kierona sprzed lat.

- Jezu, Casey, ty w ogóle się nie znasz na muzyce! To nie rap, tylko hip-hop. Mamusia też to lubiła. - Uśmiechnął się szeroko i chyba szczerze, co tym bardziej mnie ucieszyło. To pierwszy jego uśmiech od wielu dni.

W miarę upływu czasu dostrzegałam coraz więcej plusów wyprowadzki Kierona. Taka zmiana była dla niego dobra - wreszcie zaczęło to do mnie docierać. Moje życie też stanie się dzięki temu mniej stresujące, bo przestanę przejmować się tym, że mój wrażliwy syn dzień w dzień musi konfrontować się z dwojgiem pokrzywdzonych dzieci.

To było zadanie dla nas. Zaplanowaliśmy na kolację curry z kurczaka i smażony ryż. Kochany Mike zaoferował się zająć gotowaniem, ale że w kuchni łatwo się irtował, posłam za głosem rozsądku i postanowiłam mu nie pomagać. Tak więc gdy wróciłam ze sklepu - z odtwarzaczem CD i nową kolorówką dla Olivii - darowałam sobie przyjemność wcielenia

się w rolę pomocnika kuchennego i zdecydowałam zamiast tego wykąpać Olivię. Mike zresztą i tak już kończył i obiecał Ashtonowi, że jak tylko wsadzi curry do piekarnika, zagra z nim na Playstation. Ashton to uwielbiał.

- Pamiętaj o Polly. Ją też trzeba umyć - przypomniała mi Olivia, gdy poszłam z nią do pokoju pomóc jej się rozebrać. - Dzieci strasznie się brudzą, jak latają cały dzień po dworze.

Uśmiechnęłam się, słysząc jej słodką paplaninę - była naprawdę przeuroczym dzieckiem - i przyznałam, że Polly faktycznie przyda się kąpiel. Ulubiona lalka małej (na szczęście nie ta stara i zeszmacona, choć nosiła to samo imię) stała się niemal członkiem rodziny. Wszędzie nam towarzyszyła, musiała dostawać buziaka na dobranoc, a nawet miała swoje miejsce przy stole, jeśli w czasie posiłku znajdowała się akurat na dole.

- Dobrze, kochanie - zgodziłam się, bo nigdzie się nam nie spieszyło. - To ty wykąp Polly, a ja w tym czasie zmienię ci pościel i za chwilę przyjdę umyć ci włosy, co?

Uśmiechnęła się zadowolona, gdy wsadziłam ją do wanny i podałam jej gołą lalkę.

Zostawiłam ją na dziesięć minut, zmieniłam pościel i wróciłam do łazienki. Pierwsza rzecz, jaka rzuciła mi się w oczy, to mokre ślady stóp na podłodze. Najwyraźniej Olivia wyszła na chwilę z wanny. Siedziała już z powrotem w kąpeli, ale miała na rękach jednorazowe rękawiczki, które wyciągnęła z opakowania farby do włosów. Pudełko stało otwarte na zlewie. Stąd ślady. Zamurowało mnie na widok tego, co mała robi. Zbyt tym pochłonięta, żeby mnie zauważyć, zaglądała z uwagą lalce między nogi i dźgała ją tam paluszkiem.

Podeszłam do wanny i zagadnęłam ją o to. Aż podskoczyła i ze strachu wypuściła lalkę z rąk.

- Ooch, ale mnie przestraszyłaś, Casey! - zawołała i teatralnie przyłożyła rękę do serca.

- Przepraszam, skarbie. Nie chciałam. Po co ci te rękawiczki? - spytałam lekko, gdy wyciągnęła lalkę z wody. - Co robisz z Polly?

- Robię jej tylko badanie wenęczne - odparła już spokojnie. - Nie przejmuj się - dodała pogodnie. - Jej to nie boli.

- Badanie wewnętrzne? A co to takiego, kotku?

Uśmiechnęła się kpiąco, a ja pomyślałam nagle, że chyba niepotrzebnie się martwiłam swoim zobojętnieniem. Bo na jej słowa zrobiło mi się niedobrze.

- Oj, Casey, Casey. - Pokręciła głową. - To ty nie wiesz? Mogą ci tam utknąć różne rzeczy. No w twojej psipsi. Dlatego wszystkim małym dziewczynkom trzeba robić badanie wenęczne.

Rozdział 15

Następnego dnia rano zadzwoniłam do Anny. Czułam się całkowicie bezradna. Nie wiedziałam nawet, co powiedzieć Olivii, a co dopiero, jakie podjąć kroki. Mogłam zrobić jedynie to co zwykle: wszystko zapisać i przekazać dalej. W odpowiedzi usłyszałam starą śpiewkę.

- Miej na nią oko - doradziła mi Anna. - I oczywiście notuj takie zdarzenia.

Nie bardzo mi to pomogło.

- Ale wiesz co? Może wpadłabym do was i urządziła jej małą lekcję anatomii przy użyciu lalek? - zaproponowała. - Niewykluczone, że w ten sposób się dowiemy, skąd czerpie swoją wiedzę.

Uświadomiłam sobie, że Anna kieruje się raczej chęcią zebrania kolejnych dowodów w sprawie niż zrozumieniem, jak pilnie te dzieci potrzebują pomocy.

- Z tym akurat chyba poradzę sobie sama - odparłam cierpko. - Nie musisz się fatygować.

Milczała chwilę, po czym powiedziała coś dziwnego.

- Słuchaj, Casey... - Ciekawe, czy wyczuła w moim głosie poirytowanie? - Jeśli to zaczyna cię trochę przerastać, to może udałoby się oddać dzieciaki komuś na parę dni. Chciałabyś?

Czy bym chciała? Grzecznie odmówiłam. Nie, naprawdę nie tego bym chciała.

Ale słowa Anny przynajmniej mnie natchnęły. W ciągu kolejnych dni pogrzebałam trochę w Internecie, żeby poszukać jakichś materiałów na temat edukacji seksualnej i dowiedzieć się, jakie zagadnienia można poruszać z dziećmi w zależności od ich wieku. Olivia wydawała się jeszcze za mała, żeby mówić o czymś bardziej konkretnie. Ale z drugiej strony żadne z nich nie było zwykłym dzieckiem, a na dodatek mieli już styczność z seksem, więc towarzyszyło mi silne przekonanie, że muszę im jakoś pomóc. Nie mogłam siedzieć z założonymi rękami i przyglądać się spokojnie, jak Olivia na przykład „bada” lalkę; przyglądać się, zapisywać i raportować. Ktoś musi się zająć tymi dziećmi - obojgiem - i to jak najszybciej. Patrząc na takie rzeczy i nie tłumaczyć dzieciakom, że robią coś złego, znaczyło w zasadzie zakorzeniać w nich takie zachowanie. Brak interwencji przy kolejnych podobnych zdarzeniach przybliżał ich do miejsca bez odwrotu, do miejsca, w którym powstaną nieodwracalne szkody. Każdy przecież słyszał znane - i jakże prawdziwe - stwierdzenie, że krzywdzone dzieci same później krzywdzą.

Moje poszukiwania dały jednak coś pozytywnego. Ostatnio wypadłam trochę z obiegu w kwestii poszczególnych etapów rozwoju dzieci, więc zaskoczyła mnie informacja, że w takim wieku Olivia powinna już wiedzieć co nieco o prokreacji, rozpoznawać i nazywać poszczególne części ludzkiego ciała oraz umieć mówić o uczuciach i relacjach międzyludzkich. To wystarczyło za zachętę. Sama zorganizuję jej lekcję anatomii.

Nie mam pojęcia, co by ktoś sobie pomyślał, gdyby tydzień później zobaczył mnie i Olivię w kuchni z dwoma nowymi, choć tymczasowymi członkami naszej rodziny: panem i panią Pierniczek. Zakupiłam te ludki w supermarkecie i własnoręcznie wyposażylam za pomocą białego lukru w strategiczne elementy.

Ale choć Olivia chichotała - postanowiłam nie włączać Ashtona w naszą pogadankę i pozwoliłam mu pograć w sąsiednim pokoju na Playstation - to ja podchodziłam do naszej lekcji ze śmiertelną powagą.

- Casey, ale ty jesteś niegrzeczna! - parsknęła, gdy posadziłam ją przy stole i powiedziałam, o czym porozmawiamy. - No i patrz! Ten ma cycki i pisiorka! Nie można mieć i cyków, i pisiorka, Casey!

Ledwie otworzyłam usta, ale sama się poprawiła.

- A właściwie chyba można, co? Panowie mają cycki, ale malutkie. Tylko panie mają mleko. Tak, Casey?

Pokiwałam głową.

- Zgadza się, Olivio - potwierdziłam. - Tylko kobiety mają mleko w piersiach. A wiesz dlaczego?

Zrobiła mądrą minkę.

- Nie jestem głupia! Mają je, żeby karmić dzidzusię, no przecież! - Mówiąc to, wzięła pana Pierniczka i z szelmowskim uśmiechem odgryzła mu głowę.

Zaczynałam odnosić wrażenie, że to wszystko mija się z celem.

- Moja mamusia ma duże cycki! - obwieściła z pełnymi ustami. - Duże, stare cycki. Jak piłki do nogi! - wyjaśniła i uzupełniła to wymownym gestem. - Dziadzio zawsze tak mówił - dodała.

Panu Pierniczkowi została już tylko połowa ciała.

To naprawdę mijało się z celem. Może jednak faktycznie powinnam zostawić to Annie.

- Chodź. - Wzięłam ze stołu panią Pierniczek i odgryzłam jej rękę. - Pomożesz mi przy kolacji? Będzie makaron z klopsikami. Przychodzą do nas Kieron z Lauren.

- Taaak! - zawołała podekscytowana i uśmiechnęła się promiennie, patrząc na mnie

roziskrzonym wzrokiem. Wyglądała tak niewinnie, jakby w życiu nie słyszała nic niewłaściwego o psipsi, pisiorkach i tego typu rzeczach. Okrutnym zrzędzeniem losu było jednak inaczej.

Wyprowadzka Kierona okazała się wcale nie taka straszna, bo niemal codziennie do nas wpadał. Prawdę mówiąc, często się zjawiał i jak zwykle już od progu wołał: „Jeeeeść! Co na kolację, mamuś?”. Przygotowałyśmy więc z Olivią mnóstwo klopsików i całe szczęście, bo Riley z Davidem też nas odwiedzili. A ja nie posiadałam się z radości, że mogę zebrać ich wszystkich razem. I to nie tylko ze względu na siebie samą, ale także ze względu na maluchy. Głównym tematem rozmowy były zbliżające się urodziny Leviego.

Nie mogłam uwierzyć, że mój pierwszy wnuk niedługo skończy dwa latka. Wydawało mi się, że nie dalej jak wczoraj patrzyłam, jak przychodzi na świat. Ale od jego narodzin wiele się zdarzyło. Nie przesadzę, jak powiem, że nasze życie radykalnie się od tego czasu zmieniło. Ale wyłącznie na lepsze, choć bywało trudno. Stresu nie brakowało, ale ogólnie czułam się szczęśliwa i spełniona.

Izdecydowanie w nastroju do zabawy. Zgodnie z tradycją rodziny Watsonów przyjęcie urodzinowe Leviego nie miało być kameralne. Riley wynajęła już salę w pobliskim hoteliku. Lokal służył w okolicy z organizacji rewelacyjnych przyjęć okolicznościowych, do których wybierało się dowolny motyw przewodni.

Riley nie chciała wyjawiać, co wybrała dla Leviego, ale stało się to jasne z chwilą, gdy przybyliśmy na miejsce w następną sobotę. Ledwie zajechaliśmy, dość szaleńczo powitała nas obsługa hotelowa przebrana za Teletubisie. Połowa parkingu została wydzielona ogrodzeniem i ustawiono tam gigantyczny dmuchany zamek, a na nim transparent z napisem: „Hiphip, hura! Levi kończy latka dwa!”.

- Fantastycznie, kochanie! - Rozejrzałam się wokół siebie.

Do bocznych drzwi hoteliku prowadził drewniany mostek udekorowany balonami i stokrotkami z kartonu. Nawet ziemia była przystrojona: wielkimi czerwonymi izółtymi plackami, które miały zapewne imitować galaretkę i budyń - ulubione łakocie Teletubisiów.

- Zaczekaj, aż wejdziecie do środka - powiedziała podekscytowana Riley. - Serio, mamuś, to tutaj to jeszcze nic!

Ale Ashton i Olivia, podobnie jak reszta małych gości, nie widzieli nic poza nadmuchiwany zamkiem, więc mimo listopadowego zimna z przyjemnością zostałam na dworze, żeby trochę popilnować brzdąców. Co prawda nie musiałam specjalnie się wysilać. Pracownicy hotelu, wszyscy w przebraniach, doskonale zabawiali kolegów i koleżanki Leviego z placu zabaw i gromadkę jego kuzynów uzupełnioną o moją dwójkę. Organizowali

im mnóstwo gier i śmiesznych tańców.

Ale w końcu pogoda przegoniła nas do środka i mimo że kilka maluchów kurczowo chwyciło się niskiego płotka wokół zamku, uwagę większości dzieciarni szybko zwróciły atrakcje czekające w ciepłym wnętrzu głównej sali. Tu również postarano się, żeby Levi mógł być dumny ze swoich urodzin. Sceneria łądząco przypominała tę z bajki, łącznie z papierowymi stokrotkami i pozostałymi postaciami z Teletubisiów. Gwoździem programu był natomiast ustawiony na końcu sali najprawdziwszy automat do produkcji galaretki i budyniu, dokładnie taki sam jak w bajce.

Ashton i Olivia zaniemówili ze zdumienia i rozglądali się po sali z rozdziawionymi ustami i oczami wielkości spodków.

- O raju! - szepnęła Olivia z podziwem. - Patrz na to! Gdzie Levi? Chcę mu pokazać te śliczne kwiatki. On uwielbia kwiatki!

Wzruszona pokazałam jej, gdzie jest mój wnuczek.

- Na pewno się ucieszy - stwierdziłam. - No to idź to niego. Ale pamiętaj, nie bierz go na ręce, dobrze?

Musiałam uważać na Leviego, gdy w pobliżu kręciła się Olivia, bo jako druga pod względem starszeństwa wśród piątki rodzeństwa bez zastanowienia brała na ręce mniejsze dzieci. Pewnie w swoim życiu musiała nosić i niańczyć maluchy. Przytaknęła posłusznie głową i pobiegła do Riley. Uznałam, że córka na pewno jej przypilnuje.

Odróciłam się do Ashtona. Był bardziej nieśmiały niż młodsza siostra i cała impreza trochę wprawiała go w zakłopotanie.

- No zmykaj - powiedziałam mu. - Pobaw się z siostrą. Chyba że wolisz coś zjeść. - Nadal nie miał specjalnej ochoty rozdzielać się ze mną. Może wstydził się przy tylu obcych ludziach nakładać sobie jedzenie? - Jesteś głodny? - Trąciłam go lekko łokciem. - Dziwię się, że nie byłeś pierwszy przy stole!

Naprawdę mnie to dziwiło. Choć Ashton nie demonstrował tego w równie rażący sposób jak Olivia na początku pobytu u nas, to ewidentnie pilnował spraw związanych z jedzeniem i pór posiłków. Nie w takim stopniu jak nasz pierwszy podopieczny Justin, który musiał dokładnie wiedzieć, co i kiedy będzie na śniadanie, obiad i kolację. Ale Ashton też przywiązywał do tego dużą wagę i, tak jak Olivii pierwszej nocy, zdarzały mu się napady obżarstwa i chomikowanie jedzenia. Ale gdy jego młodsza siostra najwyraźniej już się uspokoiła pod tym względem, on wciąż czasami chował u siebie w pokoju herbatniki. Jednak w obliczu rozbuchanej seksualności dzieciaków, chyba umknęły mi trochę prawdziwe rozmiary obsesji Ashtona na punkcie żywienia.

- Umieram z głodu - przyznał. - Ale sam tam nie pójdę. Nie wiem, co wolno mi sobie wziąć.

- Kochanie, możesz brać czego dusza zapagnie. Na tym właśnie polega szwedzki stół. Nakładasz na talerz to, co ci najbardziej smakuje. - Zmarszczył brwi, niezbyt przekonany, więc wzięłam go za rękę. - Chcesz, żebym poszła z tobą?

Pokręcił głową, a jego duma wyraźnie wzięła górę.

- Poradzę sobie - stwierdził, wysuwając dłoń z mojego uścisku. - Dam radę.

Miałam bardzo pożałować, że jednak z nim nie poszłam.

Tymczasem patrzyłam, jak idzie w stronę uginającego się pod ciężarem jedzenia stołu; i na początku wszystko wydawało się w porządku. Nałożył sobie jedzenie i zaczął skubać kanapkę, a ja wdałam się w tak ożywioną rozmowę z jedną z koleżanek Riley na temat jej dzieci, że dopiero po chwili zorientowałam się, że Ashton nie odszedł od stołu. Wyglądał, jakby wrósł w ziemię: kurczowo ścisnął wyładowany po brzegi talerz i wpatrywał się w pełne półmiski obłądnym wzrokiem.

A potem wydarzenia potoczyły się jakby w zwolnionym tempie. David poszedł do Ashtona, powiedział coś do niego z uśmiechem i najwyraźniej chciał go delikatnie odciągnąć od stołu. Chłopiec odstawił wtedy talerz i złapał się obiema rękami za blat. Nie wiedziałam dokładnie, co się dalej działo, bo widok zasłaniały mi bawiące się dzieci, ale gdy zobaczyłam, że David krzywi się i skacze na jednej nodze, podbiegłam zaniepokojona.

- Nadepnął mi na palce! - poskarżył się mój zięć. - Z całej siły! - Spojrzał z wyrzutem na Ashtona, który wciąż zaciskał dłonie na blacie. - Słuchaj, chłopie - zwrócił się do niego. - Już ci wystarczy! - Odwrócił się znów do mnie: - Powiedz mu coś, Casey. Opycha się od dwudziestu minut. Pochoruje się, jeśli nie przestanie.

- Kochanie - spróbowałam. - Zjadłeś już wystarczająco dużo.

- Nie! - warknął. - Jeszcze dużo zostało. Nie mogę!

W tym samym momencie do stołu podeszła młoda mama z dwójką dzieci i sięgnęła po dwie lukrowane bułeczki.

- Wynocha! - krzyknął Ashton. - To moje. Idź sobie!

- Ashton! - podniosłam głos. - To nie jest twoje! Każdy może sobie brać!

Na jego twarzy malowała się potworna udręka i zanim zdążyłam się połapać, rzucił się na przerażoną kobietę. Gdyby nie odskoczyła na bok, dostałaby bolesnego kopniaka. Ten sam los spotkał inne dziecko, które ośmieliło się zbliżyć. Wyłącznie mój refleks uchronił kolejnego Bogu ducha winnego gościa przed atakiem.

Zrobiło się zamieszanie. Ludzie zaczęli się na nas gapić.

- Wynocha! - wrzeszczał Ashton. - Każ im stąd iść, Casey! Każ im! To wszystko się zmarnuje!

Miał łzy w oczach i cały się trząsł z wściekłości, a dla mnie stało się jasne, że powodem tej histerii są problemy z dawnym niedożywieniem równie poważne jak u Justina. Ashton nie mógł znieść widoku takich ilości jedzenia zgromadzonych w jednym miejscu i nie odczuwać przy tym potrzeby - nie tyle chęci, co właśnie kompulsywnej potrzeby - by zjeść lub przynajmniej schować na później wszystko co do okruszka. Krótko mówiąc, nie był w stanie odejść od stołu. Lata chronicznego głodu na tyle skrzywiły mu psychikę, że reagował przesadnie, a jednocześnie odruchowo. Nie zauważyłam tego do tej pory, bo po prostu nigdy wcześniej nie znalazł się w takiej sytuacji. To nie była jego wina. Nie panował nad sobą.

Uśmiechnęłam się przeproszająco do gęstniejącego tłumu i żeby nie robić scen i nie psuć przyjęcia, delikatnie odcepiałam zbieleiałe palce Ashtona od stołu. Potem z pomocą Davida stanowczo, ale spokojnie wyprowadziłam swojego podopiecznego z sali, starając się nie zwracać uwagi na jego wrzaski i protesty. Szedł, wywijając młynca rękami i nogami, co nie dość, że samo w sobie stanowiło przykry widok, to jeszcze zagrażało gościom. Stojący w pobliżu ludzie musieli odskakiwać pospiesznie na boki. Kilka maluchów zaczęło płakać, w tym mój wnuczek: gdy go mijałam, widziałam, że jest przerażony widokiem szalejącego Ashtona, który rzucał się na wszystkie strony.

Nie było łatwo zapanować nad chłopakiem, ale w końcu udało nam się wyciągnąć go za drzwi. Rozluźniliśmy trochę uchwyt, a Ashton natychmiast się nam wyrwał i rzucił na podłogę.

- Idź do środka, David. Wracaj na przyjęcie. Poradzę sobie - powiedziałam.

- Jesteś pewna? - Miał sceptyczną minę.

- Absolutnie. To tylko lekka histeria.

Nadal nie wyglądał na przekonanego, a ja doskonale rozumiałam, dlaczego się ociąga. Mam metr pięćdziesiąt dwa wzrostu, a Ashton był niewiele niższy ode mnie. Ale już zbytnio opadł z sił, żeby dalej walczyć. Potrzebował tylko pocieszenia.

Gdy David zniknął za drzwiami, usiadłam na podłodze obok Ashtona, pogłaskałam go po głowie i spróbowałam dodać mu jakoś otuchy.

- Nic się nie stało - powiedziałam cicho. - Ja rozumiem. To było dla ciebie bardzo trudne, prawda? Tyle jedzenia naraz, którego nie możesz...

- Wcale nie rozumiesz! - Łzy płynęły mu ciurkiem po twarzy. - Wcale nie rozumiesz! Wszystko przez ciebie! Mogłem to zjeść! A teraz się zmarnuje! Umrę z głodu! Jesteś dla mnie zła, Casey! Chcesz, żebym umarł z głodu!

- Nie pleć głupstw, kochanie. Czemu miałabym chcieć cię zagłodzić? Przecież daję ci jeść. Dostajesz mnóstwo jedzenia. Ale wiesz co? Naprawdę rozumiem, co czujesz. Rozumiem, że boisz się, że będziesz głodny. Naprawdę.

Ale wciąż zbyt zdenerwowany nie mógł się uspokoić. Istny obraz nędzy i rozpacz. I to z powodu kilku kanapek i bułeczek z kiełbaskami. Powinnam to przewidzieć. Powinnam się domyślić. Lepiej go przygotować. A że tego nie zrobiłam, zepsułam święto Leviego.

- Już nic nie chcę - załkał. - Chcę tylko wracać do domu. Niech sobie wszystko wezmą. Mogą sobie to całe jedzenie wyrzucić. Już nic nie chcę!

- Dobrze, skarbie. W porządku. - Przytuliłam go do siebie. Przypominał wymiętoszoną szmacianą lalkę. - Pojedziemy do domu, tak? I zaraz poczujesz się lepiej.

Wróciłam do środka i wyjaśniłam sprawę Mike'owi - wiedziałam, że David z chęcią go później odwiezie. A potem poszliśmy z Ashtonem na parking i ruszyliśmy do domu.

Rozdział 16

Wiesz co myślę? - powiedział mi Mike następnego dnia wieczorem, gdy zmywaliśmy we dwoje stos naczyń po niedzielnym obiedzie. - Naprawdę trzeba im jakoś pomóc, kochanie. No bo spójrz na Ashtona. Pamiętasz, jak było z Justinem?

Pokiwałam głową i podałam mu do wytarcia blaszkę do pieczenia. Parsknęłam smutnym śmiechem.

- Jak mogłabym zapomnieć?

- No właśnie. I to była moja pierwsza myśl po sobotniej histerii Ashtona. Tu nie chodzi tylko o ADHD. To biedne dziecko ma poważne problemy. Do których nikt, do cholery, nie podchodzi poważnie!

No, to niezupełnie tak. W końcu dzieciaki doczekają się pomocy. Ale ponieważ CAMHS odmawiał współpracy, dopóki dzieci nie trafią gdzieś na stałe, to ogólnie faktycznie wyglądało tak, jakby nikt nie traktował sytuacji poważnie. Bo na razie nikt nic nie robił i nie zamierzał robić. Mike miał rację, a urodziny Leviego podziały jak katalizator. Każdy mijający dzień był kolejnym dniem zmarnowanym. Skoro więc inni nie palą się do działania, może sama powinnam podjąć jakieś kroki.

W poniedziałek bladym świtem zadzwoniłam do doktora Shackletona, a on jak zwykle wyraził chęć pomocy. Od lat był naszym lekarzem rodzinnym, na długo przed tym, zanim zostaliśmy rodzicami zastępczymi, a potem zawsze zapewniał nam duże wsparcie.

- A więc na chwilę obecną nie mają żadnej pomocy psychologicznej? - zapytał.

- Żadnej - potwierdziłam. - Dostają tylko tabletki na ADHD, ale pod takim czy innym względem oboje są w totalnej rozsypce. Zwłaszcza Ashton. A może minąć jeszcze wiele miesięcy, zanim trafią gdzieś na stałe i CAMHS zgodzi się wkroczyć do akcji. Ale obawiam się, że im dłużej trwa taka sytuacja, tym gorzej dla nich. To chyba nie jest normalne, żeby tak spokojnie się temu przyglądać i nawet palcem nie kiwnąć.

- Zostaw to mnie - odparł doktor. - Taki problem to dla mnie nie nowość. Biurokracja ponad wszystko, co? Czasem przyda się jej mały wstrząs. Może uda mi się puścić maszynę w ruch.

Po rozmowie z Shackletonem od razu poczułam się lepiej. Gdy obiecywał, że coś zrobi, zwykle to robił. Humor jeszcze bardziej mi się poprawił, gdy zadzwoniłam później do Johna Fulshawa i usłyszałam, że mogę liczyć na jego pełne poparcie.

- Ale pamiętaj, że Anna nie będzie zachwycona - ostrzegł. - Zacznie ci truć o

przepisach. Prawidłowej procedurze CAMHS. Złościć się, że z nią tego nie przedyskutowałaś.

- Ale gdybym przedyskutowała, to usłyszałabym tylko, żeby nic nie robić. Przecież wiesz.

- Wiem i tak między nami, całkowicie się z tobą zgadzam. To wy z Mikiem walczyście z problemami na co dzień. Jeśli chcą, żebyście zajmowali się dziećmi właściwie, to jakiś absurd, żeby odmawiać wam pewnej niezależności w działaniu. Nie, słusznie postąpiłaś, Casey. Masz moje stuprocentowe poparcie. Daj znać, jak idzie. Informuj mnie na bieżąco.

John oczywiście się nie mylił. Anna kręciła nosem. Zaraz następnego dnia dostałam od niej oschłego maila. Napisała, że choć jak najbardziej wolno mi umawiać się na rutynowe wizyty lekarskie (miło z jej strony), to „w przyszłości przed podjęciem tego rodzaju decyzji powinnam poinformować kogoś z zespołu”.

Skarcona, choć bez najmniejszych wyrzutów sumienia, wystosowałam list z przeprosinami. Zapewniłam ją, że wzięłam sobie do serca jej rady i oczywiście „w przyszłości” postąpię zgodnie ze wskazówkami. Z uśmiechem kliknęłam „wyślij”. Nic mnie to nie kosztowało, skoro i tak dopięłam swego.

Wkrótce jednak się przekonałam, że nawet ja nie spodziewałam się, jak skomplikowana i frustrująca może być polityka opieki społecznej. W następnym tygodniu zadzwoniła Julia Styles, koordynatorka programu reedukacyjnego w podstawówce, do której chodziły dzieciaki. Znałam Julię dość dobrze, bo nasze ścieżki już od dłuższego czasu się krzyżowały. Niedawno przeniosła się do gimnazjum, gdzie uczył się Justin, nasz pierwszy podopieczny. Sama tam pracowałam przez kilka lat, zanim wyszkoliliśmy się z Mikiem na opiekunów zastępczych.

- Spokojnie. Nic złego się nie stało - powiedziała, bo oczywiście od razu zaczęłam się martwić. Niedawno odwiozłam dzieci do szkoły i natychmiast uznałam, że pojawił się jakiś problem.

- Uff, dobrze - sapnęłam z ulgą.

Julia roześmiała się.

- Chciałam omówić kilka formalnych kwestii. W końcu otrzymaliśmy dokumentację z poprzedniej szkoły i szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym sądzić. Bo odnoszę wrażenie, że te raporty swoje, a życie swoje.

- Dopiero do was doszły? - Przeprowadziłam w myślach szybkie obliczenia. - Ale minęły już prawie cztery miesiące!

- Jak widać, nie bardzo im się spieszyło. Lektura tych dokumentów trochę mnie skołowała. Serio, Casey, gdybyś to przeczytała, to nie uwierzyłabyś, że mowa o tych samych

dzieciach!

- Ale w jakim sensie?

- No cóż. Nie mnie to oceniać, ale z tego, co napisali, u nich dzieci zasadniczo nie miały poważniejszych problemów.

- Ale przecież obie wiemy, że to nieprawda.

- W tym rzecz. Przez pierwszą część półrocza zdążyłam już się im przyjrzeć i osobiście zalecałabym wręcz, żeby trafili na zajęcia wyrównawcze, bo oboje mają trudności w uczeniu się. Oczywiście potrzebna jest oficjalna opinia, ale idę o zakład, że będzie właśnie taka. I moim zdaniem trzeba tego jak najszybciej dopilnować. Nie tylko po to, aby uzyskać dodatkowe fundusze na ich naukę, ale także dlatego, że już zbyt długo zaniedbywano tę kwestię.

- No co ty powiesz?! - rzuciłam sarkastycznie.

- W każdym razie, jak słyszałaś, w przyszłym tygodniu ma się zebrać komisja do spraw dzieci z rodzin zastępczych. Pomyślałam więc, że dam ci wcześniej znać, co sędzę na temat raportu z poprzedniej szkoły i obecnej sytuacji. Oczywiście poruszę te wszystkie kwestie na spotkaniu.

Rozmowa z Julią naprawdę mnie pokrzepiła. Pomyślałam, że wreszcie coś ruszyło. A w przypadku tej nieszczęsnej dwójki pośpiech był wskazany. Większość ludzi sądzi, że to tylko stereotyp, gdy mówi się, że dzieci oddane pod opiekę instytucjom społecznym „marnieją”, ale moim zdaniem jeśli Ashton i Olivia nie otrzymają odpowiedniej pomocy psychologicznej i szkolnej, to właśnie tak się stanie. I co z tego, że Anna będzie się pieklić oprzepisy? Mało mnie to obchodziło. Zostałam rodzicem zastępczym między innymi po to, żeby czemuś takiemu przeciwdziałać. I to zamierzałam zrobić.

Komisja do spraw dzieci z rodzin zastępczych zbierała się cyklicznie, żeby omówić sytuację dziecka (lub dzieci w przypadku rodzeństwa) umieszczonego w rodzinie zastępczej i ocenić czynione przez nie postępy. Przewodzi jej niezależny inspektor. Na spotkaniu ustala się także strategię działania na przyszłość. W posiedzeniu uczestniczą wszystkie osoby zaangażowane w opiekę nad dzieckiem, począwszy od opiekunów zastępczych, pracowników koordynujących, nauczycieli i pielęgniarki, a skończywszy na rodzicach biologicznych, jeśli kontakt z nimi jest dozwolony.

Następne takie spotkanie w sprawie Ashtona i Olivii zaplanowano na przyszłą środę. Musiałam do tego czasu przygotować sprawozdanie, bo takie były wymogi. Jako opiekunowie mieliśmy poinformować zebranych zarówno o postępach, jakie dzieciaki zrobiły od ostatniej komisji, jaki i problemach, które chcielibyśmy zasygnalizować.

- Zabrałaś swoją ściągawkę? - spytał Mike, gdy zajechaliśmy przed szkołę. Specjalnie wziął sobie pół dnia wolnego po to, żeby mi towarzyszyć.

Na razie nie wiedziałam jeszcze, jak ważna okaże się dla mnie jego obecność - bo nie zawsze pojawialiśmy się razem - i zwyczajnie cieszyłam się, że ze mną jest i że możemy zaprezentować wspólne stanowisko. Poza tym nie miałam złych przeczuć.

- No pewnie. - Pomachałam kartką nad dachem samochodu, z którego właśnie wysiadłam. Ubrałam się elegancko (Mike też) - czy też biznesowo - bo zależało mi, żeby członkowie komisji uznali nas za profesjonalistów i poważnie potraktowali. - I wiesz co? - dodałam. - Jak to wszystko widzę czarno na białym, naprawdę zaczynam dostrzegać, że zrobili ogromne postępy. W sumie jestem z nich dumna.

- I słusznie. - Mike ścisnął mnie za ramię i ruszyliśmy w stronę szkoły. - Oczywiście problem załatwiania się nie został jeszcze całkowicie rozwiązany, ale gdy porównać to z ich zachowaniem zaraz po tym, jak do nas trafili... Żałuję, że nie robiłem zdjęć. Takich z cyklu „przed i po”. Łatwo zapomnieć, że zachowywali się niemal jak zwierzątka! Masz zatem pełne prawo być dumna, kochanie.

- I ty też - przypomniałam mu.

Weszliśmy do środka. Nie wiem, czy to kwestia zbytnej pewności siebie, ale idąc na spotkanie, naprawdę byłam przekonana, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty. I to nic, że wciąż jeszcze pozostawało dużo do zrobienia. Szłam sprężystym krokiem i liczyłam na to, że takim samym wyjdę z tego posiedzenia. A skoro doktor Shackleton i Julia Styles są po naszej stronie, pomyślałam, to może mój krok nabierze jeszcze większej sprężystości.

Ale to było przed spotkaniem.

Przywitała nas sekretarka szkolna Barbara, którą znałam od dawna.

- Weźcie sobie kawę i ciastka. - Pokazała stolik. - A potem zapraszam do środka. Wszyscy już czekają.

Weszliśmy do sali pełnej ludzi. Uczestniczyłam już w wielu zebraniach komisji do spraw dzieci z rodzin zastępczych, ale tym razem zgromadziło się naprawdę sporo osób. Zajęłam jedno z miejsc, które zaklepał nam John, i rozejrzałam się po sali. Zauważyłam kilka obcych twarzy. Oczywiście wielu obecnych się spodziewałam. Byli John i Anna oraz czworo znanych mi pracowników szkoły: dyrektor, szkolna pielęgniarka, pani pedagog i opiekunka zerówki. Zobaczyłam też jednak trzy nowe osoby i to właśnie pierwsza z nich, Emma, przewodnicząca komisji, przedstawiła nam dwie pozostałe: dyrektora szkoły, do której dzieci chodziły wcześniej, i młodą kobietę, tamtejszą pomoc nauczyciela. Emma wyjaśniła, że zaproszono ich na spotkanie, bo ich uwagi mogą okazać się cenne, skoro uczyli wcześniej

Ashtona i Olivie.

Po dokonaniu prezentacji Emma prosiła kolejno uczestników o wypowiedź. My poszliśmy na pierwszy ogień.

Krótko opowiedzieliśmy z Mikiem, w jakich sferach dzieci zaczęły robić postępy, ale po raz kolejny powtórzyliśmy, jak ważna i pilna jest naszym zdaniem pomoc psychologa. Dodałam też, że w zeszłym tygodniu rozmawiałam z Julią i z przyjemnością dowiedziałam się, że szkoła stoi na tym samym stanowisku i uważa, iż trzeba jak najszybciej zweryfikować specjalne potrzeby edukacyjne dzieci, a być może też sporządzić oficjalną opinię i zapewnić im dodatkowy indywidualny program nauczania.

Na razie idzie całkiem nieźle, uznałam w duchu, gdy powiedziałam już wszystko. Czułam, że z poparciem Julii - gdy mówiłam, cały czas kiwała głową i mruczała z aprobatą - może uda nam się w końcu zmusić innych do działania. Reszta słuchała w milczeniu. Dopiero kiedy pracownicy obecnej szkoły zaczęli referować swoje obserwacje, poczułam, że napięcie w sali rośnie.

Wyłonił się też motyw przewodni, bo jeden po drugim, każdy z pracowników szkoły stwierdzał z przykrością, że opóźniony rozwój dzieci może być efektem tego, że nikt nie wyłapał wcześniej ich „ewidentnych” problemów.

- Weźmy na przykład język i dziwaczne zachowanie Olivii - powiedziała Julia.

- Mogłaby pani to omówić? - poprosiła Emma.

Julia mogła.

- Olivia bardzo nietypowo się wyraża. I niepokojąco się zachowuje. Ma ataki nadpobudliwości i często przy tym wymachuje rękami. Według mnie to silnie utrwalone zachowania, które wymagają pilnej interwencji. Zastanawiam się też, czy lekarstwo na ADHD nie wymaga weryfikacji, bo to zaburzenie wciąż stanowi problem.

Potem głos zabrała szkolna pielęgniarka. Zgodziła się z opinią Julii, ale za to wypowiedziała się pozytywnie na temat wagi dzieci - od początku pobytu u nas poszła ładnie w górę. Oboje mieścili się już w granicach normy.

Emma wszystko skrupulatnie notowała, łącznie z zapewnieniem Anny, że opieka społeczna dokłada wszelkich starań, żeby znaleźć dzieciom rodziny na stałe. Anna poinformowała też o decyzji rozdzielenia Ashtona i Olivii, a także o tym, czym się kierowano podczas jej podejmowania. Oczywiście wciąż nie mogłam się z tym pogodzić, choć rozumiałam zasadność takiego postępowania. Cóż, trzeba zaakceptować smutną prawdę, że nie żyjemy w idealnym świecie.

Humor mi się trochę poprawił, gdy John w bardzo pochlebny dla nas sposób

podsumował tę część spotkania:

- Chyba wszyscy przyznamy - uśmiechnął się do mnie i do Mike'a - że Watsonowie, którzy, pozwolę sobie zaznaczyć, mieli opiekować się tą dwójką jedynie przez bardzo krótki czas, wręcz modelowo wywiązują się ze swojego zadania. I to bez żadnego wsparcia, które niewątpliwie by im się przydało - uzupełnił. - Jak państwo wiecie, jako krótkoterminowi opiekunowie nie mogą liczyć na wsparcie ze strony CAMHS, więc poza pomocą ze strony szkoły, znakomitą zresztą, muszą tak naprawdę radzić sobie sami.

Zastanawiałam się później, czy to te słowa tak uraziły przedstawicieli poprzedniej szkoły. Wiedziałam tylko, że od tego momentu zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Przeszliśmy do planu działania na najbliższą przyszłość i to właśnie wtedy poproszono o ich opinię na temat potencjalnego źródła problemów dzieci. Ich odpowiedź zaszokowała wszystkich.

Rozmawiałam oczywiście z Julią na temat doślanej z opóźnieniem dokumentacji, ale najwyraźniej to był tylko wierzchołek góry lodowej.

Dyrektor z poprzedniej podstawówki, pan Moore, odchrząknął głośno i wygłosił coś w rodzaju przemówienia.

- Bardzo się cieszę, że zaproszono nas na dzisiejsze spotkanie - zaczął. - Bo znamy tę rodzinę od dawna, a najmłodsza dwójka była i jest nam bardzo bliska. Uczyliśmy ich od zerówki i, jak już wspominałem, wiemy o nich bardzo dużo. W aspekcie szkolnym. - Urwał i rozejrzał się po osobach zgromadzonych wokół stołu. - Muszę przyznać, że jestem zaskoczony państwa słowami. Według naszych danych i z tego, co sam sobie przypominam, zarówno Ashton, jak i Olivia radzili sobie w szkole bez zarzutu. Nigdy nie mieliśmy z nimi żadnych problemów.

W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał i o taki efekt zapewne mu chodziło, sądząc po tonie jego głosu. Zerknęłam na Julię - wyglądała na równie oszołomioną jak ja.

- Czyżby? - spytała nastroszona. - Nie będę kryła zdumienia. Poddaliśmy dzieci licznym testom i jesteśmy na sto procent pewni, że oboje borykają się z trudnościami w nauce. Skonsultujemy się oczywiście jeszcze z poradnią psychologiczno-pedagogiczną, żeby to potwierdzić, ale dzieci zdecydowanie wymagają zajęć wyrównawczych.

Zapadła wręcz grobowa cisza. Pan Moore odwrócił się do swojej pomocnicy.

- Obecna tu Ann - wskazał na swoją wyraźnie zestresowaną towarzyszkę - jest nauczycielką asystującą; pomagała zarówno w klasie Ashtona, jak i Olivii i zapewnia mnie... - uśmiechnął się, a kobieta lekko skinęła głową -...że dzieci nigdy nie stwarzały żadnych problemów. Były pilne, spokojne i życzliwie nastawione do kolegów. Nic nie wskazywało na potrzebę dodatkowego wsparcia z naszej strony. Jedyne, co nas faktycznie martwiło, to dość

„dziwaczne” zachowanie Olivii.

- O którym nie ma ani słowa w waszej dokumentacji - odgryzła się natychmiast Julia.

- Proszę dać mi skończyć - odparł na to pan Moore. - Chciałem powiedzieć, że zamierzaliśmy zorganizować spotkanie z psychoterapeutą dziecięcym, ale właśnie wtedy rodzeństwo przeniesiono gdzie indziej. Poza tym jednak nie zauważyliśmy nic niepokojącego.

- Zgadza się - dodała Ann, która już odzyskała głos. - Zawsze prezentowali się należycie i...

W tym momencie być może pożałowała, że w ogóle się odezwała.

- Prezentowali się należycie?! - huknął nagle zbulwersowany jej słowami Mike. - Prezentowali się należycie? Czy my na pewno mówimy o jednej i tej samej rodzinie?

O dzieciach, które zjawiły się u nas praktycznie w łachmanach, brudne i zawszone?! O tych samych? O tych, które na całej skórze miały świerzb? Wciąż mowa o tych samych dzieciach, tak?

Uspokajająco położyłam rękę na dłoni męża. Wcale mnie nie dziwiło, że jest tak wściekły. Ci ludzie szczycili się dogłębną wiedzą na temat Ashtona i Olivii, a najwyraźniej zupełnie ich nie znali. Ciekawe, czy tak naprawdę w ogóle je sobie przypominali. Miałam co do tego poważne wątpliwości. Postanowiłam się wtrącić, zanim Mike'owi już całkiem puszczą nerwy.

- Mój mąż ma rację. - Staralam się mówić jak najspokojniej. - Poza tym dokumentacja, jaką otrzymaliśmy, wyraźnie mówi, że szkoła, pańska szkoła - podkreśliłam, spoglądając wymownie na Moore'a - przedłożyła opiece społecznej raport stwierdzający z grubsza to samo. Że dzieci chodziły zazwyczaj zaniedbane i głodne. Że kradły kolegom drugie śniadania i grzebały w kubkach na śmieci. A co do nauki, to wszyscy jesteśmy zdania - zerknęłam na Julię, a ona skinęła głową - że Ashton i Olivia są w stosunku do swoich rówieśników opóźnieni co najmniej odwa lata. Co najmniej.

Ann, pomoc nauczycielska, uśmiechnęła się do mnie uroczo.

- Ojej, bardzo panią przepraszam, pani Watson - zaćwierkała słodkim głosem. - Nie wiedziałam, że pani była nauczycielką.

Sarkazm w jej głosie sprawił, że oblałam się rumieńcem, co dodatkowo mnie rozżłościło.

- Tak się składa, pani Phelps - sprawdziłam jej nazwisko w rozpisce i czułam, że serce zaczyna mi walić - że skończyłam studia pedagogiczne, jeśli tak to panią interesuje. Ale to nie ma żadnego znaczenia w kontekście tego, co mówię o tych dzieciach. Bo nie trzeba być dyplomowanym pedagogiem, żeby potwierdzić moje słowa, a mianowicie, że te dzieci mają

ewidentne problemy, i to od lat.

Gotowałam się z wściekłości. Czemu na kobieta tak się na mnie uwzięła? Nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy, w żaden sposób jej nie obraziłam. Co tu jest grane?

Czy to dlatego, że dzieci zostały przeniesione z ich szkoły? Czy o to chodzi?

- Przykro mi - odezwał się znów pan Moore, przerywając milczenie zszokowanej pomocnicy. - Ale, no cóż, nie możemy się zgodzić z pani oceną. I chciałbym zaznaczyć, że jako przedstawiciele szkoły uważamy, że skoro stan Ashtona i Olivii się pogorszył, to może... hm, może obecni opiekunowie nie dopilnowali w pełni pewnych kwestii.

Mike rąbnął pięściami o stół z taką siłą, że omal nie dostałam zawału.

- Jak pan śmie!? - ryknął. - Jak pan śmie!? Jak pan śmie sugerować, że zaniedbujemy nasze obowiązki? Że to przez nas stan dzieci się pogorszył? Wie pan co? Gdybyście wy wywiązywali się należycie ze swoich obowiązków, to może zaoszczędzilibyście tym maluchom cholernie dużo cierpienia i bólu! Moim zdaniem to wy się do tego przyczyniliście, rozumie pan? - Odwrócił się do mnie. - Spokojnie, kochanie. - Twarz mu poszarzała.

Byłam bliska płaczu. Ze zdumienia odebrało mi mowę. Czy ten facet naprawdę to powiedział? Że przez nas z dziećmi było gorzej? W życiu nie słyszałam większej bzdury, ale mimo to poczułam się zaszczuta. Skrytykowana. Ponizona. Jak mógł w ogóle coś takiego zasugerować?

John wstał. Wyglądał na równie zszokowanego jak ja.

- Emmo - poprosił. - Zróbmy małą przerwę, dobrze? Dziesięć minut. Chciałbym zamienić dwa słowa z Mikiem i Casey.

Przewodnicząca komisji przytaknęła z wyraźną ulgą i we trójkę wyszliśmy z sali.

Na korytarzu Mike dał upust swojej furii.

- Serio, Case, zaraz tam wrócę i... Jezu Chryste! Nie wierzę, że mogli powiedzieć coś takiego!

John pokiwał głową.

- Mike, jestem tak samo wstrząśnięty jak wy. Ale wiecie, jak to bywa na takich spotkaniach. Emocje biorą górę. Wszyscy czują na sobie presję. Atmosfera robi się gorąca... W porządku, Casey?

Skinęłam głową.

- Tak, tak. Jestem tylko wściekła! Jak on mógł? A ona?! Przecież tyle zrobiliśmy dla tych dzieci! O co jej, do cholery, chodziło? Cały czas była w sali! Słyszała, co mówiliśmy. Jak mogła wyskoczyć z czymś takim? Słowo daję, miałam ochotę jej przywalić!

- Wiem - powiedział Mike, starając się uspokoić siebie, i mnie. Uśmiechnął się

niewyraźnie. - Dlatego uznałem, że wkroczę do akcji.

Mike już trochę ochłonał, więc postanowiłam wziąć z niego przykład. Złością nic nie zyskamy. Zrobiłam głęboki wdech i wypuściłam powietrze nosem.

- Już dobrze - zapewniłam. - Już się uspokoiłam.

- Ale ja nie! - odezwał się John. - Jedno twoje słowo, Casey, a wrócę tam i powiem, że to koniec. Że rezygnujecie z opieki. Nie pozwolę, żeby ktoś w ten sposób traktował moich ludzi! Jedno słowo, i informuję tę cholerną bandę, że zabawa skończona. Że macie dość. Że nie będziecie czegoś takiego tolerować. Że muszą znaleźć dzieciakom inny dom. Dziś!

- Daj spokój, John. Przecież Anna nie jest niczemu winna... - zaczęłam.

Pokręcił głową.

- Powinna stanąć w waszej obronie. Ja powinienem stanąć w waszej obronie.

Mike położył mu rękę na ramieniu.

- Daj spokój. Nie miałeś nawet kiedy.

- Ale i tak powinienem. Mówię serio, wystarczy jedno wasze słowo. Jeśli macie dość, po prostu mi powiedzcie. A ja już resztę załatwię.

Spojrzałam na Mike'a. On na mnie. Nie musieliśmy nic mówić. Nie wiedziałam, jakim cudem w ogóle doszło do tej dziwacznej rozmowy. Ale jedno było pewne. Właśnie ze względu na to, co działo się wcześniej, te dzieci tym bardziej potrzebowały naszego wsparcia.

- Nie - odparłam stanowczo. - Nie i kropka.

Rozdział 17

Przez cały tydzień nie mogłam przestać myśleć o tym spotkaniu. Po wyjściu John, Mike i ja zgodziliśmy się, że coś tu jest nie tak, że o czymś nie wiemy. John stwierdził, że jak najszybciej się dowie, o co chodzi.

Minęło jednak kilka dni, zanim zebrał informacje. Ale dobrze się spisał. Zamiast zadzwonić albo wysłać mail, zjawił się bez zapowiedzi osobiście tuż po tym, jak odwiozłam dzieci do szkoły.

- Niespodzianka! - rzucił radośnie, gdy wybałuszyłam oczy na jego widok. - No wpuść mnie. Mam wieści!

- Umawialiśmy się? - Przeszukałam w myślach kalendarz i zastanawiałam się, czy wyleciała mi z głowy data jakiegoś spotkania.

- Nie, oczywiście, że nie! Myślałem, że słowo „niespodzianka” jest wystarczająco jasne, Casey. A teraz otwórz, dobra kobieto. Jest cholernie zimno!

Zrobiłam mu coś gorącego do picia i pozwoliłam trochę się ogrzać, a zaraz potem poprosiłam, żeby mnie dłużej nie dręczył.

- A więc co to za wieści?

Wyciągnął z aktówki cienką teczkę.

- Cierpliwości. Najpierw protokół ze spotkania komisji. Wszystko w porządku, nie ma powodu do obaw. Prawie same oczywistości. - Położył dokumenty na stole. - Poczytasz sobie w wolnej chwili. Bo właściwa wiadomość jest dużo bardziej interesująca.

Na to czekałam.

- Zamieniam się w słuch.

- Jak się pewnie domyślasz, po powrocie do biura ciągle jeszcze wszystko się we mnie gotowało, więc postanowiłem od razu trochę powęszyć. Dowiedzieć się czegoś oszkołe. Mój niezawodny instynkt podpowiadał mi, żeby sprawdzić, do jakiego stopnia szkoła była tak naprawdę „zaprzyjaźniona” z naszą rodziną. No bo, o ile oczywiście nie padliśmy ofiarą poważnych niedomówień, z tego, co zrozumiałem, szkoła, choć oczywiście sama nie interweniowała, faktycznie przedłożyła stosowny raport, gdy w sprawę zaangażowała się opieka społeczna i poinformowała, że zamierza oddać dzieci do rodziny zastępczej, Pokiwałam głową.

- Wiem. Anna mi mówiła.

- Właśnie. I napisali w raporcie, że dzieci są zaniedbane. I że grzebią w kubłach na

śmieci w poszukiwaniu jedzenia.

- No tak. Czytałam go. Co oznacza...

-... że dyrektor, szanowny pan Moore, gadał bzdury, zgadza się?

- Oczywiście! Boże, nie męcz mnie dłużej. Mów wreszcie!

- A ja wiem dlaczego. - Dla większego efektu zamilkł na chwilę i napił się kawy. - No więc w tym roku mieli kontrolę z OFSTED, który sprawdza, czy szkoły trzymają się standardów wyznaczonych przez ministerstwo oświaty i...

- John...

- Ojej! - zawołał, nagle zawstydzony. - Przepraszam, ciągle zapominam, że pracowałaś w szkolnictwie. W każdym razie - nachylił się i szepnął teatralnie - w ich przypadku kontrola wykazała straszne niedociągnięcia. Postawiono im ultimatum: albo w kilka miesięcy uporządkują papiery, albo dostaną oficjalny nadzór. OFSTED wysunął wiele różnych zarzutów, ale w kontekście naszego spotkania interesuje nas głównie obszar odpowiedzialności za sprawy bytowe uczniów. Domyśliłem się więc, a w zasadzie zyskałem całkowitą pewność, że zdecydowanie nie był i nie jest im potrzebny dowód na ewidentną bierność w stosunku do naszych podopiecznych.

Oparłam się i poczułam, że wreszcie zaczynam rozumieć. Teraz wszystko układało się w jedną całość.

- No jasne, że nie. Po co mieliby kręcić bat na własną skórę. Nic dziwnego, że chcieli na kogoś przerzucić winę. - Też się nachyliłam. - A najlepiej w okolicznościach, gdy każde słowo jest dokładnie zapisywane. I to oficjalnie. Co za bezczelność!

- Wiem. Ale nie martw się. Zadzwoiłem już do dyrektora i przypomniałem mu pierwotny raport. Nie kryłem też przed nim swoich podejrzeń. Oczywiście nie jest zachwycony, ale głupi też nie. Zasadniczo przyznał, że może niezbyt dokładnie przygotował się do spotkania i że „może”... ależ mi się podobało to „może”... nie zdążył zapoznać się wcześniej z całą dokumentacją. Skutek jest taki, że obiecał zrobić to teraz, a także, zgodnie z moim, hm, nazwijmy to „zaleceniem”, przygotować nieco bardziej zgodny z prawdą pisemny raport, który oczywiście dołączymy do protokołu spotkania.

Office for Standards in Education - urząd zajmujący się kontrolą instytucji oświatowych w Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

- Musiałeś być przekonujący.

- W rzeczy samej.

- Jestem ci naprawdę wdzięczna, John. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo. Nie, żebym nie była wciąż na nich wściekła jak cholera. Totalny brak profesjonalizmu! Pomyśleć,

że w nosie mają potrzeby Ashtona i Olivii, naszej reputacji nawet nie wspomnę, zależy im tylko na tym, żeby chronić własny tyłek!

- No ale już po sprawie. Wszystko znajdzie się tam, gdzie trzeba - wskazał na teczkę - czarno na białym. Żeby nikt się do was nie przyczepił. Bo nie ma do czego. Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

- Więc powiem jeszcze raz: naprawdę jestem ci niezmiennie wdzięczna. Mike też będzie, gdy mu powtórzę naszą rozmowę. Tyle że w ogóle nie powinno dochodzić do takich sytuacji, zgadza się?

John pokręcił głową.

- Nie powinno. Ale co zrobić. Takie życie. No nic. - Dopił kawę. - Będę się zbierał. Widzimy się za tydzień. - Wstał.

Odprowadziłam go do wyjścia i otworzyłam mu drzwi. Przyszła poczta, więc podniosłam przesyłki z wycieraczki.

- O! - zawołałam na widok jasnoczerwonej koperty. - Pierwsza kartka świąteczna! Jeszcze raz wielkie dzięki, John. Naprawdę jesteśmy ci wdzięczni za wsparcie.

- Nie ma za co, Casey. Nie musisz dziękować. A! Mała prośba - dodał, wskazując na kopertę. - Dziś jest pierwszy grudnia. Błagam, naprawdę nie chciałbym przyjść tu za tydzień i zobaczyć, że cały dom wygląda jak choinka. Jestem w tym miesiącu tak przepracowany, że najprawdopodobniej cię wtedy zabiję.

- W ogóle nie rozumiem, o czym mówisz, John - uśmiechnęłam się szeroko.

Drugiego grudnia zaczęły się prawdziwe przygotowania do Bożego Narodzenia. Przez kilka kolejnych dni marudziłam Mikeowi, żeby poszedł na strych po ozdoby świąteczne, i nie dałam mu ani chwili spokoju, dopóki tego nie zrobił. A wszystko przez Johna, stwierdziłam w duchu z uśmiechem. Prawdę mówiąc, do momentu gdy zobaczył kartkę przyniesioną przez listonosza, w ogóle nie myślałam o świętach. Teraz miałam poczucie, że przed jego kolejną wizytą mam wręcz obowiązek zamienić dom w istną fabrykę Świętego Mikołaja.

Ale kogo ja chciałam oszukać? Boże Narodzenie to mój ulubiony czas w roku, więc i tak w ciągu kilku najbliższych dni rzuciłabym się w wir przygotowań. Moim zdaniem nie ma nic piękniejszego na świecie niż uginająca się pod ciężarem ozdób choinka na środku salonu, błyszcząca od bombek i światełek. Niezależnie od zrzędzenia Johna (a znałam go wystarczająco dobrze, aby z największą przyjemnością móc mu wypominać jego gderliwość), zawsze pierwsza spośród wszystkich sąsiadów rozwieszałam swoje bajeranckie ozdoby, zarówno w środku, jak i na zewnątrz domu. Serio, bywały takie lata, że ściągałam ze strychu pudła niemal w tej samej chwili, w której na niebie gasły ostatnie sztuczne ognie z okazji

Bonfire Night, i zabierałam się do dekorowania okien. Gdy dzieci podrosły, trochę dałam sobie z tym spokój, ale potem pojawili się pierwsi podopieczni, jeszcze później Levi i... no cóż, ujmijmy to tak: nauczyłam się po swojemu rozumieć kręcących głowami przechodniów. Wołałam żyć w przekonaniu, że mijają mój dom i myślą sobie: „No, proszę! Jak miło znów zobaczyć ją w akcji! Prawdziwa wielbicielka Bożego Narodzenia!”

W kwestii dekoracji nie trzymałam się jednak demokratycznych zasad. Choć zawsze obiecywałam dzieciom, że to one ubiorą choinkę, w pozostałej części domu wołałam działać sama. Tradycyjnie już lubiłam mieć wszystko zapięte na ostatni guzik jeszcze przed rozpoczęciem przerwy semestralnej, zanim w domu zapanuje jeden wielki rozgardiasz.

Zabawne, jak zmieniło się moje podejście do tych ferii. Gdy sama jeszcze pracowałam w szkole, uwielbiałam je jak wszyscy inni. Ale teraz, pewnie jak miliony innych rodziców w Wielkiej Brytanii, odnosiłam wrażenie, że dzieciaki wiecznie mają wolne! W tym roku te trzy tygodnie z pewnością będą się dłużyć.

Ale nie przemawiał przeze mnie czysty egoizm. Ostatnio - to znaczy w ciągu ostatnich kilku tygodni - zachowanie Ashtona i Olivii, zwłaszcza pod względem ADHD, znacznie się pogorszyło. I w związku z tym w domu trudno było utrzymać względny spokój. Zwłaszcza z Olivią zrobiło się ciężko. Odkąd nauczyciele zwrócili uwagę na jej nadpobudliwość, ja też zaczęłam jakby częściej to zauważać. W chwilach, gdy ritalin przestawał działać, mała naprawdę przypominała roztrzepanego ptaszka: biegała jak szalona po całym domu, wskakiwała na fotele i rzucała się na dowolną przechodzącą akurat osobę. Chciała w ten sposób okazać swoje uczucie, ale i tak przerażała każdego na śmierć. Musiałam więc jak najszybciej rozwiązać ten problem.

Kiedy jednak nie rozpieła jej energia, często odpływała myślami. Wiedziałam, że wciąż tęskni za domem - zwłaszcza za dziadkiem. I za resztą rodziny. I być może zaczynała do niej docierać świadomość rozłąki. Zdawałam sobie sprawę, że to konieczny, choć przykry proces.

Ale z ich dwojga to jednak Ashtonem martwiłam się bardziej. Narastała w nim agresja. Od zdarzenia na urodzinach Leviego - może osiągnął wtedy punkt krytyczny? - coraz łatwiej wpadał w złość, którą najczęściej wyładowywał na swojej siostrze. Dokuczał jej i ciągnął ją za włosy, doprowadzając małą do łez. I bez względu na to, jak często z nim o tym rozmawiałam, najwyraźniej zaprogramował się na wariant „wściekły i zbuntowany”

Nie dało się go dezaktywować.

Nie miałam pojęcia, skąd mu się to wzięło. Należało mu zmienić lekarstwo, czy wyłaziło z niego prawdziwe ja? Czy jego zachowanie oznaczało, że dzieciaki na tyle się u nas

zadomowily, że uznały, iż nie muszą już „być grzeczne”? Każdy rodzic wie, że większość normalnie funkcjonujących dzieci umie się dobrze zachowywać w towarzystwie, a złe zachowanie ujawnia dopiero tam, gdzie czuje się najbezpieczniej, czyli w przypadku większości „normalnych” rodzin - we własnym domu. Jeśli o to teraz chodziło, to zapewne powinnam uznać to za dobry objaw. Ale nie miałam pewności. Liczyłam tylko, że doktor Shackleton wkrótce się odezwie i wreszcie się dowiemy, co siedzi w tych dzieciakach i, co najważniejsze, co z nich wyrośnie. Przypomniałam też sobie, że dla Justina, który zjawił się u nas trzy lata temu tuż przed Bożym Narodzeniem, to też był bardzo trudny okres. Chłopiec pochodził z rodziny, gdzie nie tylko nie dostawał jedzenia i nikt się o niego nie troszczył, ale też nikt go nie kochał - nawet matka - więc święta, jak zrozumiałam z perspektywy czasu, unaoczniały ten smutny fakt ze zdwojoną mocą.

Ale Ashton i Olivia mieli siebie nawzajem, a poza tym nie czuli się niekochani (nawet jeśli darzono ich miłością, która powinna zaprowadzić poniekórych dorosłych za kratki), więc byłam pewna, że spędzą u nas cudowne święta.

W ciągu dwóch tygodni, z widmem szybko kończącego się semestru, udało mi się zrobić w zasadzie wszystko poza ubraniem choinki. W piątek przez większość dnia szykowałam salon: to pomieszczenie zawsze zostawiałam na koniec, bo stanowiło centralną część domu. Tak mnie to pochłonęło, że niemal spóźniłam się po dzieci do szkoły, ponieważ w ostatniej chwili postanowiłam, że wyłączę w całym domu światła, pogrążając go w ciemności; zanim przyjedziemy ze szkoły, na dworze też już się ściemni. Chciałam wprowadzić dzieciaki do domu i zrobić wielką „prezentację”: zapalić wszystkie lampki i stworzyć magiczną atmosferę.

Jak pomyślałam, tak zrobiłam: kazałam im wejść do środka i jeszcze w kurtkach zaczekać w przedpokoju, sama zaś podeszłam do gniazdka zasilającego główny przedłużacz.

- Tada! - wykrzyknęłam, gdy salon rozjarzył się nagle kolorowymi światełkami. Nawet bez choinki wyglądał cudownie.

Pierwsza zareagowała Olivia.

- Ale fajnie - powiedziała nie tyle z ekscytacją, co ze zdumieniem. - Naprawdę ślicznie. A po co tak?

- Bo idą święta, kochanie, a ja lubię, żeby w domu było ładnie na święta. A tam - wskazałam na wolne miejsce przygotowane w kącie - ustawimy choinkę.

Na wspomnienie o choince Olivia przynajmniej skojarzyła, o jakie święta chodzi.

- Chcesz mi pomóc po kolacji? - spytałam Ashtona. - Pomagałeś mamusi ubierać choinkę?

- Tak i na pewno była lepsza niż twoja - zaskoczył mnie swoją odpowiedzią. Naburmuszył się i spojrzał na mnie ze złością. Moje słowa najwyraźniej uderzyły w czuły punkt.

Zrobiło mi się przykro i omal nie rzuciłam: „A skąd wiesz? Nie widziałeś jeszcze mojej choinki!”, ale w porę ugryzłam się w język. Dzieciaki po raz pierwszy miały spędzać Boże Narodzenie poza rodzinnym domem. Mogło to w nich budzić najróżniejsze uczucia.

- Ale jesteś wredny - stanęła w mojej obronie Olivia. - Na pewno będzie śliczna. A mnie też pozwolisz ubrać choinkę, Casey?

- Jasne. Bardzo bym się cieszyła, gdybyście oboje mi pomogli. Zaraz po kolacji, dobra? A teraz chodźcie jeść. Jest kielbasa, tłuczone ziemniaki i purée z groszku.

Te słowa wywołały znacznie większy entuzjazm. Stwierdziłam, że w ich przypadku z Bożym Narodzeniem jest tak samo jak z plażą. Niby to fajne, ale co z tego.

Olivia faktycznie pomagała mi stroić drzewko, ale bez specjalnego zapалу - Ashton przyglądał się nam z boku z pogardliwą miną. Uznałam, że zamiast martwić się, że dzieci będą za bardzo ekscytować się świętami, powinnam raczej pomyśleć, jak w ogóle je nimi zainteresować. Problem wracał jeszcze nie raz.

Mijały kolejne dni i zaczęłam planować zakup prezentów. Nie miałam pomysłu na prezenty dla swoich podopiecznych, co trochę mnie martwiło. Próbowałam ich podpytywać, ale żadne nie umiało mi nic podpowiedzieć. Nie bardzo łapali ideę świątecznych podarków. Prezenty urodzinowe to co innego... - W tym przypadku zasady dobrze rozumieli, o czym mogliśmy przekonać się na własne oczy. Spróbowałam postawić się na miejscu ich młodej, nieudolnej matki i przyszło mi na myśl, że pewnie wyszła z założenia, że skoro nie może kupić porządnych prezentów, to lepiej w ogóle niczego nie dawać. Dużo wygodniej zapomnieć o całej sprawie.

Ale żeby tak permanentnie sobie odpuścić? Żeby nawet nie włożyć do starej skarpetki mandarynki, kilku orzechów i czekoladowych monet? Napomknęłam o tym Annie, bo akurat dzwoniła. Myślałam, że może mi coś wyjaśni, bo mimo najszerszych chęci zupełnie nie ogarniałam, jak można tak obojętnie podchodzić do kwestii obdarowywania bliskich prezentami w święta. Anna oczywiście niewiele miała do powiedzenia na ten temat. Stwierdziła tylko, że z tego, co wie, w ich domu nigdy nie „organizowało się” Bożego Narodzenia. Bez pieniędzy i przy takiej liczbie dzieci rodzice po prostu nie zawracali sobie głowy świętami.

Więc może przecucie jednak mnie nie myliło. To wszystko uświadomiło mi wymownie, do czego doszło w wysoko rozwiniętym społeczeństwie: gdy brakuje pieniędzy,

świąt nie da się „zorganizować”. Jakby w ogóle oto chodziło! Ta myśl podziałała na mnie zdecydowanie trzeźwiąco. Powinnam to sobie wziąć do serca, pomyślałam, szybko zmieniając perspektywę. Miałam kiedyś w szkole dziewczynkę, której rodzice byli Świadcami Jehowy. W jej domu też nie „organizowało się” Bożego Narodzenia. A czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, prawda? I może nie było w tym nic złego.

Ale, by zacytować Jo z Małych kobietek, bez prezentów Boże Narodzenie nie byłoby Bożym Narodzeniem, więc nie zapominając o prawdziwym znaczeniu świąt, i tak chciałam coś sprawić swoim brzdącom. I to coś, co im się naprawdę spodoba. Dobrze się złożyło, że Lauren, która miała wolne na uczelni, wyraziła z Kieronem chęć pomocy.

Wpadli do nas po południu, a mój syn zaproponował, że pokażą dzieciakom katalogi sieci Argos i że może w ten sposób natchną ich jakimiś pomysłami prezentów pod choinkę.

- No dobra. - Kieron poklepał sąsiednie krzesło. - Chodź, Ash. Siadaj. Obejrzymy te wszystkie bajeranckie zabawki dla chłopaków, a Lauren i Olivia - spojrzał na małą i zrobił śmieszna minę - obejrzą sobie cikliwe rzeczy dla bab.

Podalam im długopisy i kartki.

- Chodź, Olivio - zachęciła Laura wzorem Kierona. - Napiszemy długi list do Świętego Mikołaja, żeby wiedział, co ci przynieść.

- No, no. Byle nie za długi! - zapowiedziałam na odchodnym. - Żeby zmieściło się Mikołajowi na saniach!

Ale niepotrzebnie się martwiłam. Nawet z pomocą Kierona i Lauren dzieciaki nie miały pojęcia, jakie zabawki im się marzą. Grzecznie wskazywały różne rzeczy, ale bez większego entuzjazmu. To wyglądało tak, jakby naprawdę niczego nie chciały.

- Śmieszne - powiedziała Riley, kiedy wpadła kilka dni później. - Mimo tak tragicznej i szokującej przeszłości Ashtona i Olivii wielu ludzi uznałoby ich za idealne dzieci. No bo jak sądzisz, jak dużo współczesnych dzieciaków jest równie niematerialistycznie nastawionych jak ta dwójka?

- To prawda - przyznała Riley. - Mnie też się to w głowie nie mieści. Można by pomyśleć, że skoro chodzą do szkoły i mają kontakt z rówieśnikami, to przynajmniej choć trochę zauważą, że coś ich w życiu ominęło. Ale oni w ogóle nie są tego świadomi, co?

Przytaknęłam.

- Wiem. A ja przecież nie chcę ich zmieniać w materialistów. Tylko że to bardzo przykry widok. Musieli żyć dotąd w strasznej izolacji.

Córka spojrzała na mnie wymownie.

- Na pewno. Jeśli ktoś krzywdzi dzieci tak bardzo, jak najwyraźniej było w tej

rodzinie, to powiedziałabym, że trzeba się z czymś takim liczyć, prawda? W każdym razie, skoro już mowa o świętach, to chciałam cię o coś spytać. A właściwie o czymś ci powiedzieć.

- O czym? - Riley zostało tylko osiem tygodni do terminu porodu, więc na widok jej naglej powagi, natychmiast pomyślałam o maleństwie.

- Nie rób takiej przerażonej miny! - roześmiała się. - To nic strasznego. Tylko może się dla ciebie okazać lekkim szokiem...

- O co chodzi, na litość boską?!

- Świąteczny obiad robię ja, zgoda? U mnie w domu. Z tą dwójką będziesz miała wystarczająco dużo na głowie, więc uwierz, jeszcze podziękujesz, że ktoś wyręczy cię w gotowaniu.

- Riley, jesteś w siódmym miesiącu ciąży!

- Cięża to nie choroba. Poza tym to już postanowione.

- Nie ma mowy! - sprzeciwiłam się stanowczo.

Oczywiście moja córka, jeszcze bardziej charaktema niż ja, postawiła na swoim - obiad w pierwszy dzień świąt odbędzie się u niej. Dziwne uczucie, obudzić się rano i nie musieć myśleć o szykowaniu świątecznych potraw. Ale rzeczywiście, z perspektywy czasu uznałam, że to była dobra decyzja. W końcu Levi skończył już dwa latka. Pewnie najwyższa pora, żeby zaczęli pracować na jego wspomnienia świąt w rodzinnym domu. Riley miała też rację co do dwójki moich małych podopiecznych. Dobrze będzie poświęcić im trochę czasu, a nie stać w kuchni i gotować wystawny obiad.

Ale ten świąteczny poranek różnił się jeszcze pod innym względem. Nastawiłam budzik na piątą rano i gdy wstałam, dom spowijała martwa cisza. Po cichutku zesłam w szlafroku na dół i zapaliłam gazowy kominek w salonie. Wróciłam myślami do dawnych czasów, gdy wstawanie o piątej było prawdziwym luksusem. Przez pewien czas mały Kieron przybiegał do naszego łóżka i budził nas zaledwie godzinę po tym, jak położyliśmy się spać!

Włączyłam telewizor i znalazłam kanał z kolędami, a potem zapaliłam wszystkie światełka. Po obu stronach kanapy ustawiłam wypchane po brzegi worki z prezentami. Bardzo mi zależało, żeby podarować Ashtonowi i Olivii magiczne, rodzinne święta. Uważałam, że takie wspomnienia mają później naprawdę olbrzymie znaczenie.

Gdy wszystko było już gotowe, a zdziwiony Bob znalazł się w ogródku, by załatwić pierwsze poranne potrzeby, poczłapałam w ciemności na górę i delikatnie potrząsnęłam Olivią.

- Przyszedł! - szepnęłam i wzięłam ją na ręce. - Mikołaj już przyszedł i zostawił ci prezenty!

- Ale ja się zsiusiałam - odpowiedziała rozespanym głosem. - Mikołaj się na mnie pogniewa?

Postawiłam ją na łóżku i ściągnęłam jej moką piżamę.

- Oczywiście, że nie - uspokoilałam ją. - Mikołaj nigdy się nie gniewa. To w końcu święty! Wie, że takie rzeczy czasem się zdarzają - dodałam, wyciągając z szuflady czystą piżamę. - Ubieraj się migusiem. Później cię wykąpiemy. Chodźmy teraz obudzić Ashtona, a potem wszyscy zejdziemy na dół.

Zaspany Ashton niezdarnie wciągnął na siebie szlafrok i razem z Oliwią zszedł za mną na dół. Natychmiast zauważyłam, że jestem chyba bardziej podekscytowana od nich. Pewnie zastanawiali się wręcz, co ja, do licha, wyrabiam. Dlaczego wyciągam ich z łóżek o tak absurdalnej porze?

Prawdę mówiąc, chyba w ogóle nie rozumieli, o co chodzi.

- No! Możecie rozpakować prezenty! - zachęciłam, gdy uklękli przy workach.

Przysiadłam na kanapie z kubkiem parującej kawy i odrobinę pogłośliłam telewizor, żeby zrobiło się bardziej świątecznie.

Ale moje wysiłki miały się z celem. Dzieci posłusznie rozpakowały prezenty, obejrzały je, a potem popatrzyły na mnie zdezorientowanym wzrokiem. Zachowywały się tak, jakby wykonywały zadanie na lekcji pod czujnym wzrokiem nauczycielki. Otwieraniu prezentów nie towarzyszyły żadne ożywione reakcje. Nie było szaleńczego rozdzierania papieru, podekscytowanych achów i ochów ani okrzyków radości, gdy oczom ukazywała się zabawka. Uznałam, że to naprawdę jeden ze smutniejszych widoków. Dla Ashtona i Olivii w tym wspaniałym rytuale nie było nic ekscytującego. Usiłowali tylko mnie zadowolić i spełnić moje oczekiwania. Martwiło mnie zwłaszcza zachowanie Ashtona. Od urodzin Leviego pozostawał bardzo oschły, mrukliwy i zamknięty w sobie, ale teraz najwyraźniej zorientował się, jak dużo znaczą dla mnie święta, bo starał się sprawić mi przyjemność. Grzecznie dziękował za każdy podarunek. Chciało mi się płakać.

Tak więc w nie najlepszych nastrojach zebraliśmy się przed południem do Riley. Mike wstał jakiś czas po nas i zasiedliśmy razem do śniadania. Powiedziałam mu, że dzieci bardzo się ucieszyły z prezentów od Świętego Mikołaja, bo po co psuć humor i jemu. Wiedziałam, że na widok Leviego od razu poczuję się lepiej. Przynajmniej Olivii spodobał się jeden z prezentów: nowa lalka, którą zgodnie z przewidywaniami nazwała Polly. Ubrała ją ładnie i zabrała ze sobą do Riley.

- Następna Polly? - spytał Mike, gdy naciągnęła lalce kapturek.

Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby urwał się z księżycą.

- Wszystkie lalki mają na imię Polly - wyjaśniła cierpliwie. - Polly loli didli doli.

Ponieważ Mike nic z tego nie zrozumiał (ja prawdę powiedziawszy też nie), pokiwał tylko głową.

- No, już. - Nakryła kocykiem lalkę w wózku. - Teraz Polly i mały Levi mogą się bawić w dzidziusie i być gotowi.

- Gotowi na co? - spytał Mike, gdy powoli ruszyliśmy oszronionymi chodnikami, pozwalając Bobowi obwąchać każdą latarnię. Przynajmniej pogoda spisała się na medal i wszystko się pięknie skrzyło.

Olivia cmoknęła ze zdziwieniem.

- Gotowi na prawdziwego dzidziusia, no przecież! To ty nie wiesz, Mike, że Riley będzie mieć dzidziusia?

Te słowa wreszcie wywołały w ten świąteczny poranek uśmiech na mojej twarzy, ale wkrótce miał go zastąpić uśmiech jeszcze bardziej promienny. Bo gdy otworzyły się drzwi, zobaczyliśmy nie Riley, tylko Świętego Mikołaja. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu; różowe policzki i gęstą białą brodę, zza której wykrzykiwał radośnie „hoł, hoł, hoł!”. Przynajmniej na ten widok dzieci wreszcie się podekscytowały. Olivia zostawiła swoją lalkę i z uszczęśliwionym piskiem przyłgnęła do nogi Mikołaja.

Ja też się ożywiłam. Widziałam, że to nie David się przebrał. Ani nie Kieron. Więc kto? Nagle Mikołaj zdarł brodę i tym razem to ja zaczęłam piszczeć. Justin! Nasz pierwszy podopieczny! Tak się ucieszyłam, że rzuciłam się mu w objęcia. Choć właściwie nawet nie musiałam. Bo delikatnie odsunął Oliwię, po czym porwał mnie w ramiona i zawirował ze mną po przedpokoju.

- Spokojnie, Casey! - zażartował i postawił mnie z powrotem na ziemię. - Jesteś taka wielka, że omal mnie nie staranowałaś!

Nawet widok samego Świętego Mikołaja nie ucieszyłby mnie bardziej. Nie, cofnij. Nic by mnie bardziej nie ucieszyło. A Justin, ten biedny, nieszczęsny chłopiec, z którym tak bardzo się zżyliśmy, całkowicie odmienił ten dzień. Miał teraz czternaście lat i natychmiast oczarował dzieciaki, zwłaszcza Ashtona, który spijał z jego ust każde słowo. Choć właściwie na pogaduszki nie było specjalnie czasu, bo Justin od razu zapędził całą trójkę do zabawy - Levi ani myślał iść w odstawkę - i gonił się z dziećmiakami po domu, jakby sam miał kilka lat.

A to wszystko w tajemnicy przed nami zorganizowały nasze dzieci. Załatwiły pozwolenie opieki społecznej, rozmówiły się z rodzicami zastępczymi Justina i dziś rano przywiozły go do siebie.

To najpiękniejszy prezent, jaki mogłam od nich dostać.

Rozdział 18

Spotkanie z Justinem sprawiło nam ogromną radość. Uszczęśliwiło nas pod każdym możliwym względem. Justin rozśmieszał nas do łez opowieściami o swoich szkolnych przygodach i zaskoczył, pomagając Riley w przygotowaniu świątecznego obiadu. Nie powinno mnie to co prawda dziwić, bo gdy z nami mieszkał, zapowiadał się na drugiego Jamiego Olivera i zawsze garnął się do pomocy w kuchni. Najwyraźniej zainteresowanie jedzeniem i gotowaniem mu nie minęło. Naprawdę miałam nadzieję, że jest tak szczęśliwy, na jakiego wygląda, i że pozostanie w dotychczasowej rodzinie.

Brytyjski kucharz, autor programów i książek kulinarnych (przyp. tłum.).

Tego najbardziej mu życzyłam: szczęścia. Tego życzyłam każdemu dziecku, które do nas trafiło, a święta nastroiły mnie pod tym względem wyjątkowo optymistycznie. Może te wszystkie drobiazgi, jakie staraliśmy się dla nich robić, wyglądały niepozornie, ale nabierałam coraz większego przekonania, że to właśnie one liczą się najbardziej: drobiazgi, z których nie zawsze zdawaliśmy sobie sprawę, gdy dzieci mieszkały z nami. Ciepłe słowo, czas poświęcony na rozmowę, czuły gest, ulubione ciasto, przegonione strachy, zrozumienie obaw: dla dzieciaków kochanych i otaczanych troską to norma, co jednak wcale nie umniejszało wagi tego typu rzeczy.

Bo takie gesty potrafią wiele zmienić. Justin był tego najlepszym przykładem. W porę nam przypomniał, że postępy nie zawsze są od razu widoczne - człowiek jest często zbyt zaangażowany w sytuację, by cokolwiek zauważyć - tylko dopiero za jakiś czas. Nawet jeśli my już tego nie zobaczymy, to miałam silne poczucie, że rodziny zastępcze, do których Ashton i Olivia trafią na stałe, dostrzegą efekty naszych wysiłków.

Przy założeniu, że takie rodziny w ogóle się znajdują, bo w tej sprawie nic nie posunęło się naprzód. Co zaskakujące jednak, w ogóle się tym nie przejmowałam. Rozpoczęłam nowy rok z postanowieniem, żeby kontynuować to, co zaczęliśmy z naszą dwójką. I dobrze, bo nadal zostawało mnóstwo do zrobienia.

Wciąż się martwiłam, jak Ashton radzi sobie ze stratą wszystkiego i wszystkich, których znał - poza jedną młodszą siostrą. Dla Olivii, jeszcze małego dziecka, ta wielka życiowa zmiana zdawała się dużo mniej dotkliwa (mimo dziwnych odruchów i tęsknoty za dziadkiem była z natury pogodna i nie miałam wątpliwości, że obdarzona odpowiednim wsparciem i miłością, taka pozostanie). Ashton natomiast, jako najstarszy, odczuwał rozłąkę ze swoją rodziną naprawdę boleśnie. Widać było, że bardzo kocha mamę, bo zawsze zaciekle

jej bronił, jakby nie chciał stracić kruchej więzi, która ich jeszcze łączyła. Miał pełną świadomość, że przez długi czas nie zobaczy matki. Nie dawał siostrze powiedzieć o niej złego słowa, nawet jeśli nie krytykowała wprost.

Wybuchał czasem bardzo niespodziewanie.

- Jutro szkoła - powiedziałam kilka dni po Nowym Roku, ładując ostatnie ozdoby do pudeł. - Na pewno już się nie możecie doczekać, co? Żeby wreszcie spotkać się z kolegami i koleżankami.

- Super mieć koleżanki - zaszczebiotała Olivia, układając bombki w kartonikach. - Lubię Emily. I Scarlet. Scarlet jest strasznie śmieszna!

Ashton rozplątywał na klęczkach sznur lampek choinkowych.

- Ja też lubię mieć przyjaciół - odezwał się z namysłem.

- I ja też - dodałam. - Bez przyjaciół życie nie jest takie fajne, prawda? Oczywiście rodzina to ekstra sprawa, ale przyjaciół też trzeba mieć.

- Wcześniej nikt się z nami nie kolegował, bo byliśmy śmierdzielami - stwierdziła Olivia. - I mieliśmy wszy.

Ashton natychmiast na nią naskoczył.

- Nie! - warknął. - Nieprawda! Nie śmierdzieliśmy i nie mieliśmy wszy, jasne? Mama by cię zabiła za to, że wygadujesz takie rzeczy! I dziadek też!

- Ale tak było! - upierała się.

- Nie było! Kłamiesz! - Cisnął lampki na ziemię i wyszedł z wściekłością z pokoju.

- Było - szepnęła obronnym tonem Olivia, gdy brat nie mógł już jej usłyszeć. - Tylko że on nie pamięta, Casey. Bo jest chłopakiem.

Ale wraz z upływem czasu to znów Olivia stała się głównym przedmiotem moich obaw. Mimo że jej dziwactwa czasem wydawały się naprawdę zabawne, nie mogłam zapominać, że za ich pośrednictwem manifestowało się po części to, że była wykorzystywana seksualnie. Na dodatek miała bujną wyobraźnię i żyła we własnym, niezwykle barwnym świecie.

Nie potrafiłam odgadnąć, czy Olivia czuje się po prostu coraz swobodniej w naszym domu, czy raczej reaguje w ten sposób na nowego członka rodziny, który wkrótce się pojawi, ale jej upodobanie do wszystkiego, co wiązało się z ciążą i niemowlętami, zaczęło przybierać rozmiary obsesji.

I nie chodziło wcale o dziecko Riley. Ni z tego, ni z owego, zaczęła zachowywać się tak, jakby sama była w ciąży. Chodziła po domu z piłką pod bluzą, prężyła się i skarżyła na bóle i niedogodności. Początkowo się z tego śmialiśmy, zwłaszcza Kieron, właściciel piłki.

Raz, kiedy poprosił o jej zwrot, został w odpowiedzi zwymyślany od „bezczelnych gówniarzy!”. Olivia rozbawiła go też do łez, gdy przypadkiem usłyszał, jak mówi swoim lalkom: „mamusia znów będzie się z wami bawić, gdy tylko to pienińskie dziecko w końcu się urodzi. Jeszcze kilka tygodni, dzieciaczki”. Biegała też do toalety i udawała, że wymiotuje, no i skarżyła się na „okropne poranne mdłości”.

Jednak ukoronowaniem tego wszystkiego były „ćwiczenia”. Pewnego popołudnia po szkole spytała, czy może iść „na dwór”, bo musi „poćwiczyć, żeby nie mieć rozstępów”. Zgodziłam się pod warunkiem, że nie włoży piłki pod bluzę, choć oczywiście samą piłkę pozwoliłam jej zabrać.

Nie było jej jakieś pół godziny - przed kolacją dużo dzieci bawiło się na dworze - gdy nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Z niepokojem ujrzałam na progu policjanta. Poszukałam wzrokiem Olivii, zastanawiając się, o co chodzi. Z ulgą zobaczyłam małą na murku u sąsiadów, z piłką na kolanach i znudzoną miną.

- Chyba lepiej, żeby pani wiedziała - zaczął młody policjant, gdy już mu wyjaśniłam, kim jestem. - Przyprowdziłem ją tutaj, bo, jakby to ująć, dość dziwnie się zachowywała. Chciałem się tylko upewnić, że z nią wszystko w porządku.

Potem wyjaśnił, że natknął się na nią za rogiem. Nie bawiła się z innymi dziećmi, tylko stała na czworakach na chodniku i jęczała rozdzierająco.

Gdy spytał, czy nic jej nie jest, podobno odparła:

- Nic a nic, do cholery! Jestem w szóstym miesiącu ciąży i odeszły mi wody! - Policjant oczywiście powiedział, żeby się nie wygłupiała, na co warknęła: - Wygłupiała? Ledwo żyję! Całą noc nie zmrużyłam oka, bo karmiłam bliźnięta!

Choć bardzo chciało mi się śmiać, jakoś się opanowałam i zapewniłam go, że moja podopieczna nie znikowała i że z nią porozmawiam. W zasadzie nie miałam pojęcia, czego on ode mnie oczekuje. Że na nią nakrzyczę za to, że straszy młodych policjantów? Kazałam jej wrócić do domu i gdy po raz enty tłumaczyłam, że dorośli trochę się martwią, gdy bawi się „w ciążę”, nagle uświadomiłam sobie, że moje życie stało się dość absurdalne.

Kazanie niespecjalnie do niej dotarło, bo już następnego dnia rano zeszła na śniadanie z dwoma mokrymi plamami z przodu piżamy. Gdy Mike spytał, co się stało, wyjaśniła, że „cieknie jej z piersi”, a następnie pomasowała swoje „bolące cycuszki” i jęknęła na dokładkę.

- To nic przyjemnego! - dodała, widząc, że się na nią gapię. - Nie mogłabyś mi po prostu dać na to jakiejś tabletki, Casey? Boże, nie mogę się doczekać, kiedy przejdzie na butelkę i zostawi w spokoju moje cycki!

Ulżyło mi co prawda, że jej ciążowy bzik skończył się niemal równie szybko, jak się

zaczął, ale w jego miejsce pojawił się dużo poważniejszy problem. Podczas gdy jej dziwna zabawa w „mamusię Olivie” nas śmieszyła, to nowa obsesja wręcz przerażała. Olivia wyjątkowo niepokojąco zafascynowała się ogniem.

Patrząc wstecz, stwierdziłam, że w łagodnej formie było tak zawsze. Od początku interesowały ją palniki w kuchence gazowej w trakcie gotowania. Wpatrywała się w płomienie jak urzeczona i powtarzała, że są piękne, że wyglądają, jakby tańczyły. Owszem, wydawało mi się to trochę dziwne, ale poza względami bezpieczeństwa nigdy się tym specjalnie nie przejmowałam. Pamiętałam też opowieść dzieci o spalonym samochodzie. Nagle jednak wszystko poszło o krok dalej. Pewnego wieczoru miała oglądała jakiś serial i wpatrywała się z nabożnym skupieniem w scenę, w której pożar odcina drogę ucieczki rodzinie przebywającej w sypialni na piętrze.

- Przewiń, Mike! Proszę! Puść jeszcze raz, dobra? - błagała. Nie odrywała wzroku od telewizora.

- Ale co przewinać? - spytał Mike, bo nie do końca rozumiał, o co konkretnie jej chodzi.

- Pożar - wyjaśniła. - Tam, gdzie wszyscy spalają się na śmierć!

- Nikt nie spłonął - wytłumaczył łagodnie. - Ci ludzie znaleźli się tylko w potrzasku - uśmiechnął się. - Dopiero jutro się dowiemy, czy zginęli.

- Zginęli - zapewniła poważnie. - Proszę, proszę. Przewiń. Może czegoś nie zauważyliśmy. Ale na pewno wszyscy umrą - dodała z przekonaniem.

- Jak już powiedziałem - Mike zerknął na mnie z wyraźnym zdziwieniem - tego dowiemy się dopiero jutro.

- Dość telewizji na dziś - wkroczyłam do akcji, żeby oderwać Olivie od makabrycznych tematów.

- Dobra - zgodziła się pogodnie i poderwała z kanapy. - A mogę pograć na komputerze?

Ashton bawił się u siebie w pokoju, więc, co dość nietypowe, laptop był wolny. Drugi komputer pożyczyłam Kieronowi, żeby miał u Lauren.

- Oczywiście, że możesz - zgodziłam się. - Chodź do kuchni.

Podreptała za mną radośnie. Ustawiłam jej laptop na kuchennym stole i gdy usiadła przed nim, nucąc coś sobie wesoło, zabrałam się do zmywania po kolacji.

- W co grasz? - spytałam chwilę później. Kiedy na nią popatrzyłam, marszczyła w skupieniu noseć.

- W takie coś - odparła. - A masz słuchawki, Casey?

- Mam, ale nie wiem, gdzie są. - Wytarłam ręce i podeszłam do niej. - Ale możesz normalnie pogłośnić. Czekaj, pokażę ci...

Znieruchomiałam, widząc, co ją tak pochłonęło. Nie filmy pornograficzne. Nie tym razem. Nie było takiej możliwości. Skonfigurowaliśmy komputer tak, żeby się nie dało. Nie. To było coś w stylu The Bill, a w tym akurat odcinku znów płonął jakiś budynek. Dwóch strażaków wynosiło na noszach ciało w worku. Dziwny wybór jak na małe dziecko. Zwłaszcza że tak się bała sztucznych ogni. Ale z drugiej strony mogła bać się hałasu, a tu chodziło o obraz.

- Nie powinnaś oglądać takich rzeczy, skarbie. - Sięgnęłam do touchpada. - Będą ci się później śniły koszmary.

- Ale to moje ulubione! Casey, proszę, nie wyłączaj!

- To nie jest film dla ciebie - oznajmiłam stanowczo.

- A mogę obejrzeć Na sygnale?

Kolejny serial pełen bólu i śmierci. Cudownie.

- Czemu tak cię interesują pożary, kotku?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Podobają mi się. Lubię ogień i takie tam. - Zrobiła minę mędrca. - Ludzie muszą umrzeć, Casey. Tak to już w życiu jest.

A więc nie chodziło tylko o widok płomieni. Najwyraźniej fascynowała ją myśl o śmierci w męczarniach. Tak mnie to zaniepokoiło, że następnego ranka zadzwoniłam do Johna Fulshawa spytać, co on na to. Przez wiele lat pracy miał do czynienia z mnóstwem najprzeróżniejszych dzieci, ale tym razem też nie wiedział, co o tym sądzić. Spróbował mnie jednak jakoś uspokoić.

- To pewnie przejściowe - powiedział. - Podejrzewam, że w ten sposób radzi sobie z traumatycznymi przeżyciami. Moim zdaniem nie powinnaś za bardzo się martwić.

The Bill - brytyjski serial o pracy w policji (przyp. tłum.).

Tylko ją obserwuj. I ogólnie zachęcaj do rozmowy. Zobacz, czy uda ci się coś z niej wyciągnąć. Może samo jej minie. Właściwie to bardzo prawdopodobne. Po prostu, miej na nią oko. I staraj się tym nie przejmować.

Niewykonalne. Zachowanie Olivii było nie tylko dziwne, ale i przerażające i wcale nie wyglądało na to, by miało samo minąć.

Kilka dni później odniosłam wrażenie, że wręcz się nasiliło, bo dokonałam w pokoju swojej podopiecznej dość niepokojącego odkrycia, które poniekąd potwierdziło moje wcześniejsze wnioski. Poszłam zmienić jej pościel i gdy ściągałam stare prześcieradło,

znalazłam pod materacem stosik wycinków z gazet i czasopism. Choć ciężko w to uwierzyć, ta siedmiolatka, która z trudem koncentrowała się na szkolnej lekturze, potajemnie zebrała całkiem sporo wycinków prasowych, a każdy traktował o śmierci i umieraniu. Jeden dotyczył wspólnie oglądanego przez nas serialu, i bez wątpienia wycięła ten fragment z jakiegoś mojego czasopisma. Drugi przedstawiał sprawę miejscowego biznesmena, który zmarł na atak serca, a trzeci pożar domu - spłonęła tam cała rodzina.

Uznałam, że tym razem muszę z nią o tym pomówić, ale bez robienia wyrzutów. Ubrać to w formę lekkiej pogawędki i spytać, po co jej te teksty.

- Nie wiem - odparła. - Chyba lubię wycinać. - Nic innego nie udało mi się z niej wydobyć.

Sprawa trochę się wyjaśniła kilka dni później, gdy usłyszałam, jak Olivia pyta Ashtona, jak się pisze „katastrofa”. Siedziała przy laptopie i mozolnie wstukowała dyktowane przez niego literki w okno wyszukiwarki.

- Olivio! - wykrzyknęłam mimowolnie. - Musisz z tym skończyć! To nienormalne. Po co, do diabła, wyszukujesz słowo „katastrofa”?

Odwróciła się do mnie.

- Casey - zaczęła poważnie. - Bo nigdy nie wiadomo. Nigdy nie wiadomo, kiedy On na górze okaże swój gniew. A zrobi to na pewno, jeszcze wspomnisz moje słowa.

Gdzie, do cholery... Wróć, pomyślałam. Nie gdzie, ale raczej od kogo ta mała nauczyła się takich rzeczy?

Rozdział 19

Zaledwie dwa tygodnie po narodzinach „dziecka” Olivii pojawił się nowy członek klanu Watsonów. Niesamowicie podobny do swojego starszego brata, absolutnie przeuroczy. A ja znów miałam szczęście i mogłam uczestniczyć w porodzie, pomagając drugiemu wnukowi przyjść na świat.

Jackson okazał się równie śliczny, jak uprzejmy. Wiem, że większość matek wolałaby, aby ich dzieci rodziły się o przyzwoitych porach, ale telefon od Riley o drugiej nad ranem mnie akurat bardzo ucieszył. To oznaczało bowiem, że mogę wstać po cichutku i zostawić Mike’a i dzieciaki pogrążonych we śnie. Tak było zdecydowanie lepiej, niż gdyby akcja porodowa rozpoczęła się w środku dnia, gdy trzeba zorganizować opiekę dla Ashtona i Olivii, a Mike jest w pracy.

Poród, jak to często przy drugim dziecku, poszedł szybko. A więc o świcie, po trzech niezbyt trudnych godzinach, było po wszystkim i mogłam zrobić to, co zwykle robią w takich chwilach babcie: rozplakać się i pogratulować swojej wspaniałej córce. W tym samym momencie odezwała się moja komórka. Mike pytał w esemesie, jak poszło, więc przekazałam Jacksona rozanielonemu tatusiowi i wyszłam na korytarz zadzwonić.

- Och! Jest precudowny! - rozpląnęłam się. - Wypisz wymaluj Levi! Riley promienieje i... no jest po prostu wspaniale. A jak w domu, kochanie? Wszystko dobrze?

- Bywało lepiej - przyznał Mike, parszkając śmiechem.

Ale dobrze znałam swojego męża. Nie chciał mi psuć humoru. „Bywało lepiej” znaczyło tyle co „jest fatalnie”.

- Co się stało? - Moje myśli natychmiast powędrowały do obsesji Olivii na punkcie ognia i śmierci.

- Właściwie nic konkretnego. Po prostu oboje zachowują się koszmarnie. Nie mam pojęcia, co w nich wstąpiło! A właściwie mam. Z wiadomego powodu nie było cię rano w domu. Zwłaszcza Olivia się tym przejęła. Ile ja się namęczyłem, żeby wmusić w nią lekarstwo. Stwierdziła, że już ich nie kochasz.

- O rany! Biedaku. A ty musisz lecieć do pracy, prawda? Nie martw się. Szybki papierosek i jadę, okej?

- Będę wdzięczny - odparł ze znużeniem Mike.

Rozłączyłam się, szybko doprowadziłam do ładu w ciepłym wnętrzu samochodu i wróciłam na moment do szpitala, żeby się pożegnać i jeszcze raz przytulić wnuczka.

Pomyślałam, że w zachowaniu moich podopiecznych nie ma w sumie nic dziwnego. Narodziny dziecka przynoszą zmiany i wywołują zamieszanie w każdej rodzinie, ale ta dwójka musiała to odczuć wyjątkowo boleśnie. Pewnie gdy pojawiała się niemowlę w ich domu oni sami jeszcze bardziej szli w odstawkę – o ile to w ogóle możliwe. Poza tym takie wydarzenie, choć człowiek wolałby o tym nie myśleć, wystawiało ich na pastwę zupełnie innego rodzaju zainteresowania, bo nieudolna matka już całkowicie nie miała dla nich czasu.

W drodze do domu wpadłam do supermarketu po misia dla Jacksona, a także po dwa pudełka ładnych puzzli i dwie duże tabliczki czekolady w ramach prezentu dla Ashtona i Olivii. Chciałam, żeby też poczuli się w tym dniu szczęśliwi, a nie odrzuceni. Zwłaszcza że i tak, wcześniej niż później, czeka nas rozstanie. Ale powinno okazać się ono dużo łatwiejsze, jeśli będą mieli niezachwianą wiarę w naszą miłość.

Jak się jednak okazało, na nic zdały się puzzle, czekolady i potoki czułości. Po prostu tylko wykazałam się huraoptymizmem. Ledwie weszłam do domu, a po zachowaniu Ashtona i Olivii już się domyśliłam, że narodziny dziecka - i to nawet nie mieszkańca tego domu - mocno odcisnęły się na ich psychice. Cały następny tydzień był naprawdę koszmarny. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapomnieli wszystko, czego z takim mozołem ich uczyliśmy. Znowu niechlujnie jedli, wzajemnie obmacywali się w intymnych miejscach. Powrócił też problem z załatwianiem się - z którym Olivia i tak jeszcze do końca sobie nie poradziła. Cała nasza praca legła w gruzach. Przez tydzień, dzień w dzień, musieliśmy borykać się ze skutkami ubocznymi narodzin Jacksona - szorować bieliznę lub pościel, lub jedno i drugie.

A przy każdej próbie rozmowy z Ashtonem i Olivią wypływał ten sam wątek. Narodziny dziecka pokazały to bardzo wyraźnie. Nie są wystarczająco grzeczni, wystarczająco mocno kochani, wystarczająco fajni - no bo w przeciwnym razie, czemu byśmy ich odsyłali?

Rozmowy były trudne. I niezwykle przykre. Do tej pory w domu, a także podczas pracy w gimnazjum, miałam do czynienia z dziećmi na tyle dużymi, żeby rozumiały swoją sytuację. Nawet jeśli im się nie podobała, zdawały sobie sprawę, że opiekujemy się nimi z Mikiem wyłącznie tymczasowo, że jesteśmy tylko pewnym etapem na drodze do nowego życia, nie tym nowym życiem. Ale czy tej dwójce da się powiedzieć, że człowiek ich kocha i że mu na nich zależy, a jednocześnie poinformować, że trzeba się rozstać? Bez względu na to, w jak delikatne słowa ubiorą tę wiadomość pracownicy z opieki socjalnej i my sami, itak wykraczała ona poza rozumienie tych dzieciaków.

- Wiesz, że musimy iść do innego domu, Casey? - powiedział Ashton któregoś dnia po

szkole. - Jak to możliwe, że jeszcze nikogo dla nas nie ma?

- Nie wiem, kotku - przyznałam szczerze. - Po prostu czasami takie rzeczy zabierają trochę więcej czasu.

Spojrzał mi prosto w oczy.

- Ale jesteśmy już u was strasznie długo. Czemu nie możemy z wami zostać?

Miałam ochotę go przytulić, ale czułam, że to nie jest najlepszy moment. Ashton oczekiwał jasnej odpowiedzi, a nie obietnic bez pokrycia.

- Dlatego, kochanie, że my z Mikiem nie zajmujemy się opieką długoterminową. Uwierz, bardzo was kochamy, ale nasze zadanie polega na tym, żeby troszczyć się o was tylko przez chwilę, dopóki opieka społeczna nie znajdzie dla was rodziny na zawsze.

Ashton zmarszczył brwi.

- Nie na zawsze - zaprotestował, a ja od razu pożałowałam, że źle dobrałam słowa. Powinnam ugryźć się w język. - Wracam do mamy, jak tylko będę miał wystarczająco dużo lat. Nie zabronią mi! - Na jego twarzy malowała się ponura determinacja.

- No i w porządku. Wrócisz, jak dorośniesz.

Olivia, która bawiła się z Bobem w ogrodzie zimowym, stanęła w drzwiach kuchni. Musiała usłyszeć naszą rozmowę.

- Nikt nas nie lubi, prawda, Casey? - spytała ze łzami w oczach.

- Oj, kotku. - Wzięłam ją na ręce i posadziłam sobie na kolanie. - Jak można was nie lubić? - spytałam, tuląc ją do siebie. - Jesteście cudowni. I zabawni, i kochani, i... sami wiecie... dla mnie po prostu wyjątkowi. Każdy będzie dumny, że może wziąć was do siebie.

Oczywiście osobno, dodałam w myślach i żołądek przewrócił mi się do góry nogami. Wkurzało mnie, że nie znają prawdy. Ale Anna stanowczo zabroniła nam ich przygotowywać na tę wiadomość. I słusznie. To by nic nie dało. Lepiej zostawić to na ostatnią chwilę, niż stresować ich na wyrost.

Olivia spojrzała na mnie i pociągnęła nosem.

- Casey, od teraz obiecuję, dobrze? Obiecuję, że będę najlepszą dziewczynką na świecie, żeby rodzice zastępowi mnie chcieli.

- I ja też - zobowiązał się Ashton solennie.

Serce mi się krajało.

Następnego dnia zadzwoniłam do Anny, żeby się dowiedzieć, czy są jakieś postępy w poszukiwaniach. Regres dzieci od czasu narodzin Jacksona trochę mnie martwił. Bardzo chciałam, żeby wreszcie znalazł się dla nich dom, choć oczywiście będzie mi ich brakowało, ale za wszelką cenę pragnęłam uniknąć sytuacji, gdy nowe rodziny zastępcze w ostatniej

chwili zmienia zdanie, bo dzieci znów zaczną się źle zachowywać. Ale Anna i tak nie miała dla mnie żadnych wieści, czego się poniekąd spodziewałam. Przynajmniej przygotowali dość kompleksowy profil każdego z dzieciaków, który w uaktualnionej wersji miał co dwa tygodnie trafiać do komisji. Zadaniem takiej komisji, złożonej z doświadczonych pracowników socjalnych, było jak najlepiej dopasować potencjalnych opiekunów do danych dzieci. Skoro Ashton i Olivia już oficjalnie trafili „na wokandę” (co powinno wydarzyć się dawno temu), znalezienie im rodzin naprawdę nie powinno zająć dużo czasu.

Dzieciaki oczywiście totalnie nic z tego nie rozumiały.

I podejmowanie z nimi tematu zmiany domu miało się z celem. Żyli dniem dzisiejszym i tak powinno pozostać. Jedyne szkopuł w tym, że ten dzień dzisiejszy znalazł się tymczasowo w lekkiej rozsypce na skutek przeżywanego przez dzieci stresu.

Sytuacja zaczęła się nam trochę wymykać spod kontroli i wychodzić poza mury naszego domu. W sobotę, którą przeznaczyłam na gruntowne porządki à la Casey, rozległ się dzwonek do drzwi - nie pojedynczy, ale potrójny, natarczywy. Przyszedł jeden z naszych sąsiadów, z którym akurat niespecjalnie utrzymywaliśmy kontakty. Trzymał za sweter przerażoną Olivię, a ta wyrywała się jak oszalała.

- O? - zdziwiłam się, zaniepokojona tym widokiem.

- Właśnie. O! Przyłapałem tę małą paskudę na swoim trawniku!

Bez względu na występki Olivii, ton faceta był nie do zaakceptowania.

- Proszę ją puścić - zażądałam ze złością. - Przecież pan widzi, że się boi. Cokolwiek zrobiła, nie trzeba się nad nią znęcać!

- Czyżby? - odparł z równie dużą wściekłością. - Mam w takim razie przykucnąć i wysrać się u pani na trawniku?

Nie byłam pewna, czy dobrze słyszę. A przynajmniej, czy dociera do mnie sens jego słów.

- Słucham? O czym pan, do cholery, mówi?

- O tej gówniarze! - warknął. - Ściągnęła spodnie i wysrała się na trawniku przed moim domem!

Gdyby zachowywał się trochę mniej agresywnie, może przeprosiłabym wylewniej. Owszem, nie przytrafiło mu się nic miłego, ale to było tylko małe, przerażone dziecko. Cała się zagotowałam.

- Bardzo mi przykro. Oczywiście przyjdę po niej sprzątnąć, ale pan pozwoli, że teraz ja już się nią zajmę. - Zatrzasnęłam drzwi.

Gdy zostałyśmy same, odwróciłam się do Olivii.

- Co to ma znaczyć? Wiesz, że tak nie wolno! Wiesz, że to zabronione!

Milczała jak zaklęta. Cała dygotała, a po białych jak ściana policzkach ciekły dwie strużki łez.

- Marsz do pokoju - nakazałam. - Ale już. I przemyśl sobie to, co mówiłam o robieniu kupy. Kupę robimy w ubikacji. Tam i tylko tam. W ubikacji!

Nie było sensu więcej na ten temat dyskutować. Może później. Ale na pewno nie teraz. Westchnęłam w duchu na myśl o niewesołym zadaniu, które mnie czeka w ogródku u sąsiada. Ciekawe, co jeszcze się zdarzy?

Głupie pytanie, głupia odpowiedź, jak miałam się przekonać godzinę później. Tymczasem jednak spróbowałam się opanować. I zaczekać, aż Olivia też trochę ochłonie, żebyśmy mogły na spokojnie porozmawiać o jej wybryku. Chwile słabości w domu potrafiłam zrozumieć, ale takie zachowanie nie mieściło mi się w głowie. Ani na moment nie przyszło mi do głowy, że tak pilnie musiała się załatwić, że nie zdążyła dobiec do domu. Już raczej narobiłaby w majtki. To było celowe działanie - rany, kiedy te biedne dzieci doczekają się wreszcie cholernego psychologa? A skoro zrobiła tak specjalnie, to jak wielkie pokłady złości w sobie nosi i jak jej pomóc znaleźć inny sposób rozładowywania negatywnych emocji?

Mike pojechał rano z Ashtonem na wyścigi zabytkowych samochodów i mieli się zjawić za jakąś godzinę. Chciałam załatwić tę sprawę przed ich powrotem. Stwierdziłam, że napiję się kawy, odczekam jeszcze piętnaście minut, a potem pójdę do Olivii i spróbuję namówić ją na rozmowę. Właśnie nalewałam sobie kawy, gdy z góry dobiegły mnie jakieś hałasy: bezładne walenie i skrobanie, a zaraz potem przeszywający wrzask.

Gwałtownie odstawiłam kubek i popędziłam na piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz, ale w korytarzu stanęłam jak wryta. Zatrzymał mnie smród: wszędzie tak cuchnęło fekaliami, że zaczęłam się krztusić.

Nakryłam ręką nos i usta i weszłam do pokoju Olivii. Czułam się tak, jakbym oglądała scenę z filmu o wariatach. Pierwsza rzuciła mi się w oczy ściana nad łóżkiem. Widniały na niej wypisane czerwonym flamastrem wielkie, nierówne kulfony: JESTEM ZŁA. KARZDY MIĘ NIENAWIDZI. Olivia nie przestawała się drzeć i szarpać za włosy. Wyglądała jak jakiś szalony profesor z kreskówki: miała potargane warkoczyki, włosy sterczały jej na wszystkie strony. W ręce trzymała ulubioną lalkę i skakała po łóżku, wrzeszcząc przy tym bez opamiętania i waląc głową Polly o ścianę. I to dość mocno. Podbiegłam do niej.

Zesztywniała, gdy ją złapałam, i nie zważając na fetor, przytuliłam na tyle mocno, na ile się odważyłam. Zaczęłam ją bardzo delikatnie kołysać, dopóki jej ciało powoli się nie

rozluźniło, a krzyki nie zamieniły się w wycie, potem jęk, a na końcu szloch.

Usiadłam z nią na łóżku i oceniłam wielkość zniszczeń. Podarła kilka książek i rozrzuciła je po całym pokoju, zerwała firanki, a na dywanie zauważyłam coś, co wyglądało na kałużę moczu. Skarpetka już zaczęła mi przemakać od spodu. Nachyliłam się odrobinę, żeby zajrzeć do kubła na śmieci - tam Olivia najwyraźniej zrobiła jeszcze jedną kupę. Ubabrała cały kosz, od środka i na zewnątrz. A że nie miała papieru, podtarła się własnymi rękami. Potwierdziły to dalsze oględziny. Smugi kału pokrywały jej ciało.

I moje też, jak się po chwili zorientowałam.

To chyba dowód na to, jak dziwnie funkcjonuje mózg człowieka pod wpływem stresu, bo pierwsze co pomyślałam - a w zasadzie jedyne - gdy tak siedziałam i tuliłam Olivię do siebie, to: Bosko! Mogła już skończyć u tego cholernego sąsiada!

Moje delikatne pytania - na długo po tym, jak już wszystko posprzątałam, przytuliłam Olivię i zapewniłam ją po raz setny, że wcale nie jest zła - nic nie przyniosły. Zupełnie nic. Mogłam więc zrobić tylko to, co robiłam od pierwszego dnia. Odnotować zdarzenie w dzienniku do przyszłego wglądu.

Ale nie tylko Olivia dawała mi powody do zmartwień. Ashton też poważnie się cofnął. Kilka dni później, gdy zmywaliśmy z Mikiem po kolacji, w ogródku rozległ się jakiś hałas. Byli tam oboje - wyraźnie słyszałam wrzaski Ashtona - i Bob też, bo ujadął jak dziki.

Wypadliśmy na dwór i zobaczyliśmy kotłujące się na błotnistym trawniku ciała. Pies stał obok i przyglądał się zajściu. Ashton i Olivia szarpali się ze sobą, walczyli jak dwa zwierzątka zamknięte w klatce. Kopali się, szczypali, wyrywali sobie włosy. Dopiero postawny Mike zdołał ich rozdzielić.

Byłam w szoku. Nigdy wcześniej się tak nie bili. Owszem, kłócili się, czasem wymierzili sobie jakiegoś kuksańca, poszturchiwali się, ale nigdy aż tak.

- Pieprzona spódniczka! - wrzeszczał Ashton na wpół oszalały i cały czerwony z wściekłości. - Zwykła zaszrana spódniczka!

- On powiedział na mnie „zimna suka”! - krzyknęła w odpowiedzi Olivia. - Nienawidzę go! Spódniczka! Słyszałeś, Mike! Powiedział na mnie „spódniczka”!

Minęło równo piętnaście minut, zanim udało nam się uspokoić ich na tyle, by usiedli przy stole i zaczęli na kolację. Ale po raz kolejny nic nie wskóraliśmy naszymi dociekaniem. Na każde pytanie, o co im poszło i dlaczego byli wobec siebie tak agresywni, odpowiadali smętnym wzruszeniem ramion.

Dopiero później, gdy kładłam małą spać, postanowiłam spróbować jeszcze raz.

- O co chodzi z tą „spódniczką”, kochanie? - zagadnęłam łagodnie. - Bardzo się

zducerwowałaś, gdy Ashton tak cię nazwał. Co to znaczy?

Zrobiła minę, która potwierdziła to, czego się już domyślałam.

- To znaczy, że jestem dziwką dziadzia, więc nie powinnam być zimna. Ashton to Świnia. Nienawidzę go. Jest podły.

A miała tylko siedem lat. Dzieciństwo? Jakie dzieciństwo?

Rozdział 20

Z każdym dniem nabierałam coraz większego przekonania, że dzieci były regularnie wykorzystywane seksualnie nie tylko przez członków rodziny. Nie miałam żadnych wątpliwości, że problem sięgał dużo głębiej i dużo dalej. Za każdym razem, gdy któreś z nich mówiło o kimś z rodziny - a zwłaszcza o dziadziu - czułam w brzuchu nieprzyjemny ucisk. Pewnie można by to nazwać instynktowną reakcją.

Gdy pod koniec lutego John przyszedł na kolejne spotkanie, na którym miała też pojawić się Anna, byłam bardziej niż pewna, że ta sprawa jest dużo poważniejsza, niż ktokolwiek początkowo przypuszczał. Więc się przygotowałam. Uzupełniłam zapiski o ostatnie zdarzenia i odświeżyłam sobie w pamięci to, co kiedyś opowiadały mi dzieci.

- Dzień dobry! - przywitał się wesoło John, wchodząc za mną do jadalni. - Czy to, co czuję, to kawa?

- A jak myślisz? - odpowiedziałam. - Często się.

Skorzystał z propozycji.

- Ale na poważnie - ciągnął, upijając z kubka napój. - Podobno zrobiło się dosyć ciężko.

- Można tak powiedzieć - odparłam cierpko. - Chyba należało się jednak tego spodziewać, prawda? - Przypomniałam mu, jak podczas opieki nad Justinem uprzedzał mnie, że gdy na horyzoncie zaczyna majaczyć kres pobytu w tymczasowym domu zastępczym, u dzieci zwykle następuje regres i dają się ostro we znaki. - Tyle że w przypadku tej dwójki regres oznacza coś więcej niż przekleństwa i wrzaski. Uwierz. U nich dzieje się to na poziomie fizjologii. W całej swej makabrycznej okazałości.

John się skrzywił.

- Rozumiem.

Chciałam rzucić: „Czyżby?“, ale się powstrzymałam. Skąd mógł wiedzieć, jak to jest mieszkać z nimi pod jednym dachem? Nie powinnam się na nim wyżywać. Był przyjacielem, wspierał mnie i nie miał złych intencji.

Poza tym i tak rozległ się dzwonek do drzwi, obwieszczając przybycie Anny. A zatem mogliśmy oficjalnie rozpocząć spotkanie.

- Zapraszam do środka! Impreza już trwa! - Odebrałam od niej płaszcz i poprowadziłam ją do jadalni. Od razu zauważyłam, że mój żart jej nie rozbawił. Miała nawet dużo poważniejszą minę niż kiedykolwiek wcześniej. - O rany. Wyglądasz, jakbyś przynosiła

złe wieści.

- Bo przynoszę - przyznała otwarcie. - Nie będę kłamać.

Ogarnęła mnie panika. Jak bardzo złe są te wieści? Coś się zmieniło? Zrezygnowali z poszukiwań rodziny na stałe? Wyobraziłam sobie alternatywę: dwa różne domy dziecka. Jęknęłam w duchu.

Anna najwyraźniej zauważyła moje lekkie przerażenie.

- Nie, nie. To nie dotyczy dzieci - zapewniła pospiesznie. - A przynajmniej nie bezpośrednio. Już nie, z czego chyba wszyscy powinniśmy się cieszyć. Nie. Chodzi o ich rodzinę i o to, co o niej wiadomo. Niezbyt budująca lektura.

Nalałam Annie kawy, a ona w tym czasie wyładowywała zawartość swojej przepaścistej torby. Nagle na stole zmaterializowała się potworna ilość papierów.

- Serio - powiedziała. - Jestem naprawdę wściekła. - W archiwum znalazło się mnóstwo informacji, o których na początku nie miałam pojęcia. Ale one do tej pory tylko tak kap, kap... ciurkały sobie. Powinam o tym wszystkim wiedzieć dużo wcześniej.

Wymieniliśmy z Johnem ukradkowe spojrzenie. Oboje doskonale znaliśmy to uczucie.

- No, no - mruknął John. - Brzmi złowieszczo. Mamy się jakoś psychicznie na to przygotować?

Anna uśmiechnęła się, choć bez humoru, i wyciągnęła grubą szarą kopertę.

- Tu są informacje z dwudziestu lat. Po rozprawie oraz zarzutach postawionych przez Ashtona i jego ciotkę odbyło się coś w rodzaju wykopalisk archeologicznych. A poszukiwania poprowadziły nas najróżniejszymi drogami w głąb rodziny, bliższej i dalszej, a nawet w głąb rodzin znajomych. I wygląda na to, że znaczna część z nich była od dawna znana pracownikom ośrodka pomocy społecznej... od blisko dwudziestu lat.

- Czyli od czasów, gdy mama naszych dzieciaków... Karen, prawda?... sama była malutka - uporządkował John.

Anna przytaknęła.

- I to właśnie Karen odgrywa tu główną rolę. Pojawiło się całe mnóstwo oskarżeń, zarzutów i podejrzeń. Jeszcze przed pierwszą ciążą, w wieku czternastu lat, Karen zwierzyła się koleżance, że od dawna uprawia seks z własnym ojcem. I jej młodsze siostry rzekomo też z nim sypiały.

- Ani trochę mnie to nie dziwi - stwierdziłam. - Ale mimo wszystko człowieka zamurówuje, gdy słyszy coś takiego. Że takie rzeczy dzieją się tuż pod nosem opieki społecznej, i to przez lata!

- Dowodów jeszcze nie ma - poprawiła Anna.

- Dla mnie to jasna sprawa! - zaprotestowałam.

- No nic, ale sytuacja jest, jaka jest, a dokumenty wyjaśniają dlaczego. Przez Karen. W szkole miała kłopoty z nauką, a otoczenie zawsze uważało ją za trochę opóźnioną. Wszyscy wiedzieli też, że lubi wymyślać różne niestworzone historie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ale z jakiegoś powodu matka koleżanki jej uwierzyła. I aresztowano ojca Karen. Ale oficjalnie nie postawiono mu żadnych zarzutów i został zwolniony z aresztu.

- Co? - krzyknęliśmy jednym głosem z Johnem. - Jak to możliwe? - pytał dalej John. - Wycofała zeznania?

Anna pokiwała głową.

- Wróciła na komisariat z matką, z ówczesną żoną dziadka naszych dzieciaków, która dość przekonująco wyjaśniła, że jej córka naprawdę ma nie po kolei w głowie i że nagadała głupot, żeby kryć swojego chłopaka. Gdy przypadkiem przyznała się, że uprawia z nim seks, spanikowała i żeby go chronić, powiedziała, że to ojciec ją zmusił do współżycia.

- Cudownie - skomentowałam. - Tak właśnie wygląda życie biednych ludzi, co? Ale to przecież totalna bzdura! Jak można uwierzyć w takie brednie? Mowa o podejrzeniu o kazirodztwo, na litość boską!

- Chyba w to nie uwierzyli? - włączył się John.

- A jednak - odparła Anna. - Dziś zapewne wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale wtedy... trzeba pamiętać, że to był temat tabu.

- I dotyczył rodziny - zgodził się John. - A to cholernie dużo zmienia. W tamtych czasach zachodziło dużo większe prawdopodobieństwo niż dziś, że tego typu sprawa zostanie zamieciona pod dywan. Same wiecie: zarzuty wycofane, im mniej zostanie powiedziane, tym lepiej, brudy trzeba prać we własnym domu i tak dalej.

- A więc ta informacja do niczego nie prowadzi, tak? - Strasznie mnie to przybiło. Tacy ludzie mieszkają wśród nas. Od zawsze. I nie muszą się przejmować żadną „ingerencją” z zewnątrz. Tak samo jak zasadami moralności.

- Wręcz przeciwnie - stwierdziła Anna. - Bo mamy już dwudziesty pierwszy wiek. A ja tak długo kopałam, aż w końcu moje wysiłki przyniosły owoce.

Uśmiechnęłam się pod nosem, słysząc tę metaforę. Owoce, które trzeba wygrzebywać spod ziemi. Co za trafny dobór słów.

- To znaczy? - drążył John.

- Unaocznily powagę problemu. Gdy poskłada się wszystko do kupy i doda dwa do dwóch... no cóż, wraz z dowodami sądowymi oraz, oczywiście, tymi zebranymi przez Casey i Mike'a otrzymujemy bardzo konkretny obraz całej wielopokoleniowej rodziny, która przez

lata systematycznie wykorzystywała seksualnie dzieci. Wszelkie szczegóły zostały przekazane przedstawicielom opieki społecznej najwyższego szczebla. Plan jest taki, że gdy uporządkujemy papiery, sprawa trafi do policji. - Anna spojrzała na mnie z powagą i determinacją. - Możesz być spokojna, Casey. Niezależnie od tego, jak dużo czasu to zajmie, a chwilę może potrwać, dziadzio w końcu zasiądzie na ławie oskarżonych.

- Skóra mi cierpnie - powiedział Mike, popijając wieczorem późną kawę. - Pomyśleć tylko, od jak dawna to trwa, jak wiele dzieci zostało przez ten czas wykorzystanych. I nikt nic z tym nie robił. W głowie się nie mieści.

- Teraz to ma sens. Te zadziwiające dorosłe teksty, z którymi co i rusz wyskakuje Olivia. „Boży gniew”, „ściany mają uszy” i tak dalej... Rany, niemal słyszę tego drania.

- Nic dziwnego. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby dopracować swoje metody do perfekcji!

- Biedne dzieciaki! - Pokręciłam głową. - Były najzwyczajniejszymi w świecie więźniami. Więźniami w miejscu, gdzie jak nigdzie indziej powinny czuć się bezpiecznie. Ale przynajmniej już po wszystkim. W tej chwili potrafię też inaczej spojrzeć na Karen. Pomyśleć, że gdy była mała, może w wieku Olivii, regularnie gwałcił ją własny ojciec. Nic dziwnego, że biedna dziewczyna nie radzi sobie w roli matki! Jak myślisz, jak coś takiego wpłynęło na jej psychikę?!

Oczywiście nigdy się tego nie dowiemy. Mogliśmy tylko snuć ponure przypuszczenia. Ale przynajmniej dla tych maluchów pojawiło się światło w tunelu, bo kilka dni później odbyła się obiecana wizyta psychologa. Na dodatek ten człowiek dobrze znał sprawę, bo to on pełnił funkcję biegłego i sporządził opinię na temat Ashtona, Olivii i ich rodziców. W przypadku tych ostatnich przeprowadził badanie kompetencji, na którego podstawie sąd oceniał, czy para jest w stanie opiekować się własnymi dziećmi.

Wizyta trwała długo. Ashton spędził z psychologiem godzinę, Olivia jeszcze dłużej. Zanim wyszła z pokoju, mówiąc: „Casey, teraz ty! Ten pan cię prosi!”, zdążyliśmy już z Mikiem zjeść kolację.

- Ale śmieszny pan - stwierdziła Olivia. - Bawi się w różne gry i w ogóle!

Zgodziłam się, że na pewno będzie zabawnie, i poszłam.

W porównaniu z długą sesją diagnostyczną rozmowa ze mną była krótka, bo, jak mi wyjaśnił psycholog, najpierw musi dokładniej przeanalizować uzyskane wyniki, dopiero potem postawi konkretną diagnozę. Potwierdził jednak naszą ocenę Olivii i przyznał, że mała ma trudności z przyswajaniem czegoś nowego, ale zakończył optymistycznym stwierdzeniem, że zasadniczo to bardzo bystra dziewczynka.

- Tak więc przy odpowiednim wsparciu i w sprzyjającym środowisku - mówił - widzę możliwość znacznej poprawy. Tak naprawdę to wyniki Ashtona są bardziej zastanawiające. Jak pani wie, swego czasu dość dokładnie przebyłem jego matkę, a w kontekście natury najróżniejszych problemów chłopca, jego i jej profil można uznać za identyczne.

- W końcu to matka - zauważyłam.

- Tutaj to nie ma znaczenia. Takie podobieństwa wychodzą w zasadzie tylko u rodzeństwa. Gdybym musiał strzelać, powiedziałbym, że to brat i siostra! - Mimowolnie trafił w sedno.

Biedny, pokrzywdzony chłopak. Ależ spadek genetyczny mu się dostał. Jak coś takiego wpływa na psychikę, jeden Bóg raczy wiedzieć.

Rozdział 21

Wcale nie chciałam szufladkować Ashtona i Olivii - Bóg jeden wie, że na własne oczy widywałam, jak naznaczenie dziecka piętnem problemów podkopuje jego i tak wątłą samoocenę. Ale po wizycie psychologa kamień spadł mi z serca. Nie tylko stanowiła pierwszy krok zmierzający do zapewnienia im pomocy terapeutycznej, ale też dawała mi lepszy wgląd w ich udręczoną psychikę. Nie miało znaczenia, że za kilka tygodni najprawdopodobniej się rozstaniemy. Dobrze po prostu wiedzieć, że dzieci w końcu uzyskają stosowną pomoc.

Nasza „normalność” niewiele miała wspólnego z tym, co powszechnie uznaje się za normę. Ale choć ktoś mógłby to zakwestionować, w naszym odczuciu tygodnie, które nastąpiły po wizycie psychologa, wyglądały normalnie. Kwestie wypróżniania się i seksu wciąż przysparzały nam pewnych kłopotów, ale dzieci zazwyczaj chodziły do szkoły w dobrych nastrojach i nie sprawiały tam większych problemów - przynajmniej z tego, co wiedziałam.

Życie płynęło tak spokojnie i bezproblemowo, że musiałam wręcz na siłę sobie przypominać, iż nasi podopieczni to dwoje głęboko poranionych, poważnie wykorzystywanych dzieci, brutalnie pozbawionych domu i bliskich i że ich przyszłość jest na razie bardzo niepewna.

Ale w moim życiu były jeszcze dwa inne maluchy, którym w całym tym zamieszaniu nie poświęcałam wystarczająco dużo uwagi.

- Zobaczysz, już niedługo pożałujesz tych słów - stwierdziła Riley w sobotę, na tydzień przed Wielkanocą, gdy powiedziałam jej, że bardzo mi ich brak.

Nastąpiła piękna wiosna, od dawna nie było przymrozków, a w ciepłych promieniach słońca żonkile rosnące pod kwitnącym drzewkiem owocowym jakby przytakiwały mi swoimi radosnymi główkami. Zaparzyłam kawę i wyszłam z Riley do ogrodu.

- Nigdy w życiu - sprzeciwiłam się. Wzięłam swojego najmłodszego wnuczka w objęcia. Tak bardzo się za nim stęskniłam. Jego kwilenie powiedziało mi jednak, że on raczej marzył, żeby babcia dała mu święty spokój i pozwoliła mu trochę się przespać w wózku.

Riley zablokowała kółka, sięgnęła po kubek z kawą i pokręciła głową.

- Pożałujesz, pożałujesz, mamuś. Zaczynam odczuwać na własnej skórze, skąd się wzięło określenie „bunt dwulatka”. Ten mały potworek zameczy mnie niedługo na śmierć. Jestem po prostu wykończona.

- W takim razie kolej na mnie - powiedziałam. - Albo raczej na Boba! - Biedny psiak. Położył się po śniadaniu na trawniku i drzemał, ale padł ofiarą podekscytowanego Leviego, który tym razem jego postanowił zamęczyć na śmierć i gonił nieszczęśnika po całym ogródku.

- Ej, chłopaku! Uspokój się trochę! - krzyknęła Riley. - Twój braciszek próbuje zasnąć!

Zero efektu.

- Może wstaw wózek do środka, kochanie - zaproponowałam i położyłam małego z powrotem do wózka. - W jadalni jest cisza i spokój, więc zaraz zaśnie.

Zrobiło mi się żal Riley. Wróciłam wspomnieniami do czasów, kiedy Kieron był malutki, a ją rozpieierała energia. Gdy na świecie pojawia się pierwsze dziecko, jest zupełnie inaczej. Można bachnąć się na chwilę razem z nim do łóżka. Przy dwulatku nie ma szans!

- A gdzie Ashton? - Riley wróciła do ogródka, a raczej do oranżerii, bo wołała jednym uchem słuchać, co dzieje się w domu.

- Pojechał z tatą na mecz - odparłam. - Kibicować Kieronowi. Szybko się uczy, że dla mężczyzny tajemnica udanej soboty polega na tym, by wyrwać się z domu przed najazdem dzieciarni! Więc dziś zostały same dziewczyny, żeby pilnować najmłodszych chłopaków. - Wychyliłam się i zajrzałam do kuchni. - Olivio?

Siedziała przy stole zajęta kolorowaniem, a na moje słowa podniosła tylko wzrok i skinęła głową. Potem wróciła do pracy, która pochłaniała ją od dłuższego czasu. Ślęczała nad kolorowanką z mnóstwem skomplikowanych, abstrakcyjnych wzorów. Wypełnianie wszystkich konturów wymagało użycia różnokolorowych flamastrow. Musiała się przy tym bardzo skupić. Ale mimo wszystkich swoich problemów Olivia faktycznie była bystra, a do tego zaczynała powoli wyrastać na perfekcjonistkę. Gdy wyjeżdżała flamastrem za linię, wpadała w istny szał, a obrazek był „do wyrzucenia” i niejednokrotnie psuł jej humor na resztę dnia.

Cały czas zajmowała się rysunkiem tak cicho, że nawet nie zauważyłam, kiedy zniknęła. Dopiero gdy jakieś pół godziny później rozległ się płacz Jacksona, zorientowałam się, że nie ma jej przy stole. My z Riley też oczywiście zaabsorbowałyśmy się rozmową o dzieciach, obowiązkach i wkurzających facetach. Obie byłyśmy święcie przekonane, że Jackson śpi.

Nawet teraz nie skojarzyłam jeszcze tych dwóch faktów. Riley zerknęła na zegarek i jęknęła, po czym wstała do malucha.

- Chyba jednak nie był aż tak śpiący - stwierdziła smętnie.

Też się dźwignęłam z krzesła i poszłam razem z nią. Przy tak ograniczonym kontakcie z moim wnuczkiem, z największą przyjemnością chciałam wziąć na siebie rolę kołyski, która w znacznym i męczącym stopniu wiązała się z posiadaniem małego dziecka.

Dopiero gdy zobaczyłyśmy, że drzwi do jadalni są zamknięte, zaczęłam się zastanawiać, gdzie Olivia. Bo córka zostawiła drzwi uchylone, żeby słyszeć z ogrodu zimowego każdy ruch synka. Doskonale pamiętałam, że mnie o tym informowała.

Serce zaczęło mi walić. Nagle mój umysł zaskoczył i podsunął mi scenę, która do dziś nie dawała mi spokoju; przypominałam sobie, jak Olivia robi swoim lalkom „badanie weneczne”. W tej samej chwili, gdy ta makabryczna myśl przedarła się do mojej świadomości, Riley otworzyła drzwi, a naszym oczom ukazał się przerażający widok. Olivia stała przy wózku Jacksona, z rączkami wsuniętymi w jego pieluszkę.

Poderwała się i zarumieniła, wyraźnie przestraszona.

- Nic nie zrobiłam! - krzyknęła. - Przysięgam na Boga, Casey! Tylko sprawdzałam, czy się nie zsiusiał!

Riley wydała dźwięk przypominający dziki skowyt, podskoczyła do wózka i szybko wyciągnęła synka.

- Znowu to samo! - wrzasnęła. - Jezu! - Przytuliła malucha do piersi.

Olivia natomiast wzięła się pod boki i zrobiła zaskakująco zbuntowaną minę.

- Nic nie zrobiłam! - powtórzyła z uporem i spojrzała ze złością na Riley.

Serce mi zamarło. Wiedziałam aż za dobrze, o czym mówi moja córka. Rok temu osiemnastomiesięczny Levi wpadł niechcący na Sophię, naszą ostatnią podopieczną, a ona trzepnęła go z całych sił w pupę. To było straszne i przez wiele tygodni nie mogłam dojść do siebie. Powtarzałam sobie, że powinnam to przewidzieć. Być bardziej zapobiegliwa, bo wiedzieliśmy już wtedy, że ta dziewczyna ma poważne problemy. Że jest niestabilna emocjonalnie i potrafi wybuchnąć gwałtownie. Rzuciła się na niego na naszych oczach!

A teraz to. Znowu zrobiło mi się wstyd. Wstyd, że mój własny wnuk nie jest bezpieczny w moim domu.

- Olivio, idź, proszę, do swojego pokoju - wycedziłam powoli. - I zostań tam, dopóki do ciebie nie przyjdę, dobrze?

Dopiero wtedy się poruszyła. Niepewnie wyminęła Riley, jakby bała się, że dostanie w ucho, i posłusznie pobiegła na górę tak szybko, jak pozwalały jej na to małe nóżki. Zostałyśmy z Jacksonem same.

Na szczęście wydawał się w całkiem dobrym humorze. Gaworzył do siebie wesoło, gdy Riley położyła go na kanapie, więc najwyraźniej nie stała mu się żadna krzywda. Ale

choć miałam pewność, że Olivia nie zamierzała mu zrobić nic złego, i tak byliśmy w szoku. Obie milczaliśmy dłuższą chwilę.

- Mamuś - odezwała się w końcu Riley. - Jak myślisz, co ona mu robiła? Bo na pewno nie „nic”. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Pokręciłam głową.

- Nie mam pojęcia, skarbie. Co ci powiedzieć? Po prostu nie mam pojęcia. Ale dam głowę, że nie chciała mu wyrządzić krzywdy.

- Czyli chciała go tylko dotknąć, tak? - Posłała mi miazdzące spojrzenie.

Od tego się przecież zaczyna, pomyślałam. Od tego się zaczyna. Takiego dotyku musiała właśnie doświadczać Olivia i reszta jej rodzeństwa. Regularny, bezwstydnny dotyk. Pozornie najzwyczajniejszy w świecie. Naturalny. Dający całej rodzinie prawo do intymnych części ciała dziecka, które potem rosnęło w przekonaniu, że to normalne i samo się tak zachowywało. Aż pewnego dnia wkraczało w okres dojrzewania. Budził się w nim pociąg seksualny.

A psychikę miało już oczywiście skrzywioną od dawna. Aż się wzdrygnęłam.

Riley zdjęła zawieszoną na wózku torbę z rzeczami Justina.

- W zasadzie przewinę go już teraz - stwierdziła i zaczęła ostrożnie rozpinąć pieluszkę. - Bądź tak dobra i rzuć okiem na Leviego, co? - Spojrzała na mnie i się uśmiechnęła. Chciała mnie podnieść na duchu. - Sprawdź tylko, czy biedny Bob radzi sobie ze stresem.

Skinęłam głową.

- Zajrzę też do Olivii. Jak to mówią, trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Nie powiedziałam Riley, bo nie była wtajemniczona we wszystkie szczegóły, ale bałam się, że ten incydent może wywołać kolejny. A zdecydowanie nie potrzebowałyśmy jeszcze na dodatek wybuchu autoagresji, nie mówiąc już o bazgraniu po ścianach i wypróżnianiu się do kubła na śmieci.

Kiedy jednak poszłam na górę, Olivia tylko się schowała. Skuliła się w rogu łóżka pod ścianą i nakryła kołdrą. Odsłoniłam ją i usiadłam. Od razu zauważyłam, dużą mokrą plamę na jej dzinsach i prześcieradle, ale w żaden sposób tego nie skomentowałam.

- Kotku - zaczęłam łagodnie. - Proszę, powiedz mi, co robiłaś. Rozumiem, że małe dziewczynki chcą sprawdzić pieluszkę swojej lalki, zwłaszcza bobasa. Muszą zobaczyć, czy trzeba go przewinać. Ale czy na pewno o to chodziło, kochanie? Powiedz prawdę. Faktycznie sprawdzałaś, czy Jackson zrobił siusiu?

Czekałam i obserwowałam, jak Olivia zmagają się ze swoimi uczuciami. Nagle

pokręciła powoli głową, niemal niezauważalnie. Rozpląkała się, a ja przytuliłam ją mocno. Mimo tego, co mała zrobiła, zalała mnie nieoczekiwana fala czułości. Na litość boską, to nie jej wina. To wina tych potworów. Nie wiedziała, czemu to robi, prawda? Bo skąd miałyby wiedzieć? Gdyby pod karą śmierci kazać jej wyjaśnić, dlaczego grzebała Jacksonowi w pieluszce, biedna mała nie potrafiłaby odpowiedzieć. Po prostu całe swoje życie była świadkiem i ofiarą takiego zachowania. Dla niej to normalne. Życie „rodzinne”! Zagotowałam się z wściekłości.

Ale zdałam sobie sprawę, że jest nadzieja. Olivia zaczynała powoli rozumieć, że tak nie wolno. Że to nie jest normalne. Że ludzie się złością.

- Riley mnie nienawidzi, prawda? - wymruczała w mój sweter.

- Nie, kotku. Ani trochę. Nie nienawidzi cię. Ale jest mamusią, a wiesz, jak to jest być mamusią, prawda? Mamusie się denerwują, gdy sądzą, że ktoś robi krzywdę ich dzidziusiom.

Odsunęła się, żeby spojrzeć mi w oczy.

- Nie robiłam mu krzywdy! Przysięgam! Chciałam tylko dotknąć. Połaskotać go.

W tym samym momencie w drzwiach pokoju stanęła Riley z Jacksonem na rękach.

- Olivio - odezwała się bez złości i żalu. - Masz siedem lat. Jesteś już dużą dziewczynką. I na pewno Casey ci tłumaczyła, czym różni się dobry dotyk od złego. A to nie był dobry dotyk, prawda? Wiesz o tym. I dlatego jest ci tak przykro. Bo rozumiesz, że postąpiłaś źle. - Czekala chwilę, żeby jej słowa dobrze zapadły niezauważalnie. Rozpląkała się, a ja przytuliłam ją mocno. Mimo tego, co mała zrobiła, zalała mnie nieoczekiwana fala czułości. Na litość boską, to nie jej wina. To wina tych potworów. Nie wiedziała, czemu to robi, prawda? Bo skąd miałyby wiedzieć? Gdyby pod karą śmierci kazać jej wyjaśnić, dlaczego grzebała Jacksonowi w pieluszce, biedna mała nie potrafiłaby odpowiedzieć. Po prostu całe swoje życie była świadkiem i ofiarą takiego zachowania. Dla niej to normalne. Życie „rodzinne”! Zagotowałam się z wściekłości.

Ale zdałam sobie sprawę, że jest nadzieja. Olivia zaczynała powoli rozumieć, że tak nie wolno. Że to nie jest normalne. Że ludzie się złością.

- Riley mnie nienawidzi, prawda? - wymruczała w mój sweter.

- Nie, kotku. Ani trochę. Nie nienawidzi cię. Ale jest mamusią, a wiesz, jak to jest być mamusią, prawda? Mamusie się denerwują, gdy sądzą, że ktoś robi krzywdę ich dzidziusiom.

Odsunęła się, żeby spojrzeć mi w oczy.

- Nie robiłam mu krzywdy! Przysięgam! Chciałam tylko dotknąć. Połaskotać go.

W tym samym momencie w drzwiach pokoju stanęła Riley z Jacksonem na rękach.

- Olivio - odezwała się bez złości i żalu. - Masz siedem lat. Jesteś już dużą

dziewczynką. I na pewno Casey ci tłumaczyła, czym różni się dobry dotyk od złego. A to nie był dobry dotyk, prawda? Wiesz o tym. I dlatego jest ci tak przykro. Bo rozumiesz, że postąpiłaś źle. - Czekala chwilę, żeby jej słowa dobrze zapadły Olivii w pamięć, ani na moment nie spuszczać z niej wzroku. - Obiecuj mi, że już nigdy czegoś takiego nie zrobisz. Dobrze?

Olivia patrzyła na nią wstrząśnięta, niezdolna się odezwać. Nagle znów wcisnęła twarz w mój sweter i się rozplakała.

- Przepraszam, Riley! Mogę się zabić, jeśli chcesz! Naprawdę mogę!

- Olivio. Wcale tego nie chcę. Chcę tylko, żebyś mi obiecała, nic więcej.

Pogładziłam małą po włosach.

- Obiecasz, kochanie? - szepnęłam.

- Obiecuję - wyszlochała.

Chociaż to zdarzenie oznaczało koniec beztrioskiej soboty, gdy wieczorem usiadłam, żeby je odnotować, znów do mnie dotarło, że moja podopieczna zrobiła postępy. Po raz pierwszy towarzyszyło mi niezachwiane przekonanie, że nie tylko wie, że zrobiła coś, co zdenerwowało dorosłych, ale też rozumie, dlaczego się zdenerwowali. Riley trafiła w dziesiątkę. Olivia cierpiała i nienawidziła samej siebie właśnie przez tę świadomość, że źle postąpiła. Nie był to dla niej łatwy i przyjemny proces, ale musiała przez niego przejść. Całkowicie się przeprogramować. Odrzucić normy wykształcone we wczesnym dzieciństwie - mocno już w niej zakorzenione - i zastąpić je standardami obowiązującymi w społeczeństwie, w którym żyje. Wielka rzecz dla tak małej dziewczynki. Mimo to konieczna, bo alternatywa była dużo, dużo gorsza. Molestowane dzieci niejednokrotnie zdają sobie sprawę z tego faktu dopiero wtedy, gdy dojrzewają i bardziej dociera do nich to, jakimi niezdrowymi pobudkami kierowali się zbrodniecy, którzy je wykorzystywali seksualnie. A jak dowodzą niezliczone tragiczne przypadki, w tym momencie psychika dzieci często już jest zwyrodniała.

Niezależnie od wszystkiego takie sytuacje mnie frustrowały. Czemu postępy nie dokonywały się liniowo? Robiliśmy krok naprzód i w chwili, gdy już myślałam, że nam się udało, coś boleśnie mi przypominało, że przed nami jeszcze daleka droga. Z każdym mijającym tygodniem coraz bardziej się martwiłam, czy w ogóle uda się znaleźć dla tego rodzeństwa nowe domy. Potencjalni opiekunowie musieli być przekonani, że sprostają problemom wychowawczym. Dla nas takie wyzwania oczywiście nie były żadną nowością, bo nasze zadanie polegało w końcu na opiece nad „trudnymi” dziećmi, ale większość rodziców zastępczych ani nie chciała tego robić, ani nie miała w tym doświadczenia.

- Mylisz się - powiedział Mike, podając mi upragnioną dawkę kofeiny. - Problem w tym, że tak się koncentrujesz na szczegółach, że nie dostrzegasz najważniejszego. Dokonałaś prawdziwych cudów. Istnych czarów. Tylko że jesteś zbyt zaangażowana w cały proces, aby móc to dostrzec. Wzięłaś na swoje barki dwoje poharatanych dzieciaków i powoli, ale wytrwale składasz je do kupy. Przestań więc się dołować, kochanie. Bo odwalasz kawał porządnej, wspaniałej roboty.

Ja nie miałam takiego wrażenia, ale miło to było usłyszeć, zwłaszcza że bardzo tego potrzebowałam.

Poza tym więcej naprawdę nie dało się zdziałać. Mogliśmy tylko dalej robić swoje. Przez jakiś czas uczyć te biedne szkraby życia. Potem wypuścimy je spod swoich skrzydeł, ale nigdy nie przestaniemy trzymać za nie kciuków.

Rozdział 22

Podobnie jak w przypadku Bożego Narodzenia, Wielkanoc też minęła niemal przez dzieci niezauważona. Jak zwykle schowaliśmy z Mikiem w ogródku czekoladowe jajka w błyszczących sreberkach, a potem zorganizowaliśmy polowanie na pisanki. Ale tylko nasze dorosłe dzieci plus Levi rzuciły się ochoczo w wir zabawy, co raczej było do przewidzenia.

- Nie mogę w to uwierzyć! - powiedziałam, gdy staliśmy z Mikiem w drzwiach ogrodu zimowego i przyglądaliśmy się, jak dwoje naszych dorosłych dzieci i mały Levi buszują w krzakach, jakby ich coś opętało. - Sam popatrz. Dwudziestolatek i dwudziestodwulatka, a zachowują się jak ośmio - czy dziewięciolatki. A ci... - Wskazałam na Olivię i Ashtona, którzy stali z oszołomionymi minami. - Niezależnie od tego, ile posępnych informacji przekazują nam o tej rodzinie pracownicy socjalni, wciąż nie mieści mi się w głowie, że to wszystko jest dla tych dzieciaków zupełnie obce! Przecież w okresie wielkanocnym musieli chodzić do sklepu. Musieli oglądać telewizję. Musieli robić w szkole kartki świąteczne!

Mike się zadumał.

- Wiesz co, Casey? Im dłużej nad tym myślę, tym bardziej sędzę, że miałaś rację. Zgadza się. Chodzili do szkoły, ale nic poza tym. Zastanawiam się, czy przypadkiem naprawdę nie byli więźniami we własnym domu. Bo jeśli ktoś regularnie wykorzystuje seksualnie wszystkie dzieci w swojej rodzinie, to przecież nie chce ich spuszczać z oka, woli, żeby nie miały z kimkolwiek z zewnątrz kontaktu, bo a nuż coś im się wymyśli. Dużo lepiej trzymać je pod kluczem, zgadza się?

Przypatrywałam się Ashtonowi i Olivii, którzy usiłowali przyłączyć się do zabawy. Niestety podejrzewałam, że Mike się nie myli.

Ale przeszłość mieliśmy już na szczęście za sobą. Semestr letni trwał w najlepsze, a dłuższe dni i upragnione słońce pomagały mi skupić się na chwili obecnej. Kiedy więc zadzwonił doktor Shackleton, i poinformował że właśnie otrzymał raport od psychologa, poczułam świeży przypływ optymizmu i zapału.

Ustaliłam, że spotkam się z nimi zaraz następnego dnia, a gdy tylko odłożyłam słuchawkę, telefon znów zabrzęczał. Tym razem to Anna. Z porażającą nowiną.

- Cześć - przywitała się radośnie. - Mam fantastyczną wiadomość!

- Zdecydowanie miła odmiana - powiedziałam ciekawa, co to za rewelacja. - Zamieniam się w słuch.

- Chyba znaleźliśmy rodzinę dla Olivii!

Poczułam się tak, jakby ktoś z dużej wysokości wrzucił mi do żołądka kamień. Byłam zdruzgotana. A jednocześnie w szoku, że jestem zdruzgotana. Cały czas wierciłam Annie dziurę w brzuchu, żeby intensywnie szukali rodzin dla Ashtona i Olivii, a gdy wreszcie się udało, to jakbym dostała obuchem w głowę. Przez chwilę nic nie mówiłam. Nawet z trudem oddychałam.

- Na pewno? - wykrztusiłam w końcu. Naprawdę liczyłam, że powie: „Nie, tylko żartowałam”?

- Oczywiście nie ma jeszcze stuprocentowej pewności - świergotała Anna. - Potencjalni rodzice muszą najpierw poznać Oliwię osobiście, zanim podejmą ostateczną decyzję. Najpierw wpadnę do ciebie i ci o nich opowiem, potem Olivia się z nimi spotka i... Casey, coś nie tak? Nie jesteś zadowolona. Myślałam, że będziesz skakała z radości!

Zdażyłam zaprzyjaźnić się z Anną. Nasze kontakty zawodowe miały z założenia trwać nie dłużej niż kilka tygodni, ale koniec końców okazało się, że minęło prawie dziewięć miesięcy. W tym czasie, choć dogadywanie się z opieką społeczną bywało frustrujące, nabrałam pewności, że Anna jest równie zaangażowana w pomoc maluchom jak my, że nie są dla niej tylko jedną z wielu spraw do załatwienia. Że związała się emocjonalnie z Oliwią i Ashtonem. I że zdaje sobie sprawę, jak mocno ja się z nimi związałam. Więc czemu tak się dziwi, że zamurowało mnie, gdy usłyszałam jej radosną wiadomość? Jakby to było takie proste. Jakby mogło mi ot, tak przestać na nich zależeć. Pstryk, iskierka zgasła.

Ale zaraz uznałam, że jestem niesprawiedliwa. Zadanie Anny polegało na czymś zupełnie innym niż nasze. Ona nie mogła pozwalać sobie na czułości - a przynajmniej nie aż tak jak ja. Musiała obiektywnie ocenić sytuację rodziny, do której ją kierowano, a następnie podjąć działania słuszne z punktu widzenia interesu dziecka lub dzieci. Potem zaś powinna wyszukać dzieciakom opiekunów. Nie mieszkała z podopiecznymi ani na co dzień się nimi nie zajmowała. Miała tylko umożliwić im sprawne przechodzenie przez kolejne etapy systemu opieki społecznej - równie ważna praca jak moja czy innych rodziców zastępczych. Poza tym Anna była młoda. Nie dorobiła się jeszcze własnych pociech. Nie знаła więc siły instynktu macierzyńskiego. Nie zdawała sobie sprawy z istnienia miłości, która rodzi się samoistnie.

Nie, nie wolno mi jej oceniać. Cieszyła się, bo znalazła dla dziewczynki stałą opiekę, a ja z czasem też będę zadowolona. Dla dobra dzieci należało je umieścić w bezpiecznych, stabilnych domach, z dala od wyniszczającej rodziny.

- Pewnie, że się cieszę - wymamrotałam. - Tylko mnie zaskoczyłaś. Sama rozumiesz,

czekałam tak długo, a gdy wreszcie doszło co do czego, wydaje mi się, że tęsknota za nią mnie zeżre.

- Biedactwo - powiedziała współczująco. - Musi ci być ciężko się z nimi rozstać. Naprawdę cię podziwiam, że potrafisz sobie z tym radzić.

Koniec dyskusji na ten temat i dobrze. Rozstajemy się z dziećmi, bo taka jest kolej rzeczy. Dokładnie to samo przeżywałam z Justinem. Miałam za sobą wiele nieprzespanych nocy, kiedy to zastanawiałam się, czy powinniśmy go zatrzymać na stałe. Ale nie na tym mi zależało, gdy postanowiłam się zająć specjalistyczną opieką zastępczą. Podjęłam taką, a nie inną decyzję, bo całym sercem wierzyłam, że możemy pomóc wielu dzieciom. Że możemy przyjąć do siebie starsze dzieci, które borykały się z mnóstwem bardzo poważnych problemów i którym całkiem brakowało miłości, a następnie posłać je w dalszą drogę z nadzieją, że udało im się wyjść na prostą na tyle, by mieć szansę na szczęście w dorosłym życiu.

Powiedziałam sobie na głos: „Weź się w garść, Casey. Powinnaś przecież wiedzieć, że będzie ci ciężko. Nie bądź niemądra”.

Oczywiście powiedzieć sobie: głowa do góry, to jedno, a powstrzymać napływ uczuć to zupełnie co innego. Poza tym czas odgrywał tu zasadniczą rolę. Gdyby Ashton i Olivia trafili do nowego domu po kilku tygodniach, jak nam obiecywano, to nie byłabym rzecz jasna w takiej rozsypce. Spokojnie mogę zapewnić, że wtedy przyjąłabym to z dużą ulgą. Wspólne życie na początku przypominało prawdziwy koszmar, niezależnie od przyjętego punktu odniesienia, i wyłącznie poczucie zawodowej odpowiedzialności (i powiedzmy sobie otwarcie: kto inny miałby ich wziąć?) nie pozwoliło nam zażądać przeniesienia tego rodzeństwa gdzie indziej.

Ale przez blisko rok ta dwójka stała się ogromnie ważną częścią mojego życia. Byliśmy praktycznie nierozłączni. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak wtedy gdy moje dzieciaki miały po kilka lat: człowiek żył ich życiem, dostosowywał do nich swoje zwyczaje. Oczywiście Ashton i Olivia nie byli moimi rodzonymi dziećmi, ale pokochałam ich całym sercem. Więc owszem, nie będzie mi łatwo.

- No już, kochanie, nie rozpaczaj - szepnął następnego dnia Mike.

Nadchodził świt, a ja nie spałam prawie całą noc. Leżałam tylko i szlochałam. Nie mogłam przestać myśleć ojeszcze jednej przerażająco smutnej rzeczy. Ashton. Mój biedny, mały Ashton. Jak się upora ze świadomością, że jego siostra znalazła dom, a jego nikt nie chce? Bo Anna powiedziała jasno. Cisza na horyzoncie. Wiecznie to samo. Był starszy, co samo w sobie utrudniało sprawę, a na dodatek - chłopiec, co jeszcze bardziej komplikowało

sytuację. Stereotypowe myślenie o chłopcach - przekonanie, że sprawiają zazwyczaj dużo więcej kłopotów wychowawczych niż dziewczynki - najwyraźniej tkwiło mocno utrwalone w psychice.

A przecież jeszcze im nie powiedzieliśmy, że zostaną rozdzieleni. Świadomość, że muszę to zrobić, napawała mnie przerażeniem.

- Przepraszam, kochanie - załkałam. - Nie jestem w stanie się opanować. Ciągle myślę o Ashtonie. Jak on, biedny, się poczuje?

- Ale musisz się uspokoić - odpowiedział Mike wciąż jeszcze przyciszonym, ale już stanowczym głosem. - Jeśli dzieci usłyszą, że płaczesz, wpadną w histerię, i to tylko utrudni sprawę. Wszystko się jakoś ułoży. Przecież wiesz. Weź się w garść. Minie jeszcze parę tygodni, zanim Olivia się wyprowadzi. Doskonale się orientujesz, w jakim tempie są załatwiane formalności. A jeśli przez cały ten czas będziesz ponura, przygnębiona i zapłakana, niepotrzebnie ich tylko przestraszysz.

- Tak. Oczywiście. Wezmę się w garść, obiecuję. Ale musiałam się wypłakać.

Przytulił mnie mocniej.

- Właśnie widzę - stwierdził. - Patrz! Moja poduszka jest całkiem mokra!

Płacz ewidentnie pomógł, bo wstałam w zdecydowanie lepszym humorze. A skoro wrócił mi już mój zwykły optymistyczny i radosny nastrój - i chwała Bogu! - mogłam zacząć sumować w myślach wszystkie dobre strony sytuacji.

Pierwsze w kolejności było spotkanie z doktorem Shackletonem. Omówił ze mną wiele problemów natury psychologicznej. Części z nich nie potrafiłam nawet zrozumieć, ale teraz to nie miało znaczenia, bo dzieci itak trafią do terapeutów, gdy oswoją się już z nowym życiem.

Z mojego punktu widzenia najważniejsze okazało się to, że u Olivii zdiagnozowano dyspraksję. Dyspraksja, choć powiązana z dysleksją, stanowiła odrębne zaburzenie, a gdy doktor Shackleton zaczął przedstawiać mi symptomy, natychmiast rozpoznałam je u Olivii. Miałam wręcz wrażenie, że lista objawów to wiemy opis mojej podopiecznej. W końcu coś konkretnego.

- Naturalnie przekłada się to na wyniki w szkole - wyjaśnił doktor. - Przyjdzie do was z wizytą terapeutka zajęciowa i skontaktuje się też bezpośrednio z podstawówką, do której chodzi Olivia. Upewni się, że wiedzą, z czym mają do czynienia i że zapewnią dziewczynce odpowiednie wsparcie.

Choć jeśli wszystko dobrze się ułoży, mała już długo do tej szkoły nie pochodzi.

Optymizm optymizmem, ale gdy w następnym poniedziałek przed dom zajechał

samochód, którym Anna przywiozła kandydatów na rodziców zastępczych, i tak patrzyłam na nich bykiem, jak obrażona nastolatka.

Jednak wszelkie moje obawy rozwiały się w jednej chwili.

Mick i Sandie byli uroczym bezdzietnym małżeństwem po czterdziestce. Mieszkali niecałe pięćdziesiąt kilometrów od nas. Zajmowali się opieką zastępczą od piętnastu lat i wyglądało na to, że mają dużo do zaoferowania. Pogodni, energiczni ludzie. A co najlepsze, prowadzili farmę z końmi i innymi zwierzętami hodowlanymi. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić życie Olivii pod ich dachem. Przed oczami pojawiła mi się scena rodem z książek Enid Blyton: mnóstwo lemoniady, drzew do wspinania, stokrotek do plecenia wianków, kucyków do nauki jazdy. Niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Mick i Sandie musieli jednak bezwzględnie dowiedzieć się o każdym najdrobniejszym szczególe. Zbyt wielu rodziców zastępczych odsyłało podopiecznych z powrotem, bo decydowało się na opiekę bez pełnej znajomości sytuacji. Nic dziwnego. Pracownicy socjalni działali pod tak wielką presją, by znaleźć dzieciom domy, że nie można było mieć im tego za złe, że przedstawiali wszystko w zbyt różowych barwach. Zwykle nieświadomie. Ale w tym przypadku tak się nie stanie. Postanowiłam do tego nie dopuścić. Ta para musi być w pełni świadoma, jakie dziecko bierze pod swoje skrzydła.

Mniej więcej tym torem szły moje myśli, gdy szykowałam kawę. Przy okazji przysłuchiwałam się rozmowie Anny z Mickiem i Sandie oraz ich zachwytom nad rysunkami Olivii, które opanowały już nie tylko drzwi od lodówki, ale także znaczną część kuchennej ściany.

Przyniosłam kawę do stołu.

- Olivia uwielbia kolorowanki - powiedziałam. - Jak widzicie, to artystyczna dusza. Naprawdę przekochana dziewczynka. Będę za nią bardzo tęsknić.

Kiwnęli uprzejmie głowami w podziękowaniu za kawę. Mick, wysoki i rumiany, najwyraźniej większość czasu spędzał na powietrzu. Sandie, szczupła i wiotka, wyglądała na osobę pogodną i zorganizowaną. Miałam pewność, że moja podopieczna znajdzie się w dobrych rękach. Poza tym miała blond włosy w podobnym odcieniu co Olivia.

Ichoć oczywiście to nie odgrywało żadnej roli - a wręcz nie najlepiej świadczyło o moim zdrowiu psychicznym - dla mnie podobieństwo wizualne też przemawiało na plus.

- Ale - podkreśliłam, gdy wyczerpałam już długą listę przemyślanych zawczasu pozytywów - chciałabym wam też uświadomić, z czym mogą być problemy. - Zauważyłam, że na te słowa Anna zeszywniała, ale postanowiłam nie zwracać na nią uwagi. - Olivia regularnie moczy się w nocy. Czasem sika też w majtki w ciągu dnia.

Sandie uśmiechnęła się do mnie.

- Już to przerabialiśmy! - skwitowała pogodnie. - Jeden maluch prawie nie wykończył mi pralki. Prałam pościel rano, we dnie i w nocy!

- Kupa też jej się zdarza - dodałam. - Na szczęście już niezbyt często, ale to wciąż pewien kłopot. Zwłaszcza gdy się mocno czymś zestresuje lub zdenerwuje. - Wzięłam głęboki wdech. -1 robi nie tylko w majtki. - Wyjaśniłam następnie, że był to jej sposób odreagowywania emocji, a co za tym idzie, kupy pojawiały się w najmniej spodziewanych miejscach. Wspomniałam o kubie na śmieci w sypialni. Wyraźnie zbledli, ale szybko się otrząsnęli.

- Mimo to chyba zrobiła dzięki tobie ogromne postępy - zauważył Mick. - Z tego, co w samochodzie mówiła Anna, i z tego, co przeczytaliśmy wcześniej w dokumentach, była niemal zdziczała.

Pokiwałam głową.

- I Ashton, i Olivia bardzo się zmienili na lepsze - potwierdziła Anna. - Taka przemiana...

- Ale jest jeszcze mnóstwo pracy - zaznaczyłam z mocą. - Jak zapewne wiecie z dokumentacji, zachodzi duże prawdopodobieństwo, że od najmłodszych lat Olivia była wykorzystywana seksualnie. Nadal więc przejawia skłonność do różnych dewiacyjnych zachowań, choć jak twierdzi Anna, w znacznie mniejszym stopniu niż kiedyś. Na pewno jednak zdajecie sobie sprawę, że takie zachowania nie znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Choć tą akurat kwestią zajmie się CAMHS - wtrąciła Anna. - Po przeprowadzce Olivia od razu rozpocznie regularną terapię.

- Ma też różne obsesje. Pojawiają się i znikają, ale to również konsekwencja traumy przeżytej we wczesnym dzieciństwie. Śmierć, katastrofy, ogień. Tego typu rzeczy - ciągnęłam uparcie.

- Cóż... - westchnął Mick. - Mamy o czym myśleć, prawda? - Spojrzał na żonę, a ta zgodziła się z nim kiwnięciem głowy, ale coś w wyrazie jej twarzy powiedziało mi, że ona już myślała, i to nie tylko: „O Boże, co za koszmar!”

Pojechali więc myśleć. Tydzień włókł się niemiłosiernie, a oczekiwanie na ich decyzję ciągnęło się w nieskończoność. Choć Anna nie wyraziła tego wprost, wiedziałam, że uważa, iż sama będę sobie winna, jeśli się rozmyślą. Bardzo chciałam, żeby możliwie dobrze poznali Olivię i na tej podstawie podjęli w miarę pewną decyzję - w przeciwnym razie mała mogłaby przeżyć kolejną traumę. Zrobiłam więc to, co uznawałam za słuszne. I o ile ciężko mi było

pogodzić się z myślą, że muszę się z nią rozstać, to w ogóle nie darowałabym sobie, gdybym wyprawiła ją do nowego domu, po czym wszystko by się zawaliło.

Czułam, że bardzo będę za nią tęsknić. Zdumiewające, ale szkoła zdążyła już wdrożyć dla niej nowy program pomocy w nauce. Chyba jeszcze nigdy nie widziałam Olivii tak podekscytowanej zajęciami szkolnymi.

- Boże, Livs, weź się w końcu przyznaj, dobra? - mruknął marudnie Ashton, gdy w następnym wtorek odebrałam ich po lekcjach.

- To ty się przyznaj - odgryzła się i na jednym wydechu wróciła do opowieści o wszystkim, co robiła dziś w szkole.

W tym momencie przypomniało mi się, jak różną ilość słów wypowiadają chłopcy i dziewczynki. Dokładnie tak samo było z moją dwójką. Monosylaby i burknięcia z ust Kierona - „Naprawdę muszę ci mówić, mam, co robiłem?” - i nieustająca paplanina Reily. Nic się pod tym względem nie zmieniło.

- I mam gdzie indziej matematykę! - zaświergotała Olivia. - I mam dodatkowe zajęcia! I zabrała mnie z klasy specjalna pani nauczycielka. Usiadła ze mną i mi wszystko wytłumaczyła. I dobrze mi poszło. Powiedziała, że z zeszytu zniknie wreszcie ten straszny rozgardiasz.

- Rozgardiasz - poprawiłam ze śmiechem.

- Rozgardiasz! - powtórzył za mną Ashton.

- Nie, nie, powiedziała „rozgardiasz”. Co to w ogóle jest „rozgardiasz”? Nieważne, ale na pewno go miałam. - Uśmiechnęła się do mnie szeroko. - A teraz już nie będę miała!

Nagle przygarnęłam oboje do siebie i mocno przytuliłam. Tak mocno, że omal ich nie udusiłam.

Rozdział 23

Anna zadzwoniła trochę ponad tydzień później.

- No dobra, piłka w grze - oznajmiła. - Przynajmniej do następnego etapu.

- Cudownie. - Odetchnęłam z ulgą. Choć bałam się dnia, w którym przyjdzie nam pożegnać się z Olivią, nie wybaczyłabym sobie, gdyby moje bezlitosne wykładanie kawy na ławę odstraszyło Micka i Sandie i skłoniło ich do zmiany decyzji.

- Jasne - przyznała Anna. - Fantastyczna wiadomość, co? I na dodatek chcą iść za ciosem, więc co planujesz na najbliższą sobotę? - Kuć żelazo, póki gorące, pomyślałam. - Masz czas?

- Oczywiście. Muszę się tylko dowiedzieć, czy Riley da radę popilnować Ashtona.

- Nie, jego też zabierzcie. Mick i Sandie się zgodzili. Wyjaśniłam im, jak wygląda sprawa, a poza tym wydaje mi się, że w ten sposób wzbudzimy mniej podejrzeń.

- Poza tym kto wie? Może tak go polubią, że zechcą wziąć i jego! - powiedziałam z przebłyskiem nadziei.

Anna milczała przez chwilę i nie bez powodu. Przecież znałam ustalenia, prawda? Dzieci miały zostać rozdzielone głównie dla własnego dobra. Ty idiotko, zbeształam sama siebie. Co ty wygadujesz?

- Nie słuchaj mnie - dodałam szybko, zanim Anna zdążyła przywołać mnie do porządku. - Tak się tylko rozmarzyłam. A skoro już o tym mowa, coś się ruszyło?

Usłyszałam westchnienie.

- Niestety nie.

Postanowiliśmy powiedzieć dzieciom, że wizyta u Micka i Sandie to zwyczajna rzecz wśród opiekunów zastępczych. Chcemy ich po prostu poznać, porozmawiać o sprawach związanych z opieką i obejrzeć ich dom, bo wizyta służyła także zapoznaniu Olivii z nowym miejscem.

Zwykle na tej, lub przynajmniej zbliżonej, zasadzie to się odbywało, bo nie było żadnej gwarancji, niezależnie od tego, jak bardzo szczegółowo opisano by dziecko, że przypadnie ono rodzicom zastępczym do gustu, a musiało przypaść obojgu. Natomiast wielokrotny „casting” mógł okazać się dla psychiki małego człowieka bardzo szkodliwy.

Co zaskakujące, Ashton i Olivia dali się na to nabrać, pewnie dlatego, że sami mieli tak ubogie doświadczenia życiowe i wierzyli w zasadzie we wszystko, co im mówimy.

A skoro nie widzieli żadnego powodu do obaw, oboje zachowywali się w ten

bezchmurny letni poranek najzupełniej normalnie.

- Chcesz zamieszkać na wsi? - spytała Olivia Mike'a, gdy zostawiliśmy już miasto za sobą i wjechaliśmy pomiędzy zielone pola.

- Nigdy nie wiadomo - odparł. - Na wsi jest bardzo przyjemnie. Świeże powietrze, dużo przestrzeni dla dzieci i...

- Smród! - dokończył Ashton, który uchylił okno i wciągnął w płuca typowy wiejski zapach kiszonki dla zwierząt albo obornika, albo obu tych rzeczy naraz. - Fuuuj! - skrzywił się, patrząc na Mike'a. - Obrzydlistwo!

Ponieważ Ashton zawsze trochę cierpiał na chorobę lokomocyjną, pozwoliłam mu usiąść z przodu, a sama usiadłam z Olivią z tyłu.

- I zwierzaki! - wtrąciła się teraz podekscytowana. - Uwielbiam zwierzaki! Jak będę duża, kupię sobie kucyka.

- Mick i Sandie, do których jedziemy, mają kucyki - powiedziałam. - 1 konie. I krowy, i owce.

- Mają owieczki, Pol! Bee! - zaświergotała Olivia do swojej lalki i podniosła ją wysoko, żeby Polly mogła lepiej widzieć rozciągające się za oknem pola, drzewa i żywopłoty.

Zerknęłam na Olivię: świeżo umyte włosy, ładna sukienka, uśmiechnięta buzia. Jak można jej nie pokochać? Ale na wszelki wypadek trzymałam kciuki.

Cieszyłam się jednak, że tak przezornie przygotowałam grunt, bo nie minęła chwila od naszego przyjazdu, a Olivia, jakby chciała niemal wystawić Micka i Sandie na próbę, z nadmiaru emocji na widok najprawdziwszego kucyka na farmie, zsiusiała się w majtki. I od razu miałam przeczucie, że mała znajdzie tu dom, bo Sandie zareagowała równie szybko, jak serdecznie.

- Nie przejmuj się, kotku - powiedziała Olivii, która stała w utworzonej przez siebie kałuży czerwona jak burak. - Naszemu Toffikowi cały czas zdarzają się takie rzeczy, prawda Toffi? - Pogłaskała kucyka po chrapach, po czym nachyliła się do Olivii i szepnęła. - A uwierz mi, że jak kucyk się zsiusia, nie da się tego nie zauważyć. W zeszłym tygodniu przemoczył mi dżinsy do suchej nitki, serio!

Oczywiście wzięłam ze sobą ubrania na zmianę. To był już u mnie odruch. A gdy poszłam z Olivią do domu, żeby pomóc jej się przebrać, jeszcze bardziej utwierdziłam się w swoich dobrych przeczuciach. W środku było pełno zdjęć dzieci. Na ścianach wisiały też obrazki namalowane z uczuciem dziecięcą rączką i kolaże wykonane na najróżniejszych płaskich przedmiotach - najwyraźniej też dziecięce rękodzieło. Tu samodzielnie wykonana kartka wielkanocna, tam koń z modeliny. Cały dom stanowił istny skarbiec dzieł sztuki i

wspomnień. I choć, co oczywiste w moim przypadku, w pierwszej chwili pomyślałam o sprzątanii, w następnej pojawiła się myśl, że w tym domu jest dobra energia.

Choć Ashton, w przeciwieństwie do swojej siostry, raczej by się ze mną nie zgodził.

- Ten pan śmierdzi kupą - szepnął, krzywiąc się, gdy Mick oprowadzał nas po farmie.

Nie znałam się ani na gospodarstwach, ani na rolnictwie, ale farma Micka i Sandie zrobiła na mnie pozytywne wrażenie. Podobnie jak mała stadnina, w której uczyli miejscowe brzdące jeździć konno, łąka pełna owiec i druga z krowami, a także najróżniejsze ptactwo.

Kury i gęsi biegały swobodnie po całym podwórzu. Jak na moje niewprawne oko, ten skąpany w słońcu obraz wyglądał sielankowo.

- To nie on - odpowiedziałam szeptem. - Tylko jego buty.

- Co za różnica. Śmierdzi - zawyrokował Ashton. Farma najwyraźniej nie robiła na nim najmniejszego wrażenia.

Ale choć w duchu cieszyłam się z jego nowo nabytej wrażliwości na kwestie związane z czystością, było dla mnie jasne, że wizyta w ogóle go nie ciekawi. Zastanawiałam się, czy czegoś się domyśla. Wyczuł, że coś jest na rzeczy? Zorientował się, jak dużo uwagi Mick i Sandie poświęcają Olivii? Nie, żeby celowo ją wyróżniali. Próbowali i jego włączać do rozmowy, gdy wreszcie usiedliśmy i zaczęliśmy gawędzić o tym, jak to jest żyć w takim miejscu. Ashton jednak ani trochę nie miał ochoty się integrować i przez resztę wizyty siedział na parapecie i gapił się przez okno.

Ale ku mojej wielkiej radości i Ashton, i Olivia zachowywali się bez zarzutu. Tak mnie to cieszyło, jakby byli moimi rodzonymi dziećmi.

Na Sandie to też zrobiło wrażenie.

- Musisz być z nich bardzo dumna - powiedziała i uściśniła mi rękę na pożegnanie. - Po tym wszystkim, co przeczytaliśmy i co sama nam opowiedziałaś, ciężko w zasadzie uwierzyć, że to te same dzieci.

Po chwili namysłu musiałam przyznać, że faktycznie ma rację.

Mimo to dwa dni, które minęły od wizyty na farmie do telefonu Anny, ciągnęły się bez końca. Mając przedsmak tego, jak może żyć Olivia, jeśli Mick i Sandie zechcą ją do siebie wziąć, bałam się, co będzie, jeśli jednak się na to nie zdecydują.

Ulżyło mi więc, gdy Anna zadzwoniła i potwierdziła to, na co liczyłam: Mick i Sandie zgodzili się zostać nowymi opiekunami Olivii, a nawet więcej - chcą zatrzymać ją na stałe. Krzyknęłam z radości, słysząc tak wspaniałe wieści, ale zaraz potem zmarkotniałam.

- A więc najwyższy czas powiedzieć dzieciakom, co je czeka - dodała Anna. - Czym z przyjemnością zajmę się osobiście.

To standardowa procedura. Gdy podopieczny ma opuścić dotychczasową rodzinę zastępczą, zwykle informuje go o tym pracownik socjalny. Dzięki temu pomaga dziecku oswoić się z tą wiadomością, a jednocześnie daje do zrozumienia, że to nie jest wyłącznie decyzja obecnych opiekunów zastępczych. Krótko mówiąc, chodzi o to, żeby dziecko nie dostało takiego przekazu: kochamy cię, ale nie na tyle mocno, żebyś mógł u nas zostać. Lepiej uciec się do białego kłamstwa, niż jeszcze bardziej podkopywać poczucie wartości dzieciaka.

Ale niezależnie od tego, kto w naszym przypadku przekaże tę wiadomość, miałam silne przekonanie, że to nie jest najlepszy moment. I to właśnie powiedziałam Annie:

- Uważam po prostu, że powinniśmy się jeszcze wstrzymać. Bo na razie mamy dom dla Olivii, ale dla Ashtona nie, więc uważam, że należy poczekać.

- Ale dzieci muszą się dowiedzieć - odparła spokojnie, ale stanowczo. - Żeby mogły się przygotować psychicznie. Wiem, że to nie będzie łatwe, Casey, ale nie możemy odkładać tego w nieskończoność. Poza tym to ja im o tym powiem, więc nie...

- Nie w tym rzecz, kto to robi. Chodzi o Ashtona i o to, jak podziela na niego ta nowina. Już wystarczająco trudno będzie mu pogodzić się z faktem, że musi rozstać się z siostrą, a co dopiero z tym, że ona ma dom, ale jego nikt nie chce. Moim zdaniem powinniśmy zostawić tę rozmowę na ostatnią chwilę. Zwlekać z nią jak najdłużej. Zgódź się, proszę.

Anna zgodziła się, choć niechętnie, bo według niej to miało się z celem. Sądziła, że skoro dla Ashtona nic nie pojawiło się na horyzoncie, tego typu mactwa tylko zaszkodzą sprawie. Mick i Sandie byli gotowi wziąć Olivię do siebie od zaraz, a zdaniem Anny im szybciej dzieci dowiedzą się, co je czeka, tym więcej zyskają czasu, żeby się z tym oswoić. Okazało się jednak, że dobrze zrobiłam, prosząc o zwłokę, bo po tygodniu Anna znów zadzwoniła: w końcu z dobrymi wieściami. Kolejna para, Kerry i Ian, oboje po trzydziestce, wyraziła chęć opieki nad Ashtonem. Mieszkali tylko piętnaście kilometrów od nas.

Naprawdę odnosiłam wrażenie, że Bóg odpowiedział na moje ciche modlitwy. Kerry i Ian byli dotąd zajęci, bo mieli pod opieką chłopca mniej więcej w wieku Ashtona, ale niespodziewanie zjawiała się jego ciotka, która wcześniej pracowała za granicą. Teraz wróciła i chciała wziąć siostrzeńca do siebie. Załatwianie formalności zajęło mnóstwo czasu, a dopóki sprawa nie została dopięta na ostatni guzik, nikt nie wspominał o nowej możliwości, na wypadek gdyby przenosiny dotychczasowego podopiecznego nie doszły do skutku.

Ale doszły, a w życiu Kerry i Iana nagle zabrakło chłopięcego pierwiastka. Podobnie jak Mick i Sandie, oni też byli doświadczonymi opiekunami.

Zatem dwa tygodnie później znów jechaliśmy „obejrzyć dom” kolejnej rodziny zastępczej.

- Wiesz co, Casey? Ty jesteś trochę wścibska - stwierdziła Olivia, która znów siedziała ze mną z tyłu, choć tym razem podróż miała być krótsza. - Mike, musisz jej coś powiedzieć... - Spojrzała na mojego męża w lusterku wstecznym. - Nieładnie tak myszkować po domach innych ludzi.

Mając w pamięci obojętność Ashtona podczas wizyty u Micka i Sandie, tym razem usilnie starałam się włączać go do rozmowy i zainteresować odwiedzinami, łan też co i rusz gdzieś go odciągał: a to żeby pokazać mu psa, a to żeby zobaczył ogródek, a to wreszcie, by pogadał z chłopakami, którzy bawili się w coś na ulicy, gdy przyjechalśmy, i najwyraźniej dobrze znali łana i Kerry - podobnie jak ich wcześniejszego podopiecznego.

Nasze wysiłki nie przeszły bez echa.

- Mike? Ten pan i ta pani chcą nas wziąć, prawda? - spytał Ashton w krótkiej drodze do domu.

Mike spojrzał mi szybko w oczy w lusterku wstecznym, a zaraz potem zerknął na Oliwię.

Odwróciłam się do niej. Znieruchomiała, a mnie na chwilę zatkało. Nie byłam gotowa na rozmowę, ale chyba nie miałam wyjścia. Wzięłam małą za rękę, ale mówiłam głównie do Ashtona. Patrzył na mnie przez ramię z pytaniem w oczach.

- Ciekawa sprawa - zaczęłam ostrożnie. - Bo oni faktycznie są opiekunami zastępczymi i nie mają teraz żadnych dzieci. A co? - dodałam lekko. - Polubiłeś ich?

Ashton zerknął na Oliwię, która wyraźnie czekała na jego odpowiedź. Wzruszył ramionami.

- Łan jest fajny. - Odwrócił się przodem do kierunku jazdy.

- W takim razie zobaczymy - rzuciłam pogodnie.

I na tym na razie stanęło, jakby drogą milczącego porozumienia. Nie poruszyłam już więcej tego tematu i żadne z dzieci też do niego nie wróciło. Nagle odniosłam wrażenie, jakby znów zamienili się w dwa przerażone maluchy: jeśli zakryją rączkami oczy, nic nie będą widzieć. A jeśli nie będą czegoś widzieć, to oczywiście znaczy, że to coś nie istnieje.

Na szczęście okres oczekiwania i tym razem był krótki. Po trzech dniach łan i Kerry przekazali opiece społecznej informację, że zdecydowali się wziąć Ashtona.

- Niesamowite, co? - powiedziałam Mike'owi, gdy przyjechalśmy wieczorem do domu. - Tyle czekania, a tu tacy ludzie! Idealni dla Asha. Musieli tylko zwolnić moce przerobowe, żeby móc go do siebie wziąć. Chyba od początku tak miało być, nie sądzisz? -

Podalam mu kawę.

- Dzięki, kochanie. Kto wie? - odparł, popijając. - Tak czy siak, cieszę się, że problem już z głowy. - Zmarszczył czoło. - W takim razie wybiła godzina zero, co?

Pokiwałam głową.

- Po kolacji wpadnie Anna. Około ósmej. Już się boję.

Mike się skrzywił.

- Ja też. Jaki jest plan? Co dokładnie im powie? Chyba powinniśmy wiedzieć, czy mamy jej przytakiwać, czy nie.

- Z tego co się orientuję, nie ma żadnego planu, kochanie. Powie im tylko, że takie są zasady. Pytałam, jak zamierza im wyjaśnić to, że inne rodzeństwa przecież trafiają do jednej rodziny. Swego czasu sama wysunęłam taki argument. Ale przemyślałam sprawę i zaczynam widzieć, że jej rozwiązanie ma sens. Bo jeśli by zacząć wymyślać jakieś bzdury, żeby im to wytłumaczyć, to trzeba by później iść w zaparte, znaleźć sensowne uzasadnienie, prawda? A tak przynajmniej przedstawimy to jako fakt dokonany. Po prostu: takie są zasady i nie możemy ich zmienić. Koniec kropka.

Mike wciąż marszczył brwi, a jego czoło przecinały bruzdy tak głębokie, że dałoby się w nie wetknąć pięciopensówkę.

- Ale to cholerna podłość, cholerna niesprawiedliwość, że to musi się odbyć w ten sposób.

Rozumiałam, co czuje. Sama przez wiele bezsennych godzin żałowałam, że nie można tego załatwić inaczej. Ale dopiero teraz chyba wreszcie zaczęło do mnie docierać dlaczego. Niezależnie od tego, jak bardzo poprawiło się ich zachowanie pod względem seksualnym, pozostawienie ich razem, zwłaszcza biorąc pod uwagę coraz bliższy okres dojrzewania, byłoby jak zamknięcie narkomana w pokoju ze strzykawką pełną heroiny. No może trochę przesadzam. Ale dla dobra dzieci naprawdę należało je rozdzielić. Widać było, że bardzo się kochają, kto da gwarancję, że - mimo ogólnie przyjętych norm społecznych - nie zaczną szukać u siebie nawzajem pocieszenia na poziomie cielesnym, i to w sposób, który tak długo uważali za najzupełniej normalny?

Ostatecznie nie było tak źle. Co chyba powinnam przewidzieć, bo znałam już te dzieciaki wystarczająco dobrze. Oboje wiedzieli, że zmienią dom, więc teraz uzyskali tylko potwierdzenie. I podobnie jak w przypadku Bożego Narodzenia, Wielkanocy i całej reszty nowych dla nich doświadczeń, po prostu chwilę przetrwali usłyszaną wiadomość, a potem jakby wymazali ją z pamięci. Choć wiedziałam, że na tym się nie skończy. Że gdy przyjdzie co do czego, rozpęta się piekło. Ale po wyjściu Anny mieli tylko dwa pytania.

- A będziemy mogli cię odwiedzać? I Mike'a, i Levia? - chciała wiedzieć Olivia.

- Oczywiście! - odpowiedziałam i objęłam jej szczupłe ciało. - Bez dwóch zdań!

Dobry Boże, chyba bym was nie puściła, jeśli nie moglibyście już więcej do nas przyjeżdżać!

Słyszac to, Olivia pogładziła mnie mniej więcej tak, jak głaskała swoje lalki.

- Oj, Casey. Wszystko będzie dobrze. - pocieszała.

- Ale razem? - spytał konkretnie Ashton z poważną miną. - To znaczy, czy będziemy mogli się widywać razem? - dokończył, gdy w pełni dotarło do niego to, co powiedziałam jego siostrze.

- No pewnie - odparłam, zanim zdążyłam ugryźć się w język. Skłamałam się w myślach za to, że się co do tego nie upewniłam. Bo być może zrobiłam coś, czego bardzo nie chciałam: skłamałam.

Rozdział 24

Uzgodniliśmy, że pożegnamy się z dziećmi w dwóch tarach. Ashton pojedzie do lana i Kerry w sobotę, a Olivia do Micka i Sandie w niedzielę - zapowiadał się weekend, którego długo nie zapomnę.

Cztery tygodnie minęły w okamgnieniu. Wcześniej postanowiliśmy bowiem, że dzieci powinny zostać u nas do końca roku szkolnego, by uniknąć dodatkowego zamieszania. W ten sposób będą miały całe wakacje, żeby oswoić się z nowym domem, skoro potem czeka je kolejna zmiana: przenosiny do nowej podstawówki. A skoro pierwszy szok mieliśmy już za sobą, chyba każde z nas podjęło w duchu decyzję, żeby na razie nie zaprzętać sobie tym wszystkim głowy. Nie robiliśmy porządków, nie pakowaliśmy się, nie załatwialiśmy żadnych spraw. I choć dzieciaki odwiedzały jeszcze swoich przyszłych opiekunów - tym razem już bez nas - zachowywaliśmy się tak, jakby nigdy nic.

No prawie. Wkrótce po wielkiej rozmowie do dzieci przyszły paczki. Ich kolejni opiekunowie, podobnie jak my kiedyś, przygotowali dla nich portfolio na temat swoich rodzin. Chodziło o to, żeby Ashton i Olivia mogli lepiej ich poznać. Dzieciaki odpowiadały też na pytania w kwestionariuszach przesłanych przez nowych rodziców zastępczych. Co najbardziej lubią robić? Czego nie lubią? Czy mają ulubione potrawy? Czy na jakieś dania kręcą nosem? Jakie programy telewizyjne oglądają najchętniej? Czy przywiozą ze sobą jakieś wyjątkowe zabawki?

Dzieciaki świetnie się przy tym bawiły, a ja zdałam sobie sprawę, że wszyscy lubimy odpowiadać na pytania dotyczące nas samych. W ten sposób komunikujemy światu, kim jesteśmy, zaznaczamy swój indywidualizm. Mówimy, że jesteśmy wyjątkowi, a co najważniejsze - że jesteśmy kimś ważnym.

Zajęliśmy się też szykowaniem szkatulek ze wspomnieniami. Riley jak zwykle uruchomiła swoje talenty plastyczne.

- Moja musi się błyszczeć - zapowiedziała Olivia pewnego lipcowego ranka, na dwa tygodnie przed wielkim dniem. - Ma być błyszcząca i różowa, tak jak teraz mój pokój. Myślisz, że Mick i Sandie zrobią mi pokój na różowo?

Riley zerknęła na mnie. Skinęłam głową.

- Jasne - zapewniłam. - Bo przecież o to ich prosiłaś w liście, prawda? Właściwie to mogę się założyć - powiedziałam, przerzucając wielki stos kolorowego papieru - że właśnie w tej chwili malują go na różowo.

Siedzący po drugiej stronie stołu Ashton też był zajęty. Riley wyszperała dla dzieciaków dwa solidne pudła po butach, w których wcześniej przechowywaliśmy kozaki. Jego karton okleiliśmy już folią samoprzylepną a la dzins, a Ashton grzebał teraz w poszukiwaniu motywów dekoracyjnych.

- A ty, Ash? - spytała Riley. - Jak ozdobisz swoje pudełko?

Spojrzał na nią. Zaczynał nabierać ciała. Jesienią skończy jedenaście lat i widziałam już, że zamienia się w przystojniaka.

- Chcę, żeby wyglądało jak dzinsy. Z różnymi plakietkami - wyjaśnił i wybrał odbitki ze znajdującego się przed nim stosu.

Przez dobrą godzinę kserowałam dzieciakom różne wzory. Pozwoliłam im też do woli korzystać z moich bogatych zasobów przyborów plastycznych i materiałów do robótek ręcznych.

Ale tak naprawdę najbardziej liczyła się zawartość pudełek. Każde dziecko wzięte pod opiekę zachęcano do stworzenia własnej szkatułki ze wspomnieniami. W przypadku pechowców, którzy musieli wielokrotnie zmieniać opiekunów, takie szkatułki zapewniały im poczucie, że i oni mają co zapamiętać z dzieciństwa. W przeciwnym razie takiego poczucia mogłoby zabraknąć. Dobre wspomnienia w materialnej formie - bo zawsze chodziło o wydobywanie tych dobrych - przy odrobinie szczęścia choć trochę równoważyły te złe, których niestety nie brakowało w życiu tych dzieciaków. Na wspomnienie oszkatułce Justina do dziś ścisnęło mnie za gardło. Gdy się u nas zjawił, był już prawdziwym weteranem i miał za sobą dwadzieścia nieudanych pobytów w różnych placówkach. Tułał się od rodziny zastępczej do domu dziecka, i tak w kółko. Kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy jego szkatułkę - wraz z zawartością - wyglądała tak, jakby przewędrowała świat z Filesem Foggiem.

Ale w przypadku tej dwójki, skoro ich doświadczenie z systemem opieki zastępczej ograniczało się tylko do kontaktu z nami, mieliśmy zaszczyt być współtwórcami ich szkatulek. Mocno trzymałam kciuki, aby te pudełka, które rozpoczną swoją podróż u nas, zakończyły ją u Micka i Sandie oraz Iana i Kerry. Oczywiście nikt nie mógł tego zagwarantować - czasem przenosiny okazywały się konieczne. Takie życie, trzeba się z tym pogodzić. Ale jeśli mój wrodzony optymizm mógł na coś wpłynąć, to bardzo chciałam, aby wpłynąć akurat na to.

Właśnie te dwa pudełka pierwsze rzuciły mi się w oczy w sobotni rano. Gdy już je zrobiliśmy i wysuszyliśmy, zaczęliśmy wspólnie je wypełniać. Zamieniliśmy to w małe rodzinne święto - w niedzielę dwa tygodnie temu po kolacji. Specjalnie zaprosiłam do nas

nasze dzieci, więc wokół stołu w jadalni zrobiło się dosyć tłoczno. Przyjechali Kieron z Lauren, Riley, David, Levi i Jackson. Kieron przebrał nawet niezwykle cierpliwego Boba w jakiś pocieszny kostium i pstryknął mu kilka wariackich fotek, które potem zgrał na laptopa i wydrukował, żeby wsadzić do pudełek.

Postać z powieści Juliusza Veme'a *W osiemdziesiąt dni dookoła świata* (przyp. tłum.).

Ja też nie próżnowałam. Ponieważ zawsze wiedziałam, jaką rolę odgrywamy w życiu tych dzieci, nieustannie pamiętałam o przyszłych szkatułkach. Przechowywałam więc najróżniejsze drobiazgi, które przypominałyby dzieciakom o wspólnie spędzonych chwilach. Ładne muszelki zebrane nad morzem w Walii, drewnienka wyrzucone na brzeg, kilka szczególnie pięknych kamyków... W przypadku Ashtona darowałam sobie jednak zdjęcia z teletubisiowego przyjęcia.

Gdy wyjmowałam te wszystkie skarby z bezpiecznego schowka na lodówce, do oczu napłynęły mi łzy. Wrzuciłam do pudełek jeszcze kilka innych drobiazgów. Olivii dałam nowiutki zestaw ubranek dla ostatniej ulubionej Polly - poprosiłam mamę, żeby zrobiła je na drutach - a Ashtonowi trzy samochodziki z serii Dinky: dwa zabytkowe, żeby przypominały mu o wypadach z Mikiem, i kopię naszego auta. Wsadziłam też obojgu trochę czekoladowych monet i ulubionych filmów na DVD. Żadna z tych rzeczy nie pasowała stricte do szkatułki ze wspomnieniami i pewnie żadna nie zagrzeje w niej długo miejsca, ale chciałam podarować każdemu z nich parę drobnych prezentów, a przy tym zaoszczędzić sobie przeżyć związanych z osobistym ich wręczaniem. Znajdą je później sami. Tak będzie lepiej.

Raczej wyczułam obecność Mike'a w kuchni, niż usłyszałam, że wchodzi. Objął mnie i szepnął mi do ucha:

- Kochanie, przyjechała Anna. Postaraj się być dzielna.

Anna dołączyła do nas chwilę później, a ja cieszyłam się, że jak zwykle tryska energią. Być może zdawała sobie sprawę, że najmniejszy nawet przejaw współczucia roztrzaska pancierz, którym tak starannie się otoczyłam.

Musiałam wziąć się w garść dla Ashtona, który poprzedniego wieczoru, gdy pakowaliśmy jego rzeczy, ze wszystkich sił koncentrował się tylko i wyłącznie na tym. Wiedziałam, że nie wolno mi sprawić mu zawodu.

- Jak tam? - spytała Anna. - Spakowani i gotowi do drogi?

Zerknęłam przez drzwi kuchenne do ogródka, gdzie Ashton i Olivia bawili się z Bobem.

- Na pewno nie chcesz chociaż napić się kawy? - zaproponowałam.

Pokręciła głową.

- Lepiej jechać od razu - stwierdziła stanowczo. - Trafił nam się piękny dzień - dodała i klasnęła wesoło w dłonie. Oboje z Mikiem przytaknęliśmy. - Rozmawiałam rano z Ianem. Chcą zabrać Ashtona po południu na spacer z psem. - Skinęła w stronę naszego ogródka.

- Dobry pomysł - uznałam. - W takim razie idę po jego rzeczy, tak? Kochanie, mógłbyś zawołać dzieciaki? - poprosiłam Mike'a.

Jednak mimo moich najszczerzych chęci i tak miało być dramatycznie. Stało się to jasne w tej samej chwili, gdy całą piątką zebraliśmy się wokół czekającego samochodu. Nie było na to rady - nie dało się sprawić, by rozstanie mniej bolało. Olivia musiała pożegnać się z bratem. A jak tylko to do niej dotarło - oczywiście wiedziała już o tym wcześniej, ale teraz stanęła przed realną koniecznością - natychmiast wpadła w autentyczną rozpacz.

- Nie jedź, Ash! - szlochała, gdy brat nachylił się z powagą, by ją uściskać. - Casey, nie każ mu! Nie jedź!

- Muszę jechać, Livs - odparł ochrypłym z emocji głosem.

Anna - dzięki Bogu, że była z nami Anna! - wzięła chłopca spokojnie za rękę, żeby zaprowadzić go do samochodu. Odczepiłam od niego rączki Olivii i przytuliłam ją mocno do siebie.

Ashton wsiadł na tylne siedzenie, a Anna pomogła mu zapiąć pasy. Tak się martwiłam tą podróżą, że miałam ochotę pobiec do domu i przynieść mu tabletki na chorobę lokomocyjną, ale się pohamowałam. Nic mu nie będzie. Droga niedaleka. Tak właściwie nigdy nie pochorował się w samochodzie. Patrzyłam, jak Mike podchodzi i żegna się przez otwarte okno, ale Olivia prawie całkiem zagłuszyła jego słowa swoim zawodzeniem. Z grubsza jednak usłyszałam, co mówi:

- Nie bój się, stary. Jesteś fantastycznym chłopakiem... pokochają cię... tak samo jak my. Wszyscy cię kochamy. Odzywaj się czasem...

Potem przyszła kolej na mnie. Mike przejął w tym czasie Olivię, a ja znów z całą surowością przywołałam się do porządku.

- Kochanie - zaczęłam. - Wiesz, że będę strasznie za tobą tęsknić, prawda?

Pokiwał smętnie głową i skrzywił się, z trudem powstrzymując łzy. Objął mnie za szyję. Pocałowałam go, a on zupełnie mnie wtedy zaskoczył. Przysunął usta do mojego ucha i szepnął:

- Kocham cię.

- No dobrze - odezwała się Anna. - W drogę. - Włączyła silnik.

- Zadzwoń do ciebie - obiecałam Ashtonowi zdławionym głosem. Dobrze, że w ogóle coś z siebie wydusiłam. - Za kilka dni, jak już się trochę oswoisz z nowym miejscem,

tak? I też cię kocham, Ash. Bardzo, bardzo cię kocham. Uważaj na siebie, dobrze?

Samochód ruszył. Z gardła Olivii wyrwał się kolejny szloch.

- Kocham cię, Ash! Kocham cię! - krzyczała za oddalającym się autem.

Ashton odwrócił się i bezgłośnie odpowiedział tymi samymi słowami. Widziałam, że z oczu płyną mu łzy.

Zabrałam Olivię z rąk Mike'a i postawiłam ją na chodniku, po czym uklęknęłam, przytuliłam mocno i też się rozplakałam.

Tej nocy prawie nie zmrzyłam oka, i chyba nic dziwnego. Jak miałam spać, skoro rano czekała nas powtórka z rozrywki z Olivią? I choć rozstanie z Ashtonem było ciężkie, to wiedziałam, że z jego młodszą siostrą będzie jeszcze cięższe. Chociaż martwiłam się o Asha, pocieszała mnie myśl, że chłopiec ma w sobie siłę, świadomość własnego ja, co bez wątpienia pomoże mu przetrwać trudne chwile. Ale mała Olivia - moja maleńka Olivia - ze wszystkimi swoimi uroczymi dziwactwami? To jeszcze bezbronny brzdąc. Bałam się, czy sobie poradzi. Nie miało znaczenia, jak bardzo ufam Mickowi i Sandie. Zapowiadało się dramatyczne pożegnanie z Olivią.

Sprawy nie ułatwiało to, czego należało się spodziewać: Olivia totalnie się załamała wyjazdem Ashtona.

- Zabrali go gdzie indziej, bo był niegrzeczny? - spytała Mikea zaraz po wejściu do domu.

- Skądże - uspokoił ją. - Wręcz przeciwnie. Ash pojechał do Kerry i lana, żeby się nim zaopiekowali - wytłumaczył. - Już zapomniałaś? Nie pamiętasz, co mówiła Anna? Teraz oni zatroszczą się o twojego braciszka.

- Ale czemu nie mógł jechać ze mną? - dopytywała. - Czy to przez złych ludzi? To oni mu zabronili, bo mnie pupił?

Nagle coś mnie natchnęło.

- Absolutnie nie - zaprzeczyłam z mocą. - Jest u lana i Kerry, bo ich synek musiał wyjechać. I czuli się bardzo samotni, a Anna wiedziała, że nasz kochany Ash ich rozweseli.

To było żałosne. I niewłaściwe. I nie powinnam tego mówić. Ale podziałało.

W niedzielę Mike wstał przede mną i już zaczął działać. Ale to nie Anna pierwsza zjawiała się przed naszym domem. To ojciec Lauren przywiózł Kierona i swoją córkę, bo poczciwy Mike poprosił ich, żeby wpadli i wspierali mnie w tym trudnym dniu. Chwilę później stawili się zawezwani na podobnej zasadzie Riley i Levi, więc gdy trochę rozespana i rozbita po wstrząsających przeżyciach Olivia podała mi jakąś kopertę, w kuchni było już dość tłoczno.

- To dla ciebie i Mike'a - wyjaśniła. - Ale możecie otworzyć dopiero potem. To sekret
- dodała, uśmiechając się dzielnie.

Wzięłam ją na ręce i uważnie przyjrzałam się kopercie.

- Śliczna - powiedziałam. - Ależ się napracowałaś!

Faktycznie była śliczna. Olivia starannie pokryła ją kolorowymi rysunczkami.

- To motylek, a to kwiatki, a to miał być ptaszek, ale mi nie wyszedł, bo ze skrzydełkami zrobił mi się rozdargiasz.

- Przepiękne. Zobacz, Riley, jakie urocze!

Riley pokiwała głową.

- Bardzo ładnie rysujesz - pochwaliła Olivię. - Pamiętaj, rób to dalej, dobrze?
Pewnego dnia zostaniesz sławną malarką i...

- Dzień doberek! - odezwała się od progu Anna.

Olivia natychmiast zaczęła popłakiwać.

- Nie chcę jechać, Casey! - mruknęła, wtulając buzię w moją szyję.

- Chodź, kochanie. - Wysłałam za Mikiem na korytarz. Anna stała w drzwiach z dużym kartonowym pudełkiem w rękach.

- Dobry, dobry - odpowiedział Mike i najwyraźniej coś dostrzegł w wyrazie jej twarzy, bo zmarszczył brwi. - Co tam masz, Anno?

- Niespodziankę - odparła, a ja poczułam, że Olivia unosi główkę. - Dla pewnej ślicznej małej damy - dodała Anna. - Od Micka i Sandie. Chcesz zobaczyć, Olivio? - Schyliła się i delikatnie położyła pakunek na podłodze, a ja postawiłam Olivię. - No - zachęciła. - Otwórz, o tak. To bardzo ważny prezent dla bardzo ważnej dziewczynki. Widzisz? Nie tylko ty wprowadzasz się dziś do Micka i Sandie...

Olivia rozchyliła jedną tekturową klapkę, potem drugą, a naszym oczom ukazał się białobrzowy terierek. Szczeniaczek siedział na kawałku dywanika i cały się trząsł.

- Ooo, piesek! - pisnęła zachwycona Olivia.

- Bardzo malutki piesek - wyjaśniła Anna. - Który potrzebuje troskliwej opieki pewnej wyjątkowej dziewczynki. Myślisz, że dasz sobie radę?

- Oooch! - pisnęła znów Olivia, a Levi w tym samym momencie wreszcie do niej doczłapał. - Jaki słodziutki! Jak ma na imię?

- Jeszcze nijak. Mick i Sandie uznali, że sama musisz go nazwać. Najlepiej zacznij się zastanawiać już teraz.

Genialne posunięcie, stwierdziłam, gdy zaczęliśmy zbierać rzeczy Olivii i ładować je do samochodu Anny. Bo nastrój, wcześniej bardzo przygnębiający, nagle zmienił się o sto

osiemdziesiąt stopni. Łzy Olivii obeschły w jednej chwili. W podskokach znalazła się przy samochodzie iszybko zajęła miejsce, nawet się nie obejrzała. Koncentrowała się wyłącznie na stojącym obok niej pudełku. Nawet Polly, jej nieodłączna towarzysząca, została zdegradowana i bezceremonialnie rzucona na drugie siedzenie.

- Siadaj tam, Polly - nakazała Olivia. - Żeby piesek mógł być ze mną. Tak, malutki pieseczku? Wszystko dobrze?

Pożegnała się z nami jakby mimochodem.

- Pa, pa Mike! Pa, pa Casey! Pa, pa wszyscy! - zatrajkotała. - Powiem wam, jak nazwałam pieska, jak już wymyślę!

Cmoknęła nas po kolei, obiecała wysłać nam zdjęcia i odjechała, machając radośnie na pożegnanie.

Tak mnie zamurowało, że stałam przez chwilę i patrzyłam za oddalającym się samochodem, niezdolna w pełni pojąć, co się właściwie przed chwilą wydarzyło.

- Oj, mamuś, mamuś - roześmiała się Riley, która w takich momentach zawsze lubiła dowcipkować. - Powinnaś widzieć swoją minę! Co za widok! - Zamrugalam. - Serio. Normalnie bezcenny! Naprawdę szykowałeś się na dramatyczne pożegnanie, co?

Promienny uśmiech córki wyrwał mnie z otępienia.

- A wy nie? - mruknęłam urażona, bo i Riley, i Kieron zaśmiewali się do rozpuku. Zauważyłam, że Mike też się śmieje, więc zrobiłam jeszcze bardziej obrażoną minę. - No bo jak to jest, że jakiś cholerny szczeniak okazuje się ważniejszy?!

- U ciebie to chyba syndrom pustego gniazda - wymądrzał się John Fulshaw w poniedziałek. Zadzwoiłam do niego złożyć sprawozdanie. Tak naprawdę nie musiałam, miałam na to czas, ale w domu było zdecydowanie za cicho i bardzo potrzebowałam usłyszeć jego głos. - W tym problem - ciągnął. - Bardzo dużo z siebie dajesz i zamartwiasz się, że dzieci będą za tobą strasznie tęsknić, prawda? I oczywiście będą - dodał dyplomatycznie. - Na pewno. Ale poradzą sobie. Wiesz o tym. Dokonałeś z nimi prawdziwych cudów. Oboje dokonaliście.

- Może trochę - powiedziałam. - Staraliśmy się. Tylko tyle mogliśmy dla nich zrobić...

- Słuchaj, Casey. Właściwie dobrze, że dzwonisz.

Poczułam, że na te słowa dłoń zaciska mi się mocniej na słuchawce. Oo. Co się stało?

- Mów - nakazałam niespokojnie, modląc się w duchu, żeby nie usłyszeć żadnych złych wieści. - Co jest?

- Zdarzyło się coś bardzo dziwnego - powiedział, ale głos miał pogodny. Odetchnęłam. Ale tylko trochę. - Właściwie nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś

rodzeństwo nadal byliby wykorzystywani seksualnie. A to najpewniej pozostawiłoby w nich tak głębokie rany, że już nigdy nie mieliby normalnego życia. A tak okazało się, że nie tylko uśmiechnęło się do nich szczęście, ale udało się też uchronić kolejne pokolenie przed losem małych więźniów.

Chciałabym podziękować całemu zespołowi z wydawnictwa HarperCollins, cudownemu Andrew Lowniemu oraz mojej przyjaciółce i mentorce Lynne.

M3P Zabrze nr inw.: KC - 69964

C 929-051 Watson, C.